

KRÓL CHŁOPÓW.

11. 2. 2.

#53 III
J. I. KRASZEWSKI.

POWIEŚCI HISTORYCZNE.

XIV.

KRÓL CHŁOPÓW.

CZASY KAZIMIRZA WIELKIEGO.

T O M III.

KRAKÓW.

Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.

Gebethner i Wolff.

Michał Glücksberg.

Maurycy Orgelbrand.

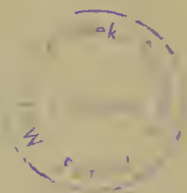
G. Sennewald.

Edward Wende.

1881.



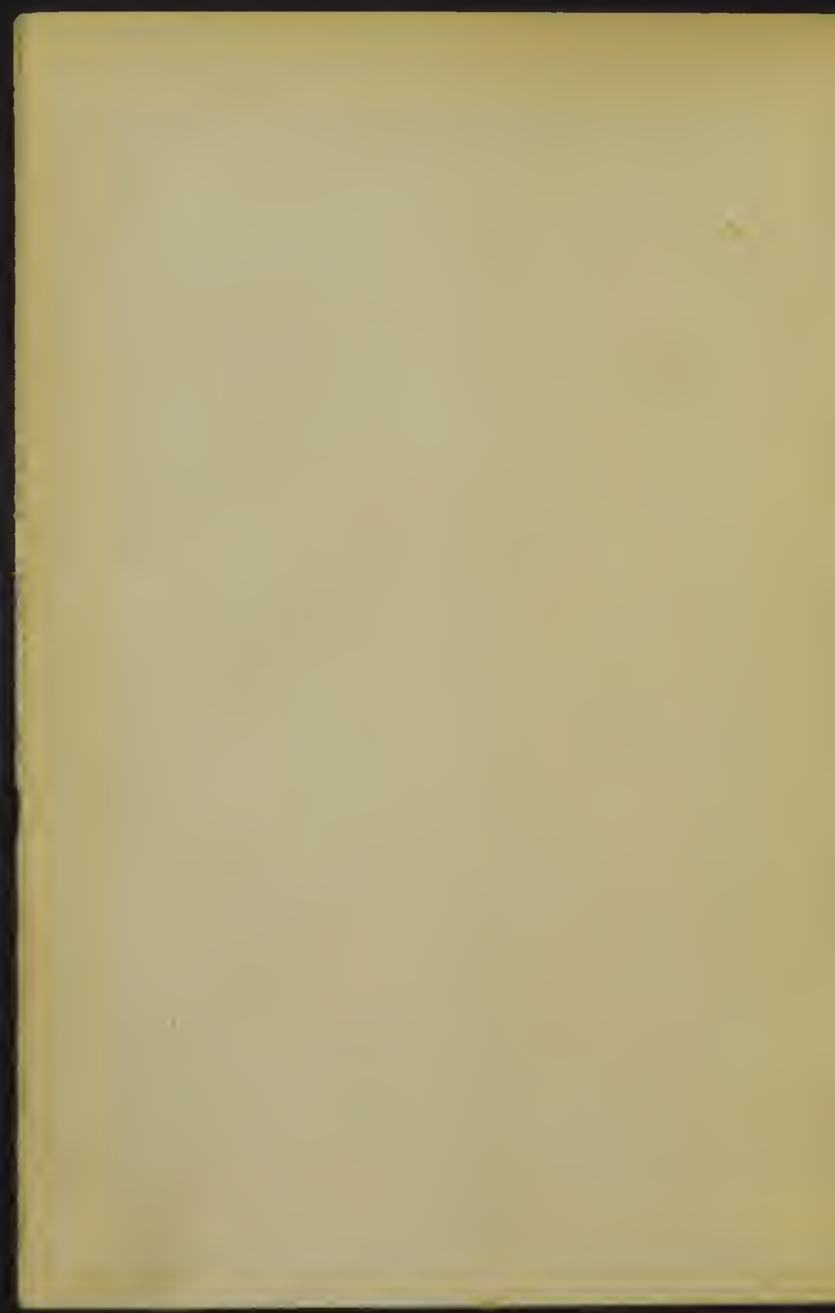
5. 12. 1900 - 1800



Kraków. — W drukarni WŁ. L. Anczyca i Spółki.

1900 1. 20

KSIEGA PIĄTA.



Rokiczana.

Kochan Rawa stworzonym był na pańskiego ulubieńca. Dobrze mu z tem zapewne było, lecz nie życzył więcej zostać niezem i do swojego ziemioła szczególne miał talenta a w niem upodobanie.

Żył on w panu swym, i więcej pewnie się nim troszczył niż on sam o siebie.

W czasie bytności swej w Pradze ze Szedrykiem, zobaczywszy na dworze cesarskim piękną Rokieczanę, której majestatyczna postać wpadła mu mu w oko, pomyślał zaraz o Kaźmirzu.

— Taka niewiasta mogłaby go uczynić szczęśliwym! powiedział sobie w duchu. Zaledwie mu to przebiegło przez głowę, gdy natychmiast posłał na zwiady. Kto była, od kogo zależała, jak ją tam sądzono i co mówiono o niej.

Piękna Krystyna miała samych wielbicieli. Rodzina bogata, do której należała, szczyliła się nią jak perłą, na dworze cesarza należała do najsłynniejszych piękności. Wychowanie, które odebrała, nadzwyczajna piękność, którą się od dziecka odznaczała, otwierały jej nawet cesarskie podwoje. Nie było też młodej niewiasty, któraby w tańcu wydawała się zręczniejszą, grała lepiej na cytrze i śpiewała głosem wdzięczniejszym.

Oprócz języka czeskiego i niemieckiego, mówiła po włosku, rozumiała francuzki, a co do obyczajów, nie jej zarzucić nie było można. Nie była wcale zalotną, prędzej odstręczającą i do zbytku przez dumę snrową.

Znaczny majątek, nieposzlakowane imię, które nosiła, zawczesne uwielbienia tych, co się do niej zbliżali, uczyniły ją tak mało przystępną.

Wydana za mąż za młodu, za starszego znacznie od siebie człowieka, w krótkim z nim pożyciu zachowała się z godnością, lecz serce jej, które w małżeństwie nie miało udziału, nie rozbudziło się niem, pozostało zamkniętem, ostygłem.

Po śmierci męża, zostawszy młodzieuchną wdową — piękna, bogata, bezdzietna, po zrzućeniu żałoby, rozpoczęła życie na nowo, okazując mnogim dworującym około siebie — iż nie będzie łatwą w wyborze

Ślusznego wzrostu, śnieżnej białości, brunatnych włosów i oczu, rysów dziwnie pięknych i

dostojnych, miała w istocie w sobie coś królewskiego, pańskiego, ale też i ten poważny chłód, i ten majestat obojętny życiu, którym się przystrajają królowe. Rzadko kiedy uśmiech, jakby wymuszony koralowe, jej otwierał usta, — rzadko wejrzenie powiedziało o wzruszeniu wewnętrznem. Natura czy życie nauczyły ją nie okazywać nigdy co się działo w duszy. Można było sądzić, patrząc na nią wśród ożywionej zabawy, że jej była zupełnie obojętną. Przyjmowała słodycze, nie okazując w nich smaku, przykrych rzeczy nie chcąc słyszeć. Nie mógł się nikt dotąd pochlubić, by go nad innych choć chwilowo przenosiła. Czasem tylko, gdy na dworze cesarza zwabieni jej piękną dostojniejsi panowie, książęta i hrabiowie zbliżali się do uroczej mieszczki, rumieniec twarzy jej okraszał, oczy ciemne miały iskierkę życia i pierś prędszym poruszyła się oddechem.

Pospolitą gawieź ledwie przelotnem wejrzeniem zaszczycała. Życie jej od młodości splotowało wśród dóstatków — i bez zajęcia... W domu miała liczne sługi, poddostatkiem strojów i klejnotów, dużo czasu niczem nie zaprzątniętego; trawiła go więc, ubierając się wykwintnie, zmieniając strój po kilka razy na dzień, brzdąkając na cytrze, śpiewając piosnki, odwiedzając kościoły, słuchając rozmów przybywających gości.

Mówiła zwykle mało — a nie można było zaręczyć czy ją obchodziły wielce rozmowy, których się zdawała słuchać z roztargnieniem.

Uczty i zgromadzenia, na których mogła uka-
zać się, tryumfować, zabłysnąć, może dla niej
najmilszemi były. Przed każdą z nich kilka sług
musiało ją stroić, trefić, upiększać, i godziny całe
upływały, nim nareszcie sama sobą była zaspoko-
joną.

Więcej ją obchodziło to, by wszędzie była
pierwszą i zagasiła inne, niż wszystko w świecie.
Opowiadanie o tem, jak ludzie się nią zachwy-
cali, czyniło ją szczęśliwą.

Zdawała się marzyć tylko o świetnej przy-
szłości.

Z rzadkich jej słówek odgadywała rodzina,
iż nadzieje sięgały tak wysoko, że z trudnością
ziścić się mogły. Miała jakby przeczucie jakiegoś
losu nadzwyczajnego, na który czekała.

W istocie, ze dworu cesarskiego wielu znacz-
nych panów żywo się nią zajmowało, lecz żaden
z nich nie występował jako pretendent do ręki.
Odprawiała też ich, przekonawszy się o tem,
z dumą pogardliwą, nie chcąc nawet patrzeć,
gdy jako prości wielbicielę powracali.

Niewiasty jej stanu, rodzina, pokrewni, nie zu-
pełnie byli z niej radzi; lecz uwagi ich i prze-
strogi wcale na nią nie działały. Słuchała, ramio-
nami poruszając, zbywała uśmiechem dwuznacz-
nym.

Młoda wdowa miała w domu przy sobie da-
leką krewną ubogą, staruszkę skromną i cichą,

bez której nigdy nie wychodziła i nie przyjmowała nikogo.

Była to powolna towarzyszka, coś na kształt sługi, której obowiązkiem było strzedz tego skarbu i być świadkiem życia...

Od czasu, jak Rokiczana dostała się na dwór cesarski i na wieczornych zabawach występowała, duma jej dawna wzrosła jeszcze...

Wszyscy też byli pewni, że potrafi rozmiłować jednego ze znakomitszych panów i celu swojego dopnie. Lecz nie była zalotną wcale, miłą być nie chciała, nie okazywała nikomu, by się jej podobał, niemal odstręczała chłodem.

Ci, co się z początku cisnęli, wkrótce odcho-
dzili od niej zrażeni.

Jeden tylko — był jeden — który dziewczętką ją pokochawszy, gdy za mąż jeszcze uie wyszła, nie mogąc sięgnąć po jej rękę, bo był tylko stosunkowo mniej możnym, choć dostatnim mieszczaninem... miłował ją dotychczas wiernie.

Krystyna wiedziała o tem dobrze, ale patrzeć nań nie chciała, aby sobie próżnych nie czynił nadziei.

Jędrzyk z Podbrzeża, któremu rodzice zostawili piękny dom na starej Pradze i ławkę towarów jedwabnych a tkanin, był mało co starszym od Rokiczany, urodziwym młodzieńcem, z głową otwartą, lecz nie miał za sobą żadnej z tych zalet, których ona od przyszłego męża wymagała.

Tyle tylko, że ją mocno kochał i stale. Nie chciał się nawet żenić, nie mogąc wyrzec nadziei, że — może mu jakim cudem szczęście zaświeci.

Patrzył na nią zdala, czasem zbliżyć się starał, nigdy nawet dobrego słowa nie zyskał, cierpiał to, nie skarżąc się, i — milczał. Lecz z oczów jej nie tracił. Wiedział najlepiej o każdym jej kroku, o każdym żądaniu i — spieszył zawsze ze spełnieniem go, nie myśląc nawet o podziękowaniu.

Miłość jego była niewymagającą, i gdy swą królowę zobaczył idącą zdala, gdy przeszła koło niego a spojrzała choć dumnie, Jędrzyk miał wesela i szczęścia na długo.

Jej o nim ani mówić nie było można, bo ją oburzało, że jeden kupczyk śmiał kocuć się w Krystynie, wdowie po Rokiczanie — i na nią oczy podnosić.

Wszystkie te opowiadania o piękności, która go tak zachwyciła, Kochan łatwo pozbierał, mnogie mając w Pradze stosunki; właśnie taka kobieta zdawała mu się zrodzona na to, by zastąpiła królowę.

Miłości dotychczasowe Kaźmirza, o których tyle mówiono, i na oczy mu je wyrzucano, nie mogły się nazwać tem imieniem.

Największa piękność, najświeższa młodość nie zdołała Kaźmirza stale przywiązać. Zrażał się

nieokrzesaniem, prostotą obyczajów, brakiem myśli, i wprędce te kilkodniowe kochanki porzucił.

Z rozmów z królem Kochan miarkował, że Kaźmirz marzył o niewieście jak Margareta i więcej pragnął ducha niż krasy.

Rokiczana temu ideałowi najlepiej odpowiadała, nawet jej zimna powaga i obejście się dumne mogło być dla króla pociągającym.

— Tak! ta nam zastąpi królowę!! powtarzał Kochan, przybywając do Pragi.

Przyjęcie króla polskiego równie było świetne i uprzejme jak za ślepego króla Jana...

Cesarz niemiecki, który braterstwo Kaźmirzowi przysiągł, witał go jak brata.

Na cały czas kilkodniowego pobytu, pierwszych dni kwietniowych przygotowane były zabawy, turnieje, łowy, uczyty, tak, że gość nie miał prawie chwili spoczynku.

Pierwszego zaraz wieczora Kochan, będący w orszaku króla, postarał się zwrócić jego uwagę na piękną Rokieczanę. Kaźmirz już ją był wyróżnił, nie wiedząc jeszcze imienia, takim blaskiem promieniła jej piękność dnia tego. Nie miał jednak zręczności zbliżyć się, ani przemówić do niej.

Oczy jej zwracały się ciekawie na polskiego króla, który powierzchownością godności pełną i dobroci, — mógł się podobać, choćby nie by monarchą panującym.

Nie pierwszej młodości, Kaźmirz zachował w postaci, w ruchach, na twarzy ożywionej, w wejrzeniu bystrem i rozumnem nieprzeżyty zasób życia. Był młodym jeszcze duszą, i ciału zestarzyć nie dawał.

Innych też niewiast oczy zwracały się nań z przyjemnością, z zajęciem, a bogaty bardzo strój, klejnoty, któremi był okryty, smakowny ubiór, piękniejszym go jeszcze czyniły dnia tego.

Przyczyniała się do rozjaśnienia twarzy i radość, którą nader gościnne obudziło przyjęcie.

Bardzo prostego a odwiecznie znanego chwycił się środka Kochan, usiłując zbliżyć do siebie tę parę, którą chciał skojarzyć... Nazajutrz rano postarał się o to, aby go do jej domu wprowadzono... Jeden z komorników cesarskich, mający wstęp i znajomość z całą Rokiczanów rodziną, podjął się go wziąć z sobą.

Piękna Krystyna zrazu dworzanina królewskiego posądzając o jakieś zuchwałe marzenia, dosyć zimno przyjęła...

Wpředce jednak rozbroił ją, spiesząc z tem, iż pan jego od wczorajszego wieczora nie miał spokoju, wciąż myśląc o niej, a wielce w niej będąc rozmiłowany.

Cicho wyszeptana wiadomość ta wywołała rumieniec, i widocznie dumę polectała. Po chwili jednak odparła, sznurując usteczka.

— Wszakże polski król ma żonę? Tego py-

tania nie spodziewał się wcale Kochan i nie był na odpowiedź przygotowany.

— Król, pan mój — rzekł — od lat wielu ani żyje z żoną, ni jej widzi... Małżeństwo to zapewne przez Papieża rozwiązane zostanie...

Z tą swobodą, jaką ówczesny obyczaj usprawiedliwiał, Krystyna po namyśle rzekła.

— Ale mówią o panu waszym, że miłośnic ma wiele i płochym jest.

— Kłamstwo to zmyślili księża, którzyby go do pożycia z kobietą brzydką i dla niego nicznośną zmusić chcieli — odezwał się Kochan. — Kaźmirz w lada pierwszej niewieście się nie rozmiłuje...

Lepszego pana i lepszego serca nad jego nie ma na świecie — dodał Kochan. — Żał mi go, że tu przyjechał, aby spokój utracił i potem tęsknił tylko za wami.

Uśmiechnęła się Krystyna, nie nie odpowiadając. Pochlebiało jej to wielce.

— Wiem — począł dalej Kochan — jakby się pragnął zbliżyć do was... Nie pozwolicież mu, aby dom wasz odwiedził kiedy?

Jakkolwiek może w sercu rada tej prośbie, wdowa nie mogła od razu się do niej przychylić. Zarumieniała się mocno, potrząsała głową i odparła.

— Nadto by ludzie o tem mówili, bo, choć nasz dom bardzo dostojnych nieraz przyjmował

gości... Królowie w nim nie bywali... a ja czci mojej strzedz powinnam...

Zaprzeczył Kochan żywo, by odwiedziny króla mogły szkodzić sławie jej — lecz Krystyna na ten raz słuchać już więcej nie chciała. Potrząsała głową, nie mogła zezwolić na to.

Kochan nie nalegał.

Krótko zabawiwszy, i dla siebie wyrobiwszy zezwolenie, ażeby mógł nawiedzić wdowę, oddalił się. Powrócił co najspieszniej do króla na zamek, i znalazłszy chwilę sposobną, począł mu opowiadać, jako wszystkich to uderzyło, że piękna Krystyna ciągle za nim oczami gonila, a z własnych ust jej słyszał, jak wychwalała postać i twarz króla polskiego...

Tak z obu stron przygotowawszy rolę, Kochan pewien był już, iż lada zbliżenie stosunki ściślejsze zawiąże, i zacierając ręce powtarzał swoje:

— Ta nam zastąpi królowę...

Przez wszystkie dni pobytu Kaźmirza w Pradze, po turniejach i rozdaniu zwycięzcom nagród przez panie, następował zwykły taniec i zabawa wesola...

Kochan, który miał mnogich przyjaciół na dworze, podszeptnął urzędnikom cesarskim, którzy przy tańcach i rozsadzaniu niewiast porządek utrzymywali, aby Krystynę Rokieczaną starali się zbliżyć do króla, nie okazując, iż to czynili z umysłu.

Z uśmiechem przyjęto wniosek, gdyż wszyscy starali się być dla dostojnego gościa jak sam cesarz uprzejmi. Nie dziwiło nikogo, iż wdowa podobać mu się mogła.

I złożyło się zaraz tak, iż po turnieju, wchodząc do sali, Kaźmirz się znalazł w pobliżu Krystyny...

Oczy jej śmiało go zmierzyły... a choć była panią siebie, twarz, po której przebiegła żywiej krew, lekkie ust drgnięcie, zdradziło wewnętrzne uczucie. Była to gra miłości własnej, polechtanej przyjemnie, lecz trudno ją od innego wrażenia rozróżnić było.

Z łatwością przyszło Kaźmirzowi przybliżyć się do pięknej mieszczki, która dnia tego z nadzwyczajnym smakiem i bogato była strojną. Pas jej szczególnie, sadzony drogiemi kamieniami, strumienie pereł na szyi, czołko świejące rubinami — zwracały zazdrosne kobiet oczy.

Król, znalazłszy się tak blisko, iż rozmowę mógł rozpocząć, wprost zagaił ją wielkiem uwielbieniem nadzwyczajnej piękności.

— Miłość wasza — odpowiedziała śmiało Rokiczana — musiałeś wiele w życiu widzieć piękniejszych, a niepowinieneś sądzić, że przesadzoną pochwałą potrafisz z ubogiej mieszczki pragskiej zażartować.

— Wziąłbym was za królowę! — odparł Kaź-

mirz — gdybym już wczoraj, tą pięknością uderzony, nie spytał o nazwisko.

Było to potwierdzeniem tego, co Kochan mówił jej rano. Rokiczana się uśmiechnęła.

— Wielka to cześć dla mnie — odpowiedziała, spuszczając oczy — lecz, łatwoby się też ona w smutek mogła zamienić, gdyby nie to, że prędko przeminie pamięć...

Nie dał król dokończyć.

— Piękna Krystyna — rzekł — pewną być może, iż póki żyw, o niej nie zapomnę.

— Wasza miłość znać od francuzkich trubadurów uczyłeś się słów pięknych, któremi biedne zwodzą niewiasty, lecz i my też wiemy, co one ważą — odezwała się Krystyna.

Każmirz, wpatrzywszy się w nią bardzo śmiało a lubując się wielkiej piękności, nie znalazł na to wprędce odpowiedzi. Wzrok ten badawczy i przeszywający, który zdawał się przebijać zasłony, poczuła dumna Krystyna, wyprostowała się, spojrzała z góry i odezwała cicho...

— Królewskie względy dla nas niewiast nie zrodzonych do tronu, często wielkiem bywają nieszcześciem...

Ruch, który zdał się oznajmywać, że odejść chciała, zmusił króla do spiesznej odpowiedzi.

— Przecież i królom wolno jest piękność w niewieście uczcić... i czuć dla niej miłość jak innym ludziom.

— A! miłość — z szyderskim uśmiechem przerwała Krystyna — nie przychodzi tak prędko... królowie nawykli, aby im służyło wszystko, a uczciwa niewiasta o takiej miłości słuchać nie powinna.

— Nie gniewajże się, piękna Krystyno — zawołał król, śmiejąc się. — Obrazić bym was nie chciał, raczej zjednać sobie...

— Nie czuję się godną tego — odparła wdowa. — Może być, żeś W. królewska mość spotykał w życiu takie, które się dały wziąć na jeden uśmiech i słowo — ja, do nich nie należę...

— Nie żądam nic więcej, nad trochę życzliwości — rzekł Kaźmirz — i choć piękna Krystyna bardzo jest srogą, nie wyrzekam się nadziei, że bliżej poznawszy mnie, łaskawszą będzie...

Rozmowa króla z Rokieczaną powszechną już zwróciła zwróciła była uwagę, pokazywano ich sobie palcami. Wdowa była i radą, i dumną, ale musiała okazać przed ludźmi, jakby drożyła się z sobą i natychmiast wymknęła, szukając niewieściego towarzystwa. Odchodząc jednak, wbrew temu, co usta rzekły, spojrzała na króla wielkimi oczyma tak wyraziście, uśmiechnęła się tak uprzejmie, iż serce mu żywiej uderzyło...

Zabawy na dworze przeciągnęły się do późna. Nazajutrz jeszcze Kaźmirz miał w Pradze pozo-

stać, ważne sprawy powoływały go nazad do Krakowa.

Rozpoczęte miłości, którym Rawa tak dzielnie dopomagał, nieobiecywały nic więcej nad miłe po sobie wspomnienie. Z powziętych wiadomości Kochan się mógł przekonać, że piękna Czeszka żadnemi obietnicami ani ofiarami ująć się nie da. Król, dla pozyskania jej, dłużej zabrać nie mógł, do Krakowa ją ściągnąć nie było podobieństwa. Ulubieniec łamał głowę nad tem, jak ją pozyskać dla pana.

Ostatniego dnia pobytu były łowy w Zwierzyncu, potem uczta, która się zakończyła tańcami, Rokiczana nie pokazała się dnia tego. Kaźmirz powrócił do swojego mieszkania wczesnie, bardzo niespokojny i zajęty tą pięknością, tak do pozyskania trudną.

Godzina nie była spóźnioną.

— Nie było jej — odezwał się do Kochana niespokojny — nie mogę odjechać bez jakiejś nadziei... Co począć?

— W. miłości teraz do niej iść niepodobna — odparł Kochan. — Głośno by o tem mówiono, a toby u niej więcej zaszkodziło, niż pomogło. Dba wielce o sławę swoją.

— Idź ty w poselstwie odemnie — zawołał Kaźmirz, zdejmując pierścień z palca z kosztownym szafirem. — Zanieś jej ten mały podarek-

jako paniątkę odemnie, i powiedz, że ją do Krakowa zapraszam, że ją przyjmę, jak królowę.

Rawa ramionami ruszył.

— Z tego co wiem, wnoszę, że ją chyba istotnie królową czyniąc, dostać można — odpar. ulubieniec. — Pójdę jednak szczęścia próbować.

— Największe ofiary dla niej, nie będą mnie kosztowały — rzekł rozmiłowany król. — Wyrozumiej ją, mów otwarcie i powracaj mi z dobrą wieścią.

Kochan poszedł na miasto... nie biorąc nikogo z sobą, gdyż chciał sam na sam się z piękną wdową rozmówić.

Rokiczana dnia tego miała zaproszenie na zamek na dwór cesarski tak, jak dni innych, lecz, przebiegła i po kobiecemu obrachowując, postanowiła się uczynić chorą trochę i okazać tem, że pięknemi słowy króla ująć się nie daje.

Była pewną, że Kaźmirz nie wyjedzie, nie zgłosiwszy się do niej, nie dając życia znaku. Czekala. Przez cały ten dzień siedziała wystrojona, chodziła do okna, spodziewała się jakiegoś poselstwa, i dotrwała tak w próżnem oczekiwaniu do wieczora.

Nie było u niej nikogo, oprócz starej towarzyski, lecz światła stały zapalone w komnatach, i wieczorne nawet przyjęcie, złożone z wina, ciasta i słodyczy stało na stole w pięknych naczyniach. Tymczasem godzina coraz późniejsza

mało już dawała nadziei odwiedzin, gdy Kochan zjawił się u drzwi, dopraszając posłuchania. Uczyniono mu dla formy trochę trudności, ale go wpuszczono do wdowy.

Krystyna przyjęła go chłodno, z powagą wielką i zdziwieniem. Rawa począł od tego, iż pan jego, nie widząc jej na zamku, troszczył się o jej zdrowie i przysłał umyślnie się o nie dowiedzieć.

Wdowa odpowiedziała, że istotnie czuła się zmęczoną i niebardzo zdrową, i dla tego została w domu.

— Tembardziej to króla pana mojego obeszło — rzekł Kochan — iż jutro zmuszeni jesteśmy powracać do Krakowa, i smutnym bardzo odjeździe, nie widząc jej, gdyż srodze jest rozmiłowany.

Rokiczana się uśmiechnęła.

— O, mężczyźni! — zawołała — a szczególnie królowie, łatwo się kochają a zapominają łatwiej jeszcze. Szkoda, że pan wasz innej sobie gładkiej twarzyczki na tych dni kilka nie znalazł, któraby się łatwiej dała ująć. Nie jestem niedoświadczoną dziewczeczką! — wiercie mi — nie mam ochoty być igraszką na dni kilka, choćby największego monarchy.

Rawa tym obrotem rozmowy zmięszał się trochę.

— Pan też mój — rzekł po namyśle — nie

chwilową powziął dla niej miłość, ale taką, która trwać będzie pewnie, byle znalazła wzajemność. Najlepszym dowodem tego, iż wysłał mnie tu umyślnie do niej, sam nie mogąc przyjść, aby się na jej gniew nie naraził, — i prosi, abyś mu dobrą pamięć zachowała, gdy na ten mały podarek wejrzysz czasami.

Podał jej pierścień piękny z szafirem, którego cenę Rokiczana łatwo mogła odgadnąć. Zarumieniła się, zmieszała i ręką naprzód odsunęła pierścień... okazując się jakby obrażoną.

Kochan nalegał przedstawiając, że królom przecie przystało i było we zwyczaju podarki dawać tym, którzy się im podobać umieli.

— A niechce go piękna Krystyna wziąć tak, — rzekł — bez wywzajemnienia, to proszę w zamian o lada jaki pierścionelek lub obrączkę — a najprostszy z rąk jej królowi będzie najmilszym.

Wdowa wahala się, spoglądała na szafir, na podłogę, na ręce swe... i, nagle, podnosząc główkę, śmiało patrząc na Kochana, poczęła:

— Miły pośle królewski, który umiesz tak dobrze sprawy pana swojego popierać, jakbyś nie po raz pierwszy miał z niemi do czynienia. Mówmy lepiej otwarcie...

— Tak, bądź szczerą, piękna Krystyno — powiedz, pan mój nie jest ci wstrętliwym? — zawołał Kochan.

— Choćby mi najmilszym był — zapowie-

działa wdowa żywo — i choćby jeszcze jedno miał tak wielkie królestwo, jak to, które posiada... coś z takiej miłości? Ja na miłośnicę nie jestem stworzoną i płocho nie pójdę ze spokojnego mojego domu na jakiś dwór, z którego bym ze sromem powróciła. Wy to sobie powiedzcie zawczasu. Podarki, namowy, podejścia, obietnice... wszystko to się na nic nie przyda.

Moja cześć nad wszelką miłość więcej warta... tej nie oddam za nic.

Zatem, próżne zabiegi wasze...

Kochan zbity tak stanowczo, nie uważał się jednak za zwyciężonego. Naprzód wiedział dobrze, iż kobiety zwykły drogo się cenić, aby więcej były cenione, gdy w końcu ulegną... niebardzo wierzył tej tak rzezkiej odprawie, — potem zyskać chciał na czasie, bo czas zmienia najstalsze postanowienia.

— Piękna Krystyno — rzekł ze śmiechem wiele znaczącym. Tam, gdzie jest wielka miłość, jak w sercu pana mojego dla was, znajdą się i środki do zaspokojenia jej... któż wie? Małżeństwo nie jest niepodobieństwem, korona mogłaby spocząć na pięknem jej czole... To coś warto przecie, ale — trzeba za to cokolwiek życzliwości okazać, nie odtrącać tak, nie zrażać.

Krystyna słuchała z uwagą.

— Wy mówicie — przerwała — jak szatan do Ewy w raju. Tamten jej obiecywał świado-

mość wszystkiego, wy mnie jak dziecku cacko, ukazujecie koronę z daleka, ale — ja, ja nie wierzę... nie, nie!

To mówiąc, machinalnie jakoś wzięła ze stolika leżący pierścień z szafirem, włożyła go na palec, zwróciła rękę przeciw światłu i uśmiechała się pięknej wodzie kamyka. Był to znak dobry.

— Macie słuszość — dodała — za podarek należy królowi wywdzięczyć podarkiem także, ale ja, biedna wdowa, nie znajdę nic godnego tak wielkiego pana...

Zwolna ściągnęła rubin z ręki, niewielki lecz przedziwnego blasku, z zalotnością, niby dla pożegnania z nim, do ust go przyłożyła i rzuciła na stół przed Kochana.

Ten pochwycił go łapczywie.

— Nabrał on wysokiej ceny, gdy usta wasze na nim spoczęły... — odezwał się, chowając go starannie. — Powiem królowi, żeście mu z nim całus przesłali.

— Nie powinniście mówić tego — śmiejąc się zalotnie, rzekła Rokiczana, było to pożegnanie z miłym mi pierścieniem... Nic więcej.

Rawa szyderską zrobił minkę. *

— Wszystko jedno! — zawołał — wy sobie mówcie pożegnanie pierścienia, ja powiem całus dla króla!! Niech się biedny choć tem pocieszy.

A jutro, piękna Krystyno, gdy z Pragi wyciągać będziemy ranną godziną, pan mój pod

oknem waszem przejeżdżać będzie... wyrzycieź ku niemu, skłońcie mu głowę — proszę!

Na to nie odpowiedziała nic wdowa, zajęta była nalewaniem wina słodzonego i zaprawnego dla Kochana i przysuwaniem mu przygotowanych słodczy.

Jak gdyby, wypowiedziawszy na początku co jej ciążyło najwięcej, i co za konieczne uważała, teraz swobodniejszą się czuła, twarz nawet przybrała weselszą i z większą uprzejmością przyjmowała posła.

Ten sprawiwszy, co mu zlecono, rozpoczął opowiadanie o panu swym, mocy jego, potędze i bogactwach.

— Mogą sobie ludzie po świecie pleść o nas co chcą — odezwał się do niej — że kraj nasz jedną jest puszcza dziką, że miast nie mamy i grodów kamiennych, że żyjemy w skórach chodząc zwierzęcych, a żywimy się kaszą i mąką... lecz gdybyście skarb królewski zobaczyli, stopy srebra i złota, całe korce pereł, opon szkarłatnych se-ciny, futer kosztownych tysiącami, naczyń pięknych choć na przyjęcie gromad całych, dopiero-byście wiedzieli, co jest ów król polski... a na dworze też naszym, równie jak siostry jego, królowej Elżbiety nie zbywa ani na rycerstwie pięknym, ani na śpiewakach, muzykach i ludziach mądrych, bo w tych się oni kochają. I życie

u nas nie tak smutnie płynie jak się z daleka zdawać może...

— Wszystkiemu temu wierzę — odezwała się Rokiczana — ale cóż mi potem? ja tego widzieć nie będę.

— Dla czego? — przerwał Kochan — ja nie tracę nadziei, że was na dworze naszym widzieć będziemy.

Spojrzeni na siebie. Rokiczana spowaźniała znowu.

— Na toby potrzeba — rzekła — żeby król był wolnym, ja małżonką jego została — inaczej nie zobaczycie mnie tam!

Kochan zamilkł, i odwrócił rozmowę znowu.

— Na świecie dzieją się rzeczy wielkie i niespodziewane przez miłość — dodał — ale na to potrzeba, aby ona była wzajemną.

Wdowa znaczącem odpowiedziała wejrzeniem.

— Myślicie być znowu kiedy w Pradze z panem waszym? — zapytała.

— Bywaliśmy tu często, i da Bóg, nie, jeden raz jeszcze zjedziemy, piękne oczy wasze nas tu przyprowadzą pewnie.

Zatem kielich ze szkła weneckiego, który w rękę trzymał, wypiwszy za zdrowie wdowy, rękawiczki założone za pas wziął Kochan i zabierał się do odwrotu.

— Dajcie mi jeszcze — rzekł na ostatek —

dobrze jakie słowo dla pana mojego, lżej nam będzie jechać precz...

— Wszystkoście już słyszeli, com do powiedzenia miała — odezwała się nie wstając Rokiczana... — Powiedzcie mu wdzięczność moją i to, że lepiej, aby zapomniał o mnie, niżby miał o tem marzyć, iż czei się mej dla niego wyrzeknę.

Droga do mnie, przez Kościół tylko!

Mówiła tak, lecz wyraz twarzy nie był ani odstraszaający, ani surowy, i kazał się więcej spodziewać, niż obiecywała.

Rawa skłonił się z poszanowaniem, choć na ustach miał szyderski nieco wyraz, zapewnił wdowę, że wiernie poselstwo jej sprawi — i powoli wysunął się z domu, na zamek powracając...

Nie zdawało mu się jednak koniecznem królowi zdać zbyt szczegółową sprawę z rozmowy, przyniósł mu pierścień, zapewnił, że Krystyna dlań bardzo jest życzliwą, zaprasza go z powrotem do Pragi — i kazał mieć najlepszą nadzieję.

— Droży się piękna wdowa, dokończył, mówi o ślubie i kościele, wysoko się ze czcią nosi — ale to są znane piosnki, które one wszystkie nucą... Żal jej będzie króla stracić, bo ich na świecie równych naszemu niewiele i — gdy się jej piękny zamek, dwór i skarbczyk przygotowuje — pójdzie do złoconego gniazda ptaszyna...

Tak sądził Kochan, ale w przewidywaniach swych się mylił. Rokiczanów rodzina liczyła się

do najbogatszych i najznaczniejszych w Pradze. Zmarły w r. 1346 mąż Krystyny Miklasz, sam kosztem swym założył był kościół Ś. Ducha na starem mieście, niejednen raz pieniędzmi przychodził w pomoc królowi Janowi, cesarzowi i miastu. Wbijało to w dumę i wdowę, a rodzina liczna stała też na straży jej czei.

Głośno mówiono w Pradze o rozmiłowaniu się króla polskiego w Krystynie, ale poruszano ramionami na to, utrzymując, że z miłości tej nie być nie może. Na kochankę Krystyna była zbyt dumną i o dobrą swą sławę troskliwą, a żonaty król za małżonkę jej wziąć nie mógł.

Jędrzyk, który z zazdrością kochanka szpiegował co się działo około dworu wdowy, wiedział, że wkrótce po bytności króla jeździli jacyś posłańcy — przynoszono podarunki — lecz ramionami ruszał na to i śmiał się. Nadto znał dobrze Krystynę, aby się obawiał o nią.

Król do Krakowa powróciwszy, Kochanowi nie dawał spoczynku... zajęty był piękną wdową, jakby mu młodsze wróciły lata. Nie tyle może wdzięki jej, jak powaga i ogląda miały urok dla niego. Skazany na miłostki, które w nim wstręt i odrazę budziły, pragnął jakiegoś stałego przy-

wiązania dla serca, domowego szczęścia spokojnego, którego nie miał.

Rawa, widząc ten zapal i niecierpliwość Kazmirza, łamał sobie głowę, czemuby wdowę mógł skłonić do — powolności.

Dwa razy potajemnie jeździł do Pragi i wrócił z jedną zawsze odpowiedzią, że droga do niej przez kościół prowadzi. Adelaida Heska stała na zawadzie, bo choć zerwanie tego związku obiecywano królowi, nikt się go wyrobić nie podejmował u Papieża.

Pomimo wszystkich spraw ważnych, które w tych czasach zajmowały króla — miłość owa nie wychodziła mu z myśli.

Doprowadziwszy do skutku wiązanie hołdem Mazowsza z Koroną, ustanowiwszy ów upragniony trybunał wyższy dla sądów niemieckich w Krakowie, Kazmirz nękany przez siostrę i Ludwika, siostrzeńca swego, o przekazanie mu korony, o co już umowa stanęła ponowiona — tem więcej gryzł się brakiem potomka płci męskiej.

Małżeństwo z Adelaidą odejmowało mu nadzieję wszelką.

W jednej z tych chwil rozdrażnienia i niecierpliwości, jakie to położenie często wywoływało. — przybywający z Tyńca ks. Opat Jan zastał go tak smutnym i przybitym, iż własną wesołość i gadatliwość musiał podwoić, aby króla wywieść ze stanu tego.

Król przed nim nie ukrywał przyczyn goryczy.

— Przekłeta wróżka, miała słuszość — mówił doń — wszystko mi w życiu się powiedzie... dla kraju uczynić zdolam co zamierzałem, sobie szczęścia znaleźć nie potrafię!

Nie posądzam nieboszczyka króla Jana i cesarza Karola, aby ze złą wolą i świadomością skutków narzucili mi te kajdany — lecz gdyby nie to nieszczęsne ożenienie moje, ten kamień uwiązany u szyi, miałbym synów, Ludwikby mi nie wyrwał korony, nie byłbym ostatnim...

Opat, jakśmy mówili, był jednym z ludzi najlękliwsijszych, gdy szło o wygodne tlómaczenie niewygodnych praw kościelnych — miał na wszystko łatwą radę.

— Lecz ja waszej miłości mówiłem i powtarzam — odezwał się — że to małżeństwo bez pożycia z żoną, blisko lat piętnaście trwające, nie ma żadnej wagi, nawet wedle praw kanonicznych. W. królewska mość jesteś wolnym, ale potrzeba mieć odwagę w sobie, powiedzieć i działać do tego stosownie.

Król zdumiony nań patrzył.

— Tak jest, tak jest — powtórzył Opat — małżeństwem tego nazwać nie można.

— Któryżby z duchownych ślub mi się dać ważył, nim to Papież rozwiąże? odezwał się król, a czekać na rozwiązanie jakiegokolwiek sprawy w Awinionie... to i życie upłynie.

Nikt mi ślubu nie da!

Opat skłonił się królowi i z uśmiechem a fantazją rzekł.

— Ja dam, miłościwy panie! Wprawdzie do małżeństwa królewskiego co najmniej potrzebaby Biskupa, ale z ks. Bodzantą, dojść się rawy trudno, a ja, choć Biskupem nie jestem, infułę noszę, i gdy się przystroję, wcale poważnie wyglądam.

Każmirzowi wydawało się to tak nieprawdopodobnym iż w śmiech obrócił obietnicę.

Ks. Opat powtórzył ją.

— Znajdź tylko miłość wasza oblubienicę wedle serca swojego, ja nie cofam com rzekł. Ślub dam.

Każmirz zadumał się nad tem mocno, nie mówił więcej — lecz nie zapomniał.

Wieczorem, gdy do ks. Jana nadszedł Kochan dla rozmowy o panu swym i wielkiem utrapieniu, jakiego doznawał, widząc go tak dręczącym się i bezdzietnością, i życiem samotnem, Opat mu przerwał żywo.

— Niepotrzebnie stękacie! mówiłem to królowi, powtarzam wam, niech Każmirz sobie znajdzie żonę, — ja ślub mu dam. — Ja! słyszysz. Jak mnie oto widzisz żywego. Nie lękam się... Papież po namyśle tamto małżeństwo z Adelaidą uzna za nieważne. Co za związek, gdy lat piętnaście z sobą nie żyją! Narzucili mu gwałtem

babę brzydką i nieznosną, nie zbliżył się nawet do niej, mężem jej nie był i nie jest.

— Możeż to być? — zawołał Rawa.

— Mogłoby być, gdyby tylko król odwagę miał taką jaką ja mam.

— Na odwadze mu nie zbędzie, bo umęczony jest i bezdietnością tą, i życiem bez rodziny, w pustym domu, a miłości mu już obrzydły. — Ale któraż księżniczka albo wielkiego rodu pani zechce wyjść za niego, gdy jest wątpliwość... gdy.

— A wam koniecznie księżnej potrzeba! rozśmiał się Opat, przecie królewskie dziecię z jakiejbądź małżonki prawej zrodzone, takim będzie królewiczem, jakby w nim niewiem czyja krew płynęła. Byle młodą była a miłą mu i potomka dać mogła — niech bierze kogo chce...

I Opat raz jeszcze powtórzył wesoło, ręką błogosławiąc, jakby już ślub dawał.

— Ślub, ja dam.

Stał Rawa zadumany...

— Hm! — rzekł — król w Pradze będąc u cesarza, napatrzył sobie niewiastę, która mu bardzo w oko wpadła.

— Jakiego stanu? — zapytał ks. Jan.

— Mieszczka jest, ale bogata, poznał ją przecie na dworze, czasu zabaw cesarskich. Nie nazbyt młoda, urodziwa, poważna, stateczna, wdowa po Rokiczanie...

Ks. Jan odwrócił się żywo, bo nieraz w Pra-
dze bywając, znał tamtejsze stosunki.

— Wiem ją — rzekł — mąż Miklasz przecie
kościół swym kosztem zbudował. Ród dobry, choć
mieszczański, niewiasta z urody słynna i nikt na
nią złego słowa powiedzieć nie śmie.

— To prawda — rzekł Kochan — lecz na
królowę tego wszystkiego mało.

— No, to szukajcie innej, po Niemczech dziew-
cząt w książęcych dworach dosyć, ale ztamtąd
pono drugiej nie dadzą. Z Rusi król nie zechce,
bo się drugiej Aldony prostytutki obawiać będzie.

Pokręcił głową wesoly ksiądz.

— To nie moja rzecz wam swatać. Szukajcie
niewiasty, a ja — com rzekł, nie cofnę; powia-
dam raz jeszcze — jak mnie żywym widziecie,
ślub dam.

— Cóż na to powie biskup krakowski? —
spytał Kochan.

— Wolno mu powiedzieć, co chce — odparł
Opat — nie lękam go się. Lepiej jest ślub dać,
niżby miał się zagryźć i zmarnieć...

Kochan wyszedł równie głęboko zadumany,
jak król po rozmowie z Opatem. Nazajutrz razem
jechali na łowy, a ks. Jana, ktoby nie znał, ni-
gdyby w nim Benedyktyna i infułą przyozdobio-
nego Opatą się nie domyślił.

W krótkiej sukni, z mieczykiem u pasa, który
niby usprawiedliwiało prawo, pozwalające w obro-

nie życia nawet duchownym używać oręża, (a na łowach zwierzę się mógł trafić drapieżny); — na dzielnym koniu, którym władał jak rycerz, w płaszczu zarzuconym na ramiona niedbale; ks. Jan stawiał się młodo, pięknie, rażąco, lecz księdza w nim nie zostało ani śladu. Wielka tylko pewność siebie, wejrzenie śmiałe i częste, z przyzwyczajenia ręką prawą pospiesznie udzielane błogosławieństwa, kazały się duchownego domyślać.

Dobrej myśli zawsze, do rozmowy swobodnej ochoczy, do uczt towarzysz chętny, niezbyt dla ludzkich ułomności surowy — ks. Jan miał wielką miłość u wszystkich — lecz surowsze duchowieństwo koso nań spoglądało, o co on wcale się nie zdawał troszczyć.

Król bardzo go lubił; i jak mógł, ku sobie przynęcał i przy sobie utrzymywał.

W czasie łowów, na odpoczynku w lesie, ległszy przy królu, ks. Jan wczorajszą rozmowę wznowił.

— Miłościwy panie! szukajcie oblubienicy — ksiądz i stula gotowe!..

Kochan prawi coś o Rokiczanie.

Spojrzał na Kaźmirza, który drgnął, bo od wczora ją też miał na myśli.

— Niewiasta, jakiej się i na cesarskim dworze dziwowano, i pierwsze jej miejsce dawano — rzekł Kaźmirz. — Nie kryję się z tem, podobala

mi się bardzo, przylgnęło do niej serce moje...
Na skroniach jej i korony nie będzie nadto...

— Gdy się lat tyle dręczyło, mając to, czego kochać nie było można — odezwał się Opat — czas wziąć sobie to, co się miłuje. Alboż to królowie mieszczanek nie zaślubiali, a w rzymskich dziejach, ba i w innych są przykłady i dziewczek chłopskich? Jeśli serce miła... na co innej szukać?

Król zarumieniał się i rękę doń wyciągnął.

Czekajcie mało, księżo Opacie — rzekł — któż wie? wezmę was może za słowo...

Ks. Jan ochoczo i natarczywie, znowu się ze swą posługą ofiarował.

Wrócili do Krakowa, i tegoż wieczora Kochana król od warcab z Dobkiem oderwał, pozrywając go do siebie.

— Słuchaj — odezwał się do wchodzącego, zbliżając się z niecierpliwością, jaką zwykł był okazywać, gdy myśl wziął gorącą do serca — słuchaj — potrzeba mi — tu się zatrzymał i namyślał trochę.

— Potrzeba mi do Pragi zbiedz, lecz nie chcę aby ktokolwiekbaż wiedział o tem, iż tam będę.

Dla Rawy nie było w tem nic nad miarę trudnego.

— Pojedziemy wrzekomo na łowy — odezwał się — któż nas śledzić będzie? W podróży sposobów jest dość, by się nie dać poznać.

— A w Pradze? wrzucił król, i sam zaraz dodał.

— Przodem kogoś śłać potrzeba do Pragi.

Kochan celu podróży dorozumiał się łatwo.

— Jeśli do Rokiczany w poselstwie jechać, jam gotów! rzekł.

— Na nic się nie zdały posły i poselstwa — odezwał się król, ja sam się z nią rozmówić muszę. Chwila przyszła stanowcza... ks. Jan ofiaruje się ślub mi dać. Na wszystko się ważę, byłem miał nadzieję, że krwi mej Ludwik korony nie wydrze! Rokiczana mieszcza jest, ale królową być godna.

Rawa bynajmniej się nie sprzeciwiał temu. Dobek Bończa, przewany Fredrą, mógł dla bezpieczeństwa towarzyszyć Kaźmirzowi, bo na jego przytomność, odwagę i olbrzymią siłę śmiało rachować było można; Rawa sam chciał przodem do Pragi aby gospodę pewną przygotować i wdowę uprzedzić.

W krótkich słowach wszystko tak postanowionem zostało, jak król życzył, a Kochan doradzał. Dniem jednym miał on uprzedzić Kaźmirza, który z małym poczem nazajutrz po nim puścić się chciał do Pragi.

O świcie w kilka godzin zakapturzony Kochan wyruszył najkrótszą drogą, przesmykami i manowcami dobrze znajomemi do czeskiej stolicy...

Gospodę na Starem mieście miał już u mie-

szczanina Wujka, u którego parę razy stawał... szło tylko o obmyślenie jej dla króla i rozmowę z Rokieczaną.

Obrachował się i tak złożyło, aby o mroku a przed zamknięciem bram wjechać do miasta i do Wujka prosto pociągnąć. Pewien był tu dobrego przyjęcia, bo się szcudrze opłacał, a Wujkowa córka, piękna Zonia, zalotne, wesole dziewczę, którą sobie pozyskał, bardzo mu bywała rada.

Wiedzieli lub domyślali się wszyscy z czem tak często przybywał i — nie czynili z tego tajemnicy.

Zoni też, szczebioczącej chętnie, trudno było cokolwiek utrzymać w sobie; wypaplałaby była własny grzech, tak ją język świerzbiał. Sama do zbytku zalotna, rada była drugich służyć zalotom, bo się jej zdawało, że to ją uniewinniło... Właśnie był zajechał Kochan i w danej mu izbie się przebierał, gdy stojąca w progu Zonia postrzegła przechodzącego Jędrzyka. Znała go dobrze i o jego miłości dla Rokieczany wiedziała. — Litowała się nad nim i podżartowywała sobie z niego. Szedł z głową spuszczoną mimo niej, gdy swawolne dziewczę nachyliło mu się do ucha i zawołało:

— Powieś się Jędrzyk! powieś. Taki oni ci Krystynę wezmą. Znowu od króla polskiego przyjechał ten, co jej klejnoty wozi, żeby kamienną,

była, musi wreszcie zmięknąć... Ha! szczęśliwa niewiasta!

Stanął Jędrzyk i namarszczył się mocno; tego mu właśnie potrzeba było, bo już z dawna na Kochana czatował. Miał zamiar ostro natrzeć nań i spróbować odpędzić zabiegających około wdowy. Miał na sercu jej cześć, a i zadróść go piekła.

Zonia, splatawszy figla tego, pierzchnęła, śmiejąc się, na górę. Jędrzyk się przyczaił w rogu kamienicy.

— Nie nie wskóraj, mówił w duchu, niechże darmo nie włóczą się i sławy jej dobrej nie ujmują. Raz temu koniec musi być.

Zmierzchało już, gdy przebrany Kochan wybiegał od Wujka, spiesząc do wdowy, lecz zaledwie w ulicy się znalazł, Jędrzyk mu zastąpił drogę.

Sądząc, że go omyłką za innego wzięto, Rawa zamruczał i usiłował wyminąć natręta, lecz Jędrzyk go za płaszcz przytrzymał.

— Nie bójcie się, rozbójnikiem nie jestem, rzekł, wiem kto wy i z czem tu przybywacie, rozmówić się musimy.

— Ale ja nie wiem kto wy jesteście — odparł Rawa niecierpliwie chwytając za mieczyk, i nie mam czasu ani ochoty mówić z wami.

— Jestem Jędrzyk, kupiec tutejszy, znają mnie

wszyscy — zawołał Czech niedając mu ujść — musicie mówić ze mną.

Rawa się zżymał.

— Musu nie znam! zakrzyczał. W tej chwili Jędrzyk mu coś na ucho szepnął. — Kochan złągodniał, o kilka domów dalej weszli do jego mieszkania.

Zapaliwszy światło, kupiec kazał podać wieczorny napój, chcąc prawu gościnności zadość uczynić, siadł na ławie naprzeciw Rawy i począł...

— Przyjechaliście znowu? hę? ale to wszystko nadaremnie! król czy nie król, Rokieczany nie weźmie bez ślubu. Ja ją znam od dzieciństwa. Gdyby chciała nawet, a nie zechce pewnie i sama, rodzina i przyjaciele jej nie dopuszczą.

Pocóż nadaremnie ludzkim złym językom karm, dawać!

I chwilkę pomyślawszy, Jędrzyk oczyma rozpalonemi spojrzął na Rawę, dodając z odwagą, która go widocznie dosyć kosztowała.

— Prawdę wam powiem całą, jam jej ni brat, ni swat, pokrewieństwo z nimi bardzo dalekie, alem ją od dzieciństwa miłował i choć z tego miłowania tylko zgryzotę mam, a więcej nie mieć nie będę — przecie nie przestanę. Dla mnie ona za wysoko, ale nie dopuszczę, aby drudzy jej krzywdę czynili.

Powinniście wiedzieć, że z wielkiego miłowa-

nia, człowiek na szalone się rzeczy porywa... Otóż, zważajcie... ja wam to tylko powiem, że kto jej sławę i cześć naruszy, — jam na wszystko gotów...

Męża nie ma, krewni, Bóg ich wie święty czy się ruszą w obronie, a no... ja, jak Bóg Bogiem. Człek jestem mały, kupiec sobie... ale to nie, ręce mam i grosz ostatni w to włożę...

Nie dokończył, pięścią tylko uderzywszy w stół... Zagryśł usta i na przeciwnika spojrzał, czekając odpowiedzi.

Kochan, człowiek doświadczony, wedle potrzeby miał być zimny i mógł być gorący, a trzymał się tego prawidła, że przeciw gorącym stawał się zimnym, dla zimnych zaś bywał sierzdysty i gorący.

Tu, mając przeciw sobie roznamiętnionego i złego już, acz na wodzy się trzymającego Jędrzyka, — ostrygł nmyślnie.

— Posłuchajcie no, rzekł — ja bo dobrze nie rozumiem, czego chcecie. Kłamać nie będę, no tak, król mnie do Rokiczany posyła, ona nie wypędza za drzwi. Wdową jest, panią siebie.

— E! e! ofuknął Jędrzyk — kobieta zawsze potrzebuje dozoru... to darmo.

— Opiekunów też ma, w braciach nieboszczyka Miklasza! odparł Rawa.

— A tak — rzekł Jędrzyk — ale oni się mogą nie dopilnować, a ja...

I rzeźko zagadnął.

— Mówcie, czego chcecie od niej? Cóż? żeby do was do Krakowa jechała? Obiecujecie jej bogactwa? ziemię? co?

Kochan ramionami ruszył.

— Spowiadać się wam nie mogę, odparł, powiem tylko, że wy sobie nadaremnie krew psujecie. Ona sama na plewę się nie da wziąć, kobieta rozumna.

— A tak! podchwycił Jędrzyk — ale kobieta, a io — król!-

— Niedość, że król, lecz człowiek taki, który niczyjej krzywdy nie chce — rzekł Kochan i zamilkł.

Spojrzeni na się mierząc się oczyma. Gra nie była równa, Kochan, człek przebiegły, dworak, Jędrzyk poczciwy, prosty i nadto gorący.

— Ja wam to powiem — odezwał się, pomilczawszy, że uchowaj Boże pokrzywdzicie ją — ja, nie daruję...

Sparł się na rękę.

— Przypomnijcie sobie głośną tę historię z Amadejami na Węgrzech. Tu o niej wszyscy wiedzą. Stary ojciec prawda życie stracił, nie pomścił dziecka, ale się porwał — cześć mu była miłą. Ona dla mnie więcej niż córka dla ojca, ja ani rodziców, ani rodziny nie mam. Jedno słońce na niebie, jeden ja na świecie...

Kręcił głową Kochan.

— Dalej, że co? rzekł. — Powiedzieliście, coście chcieli — jam wysłuchał, na tem koniec.

Teraz zaś ja wam tyle tylko odpowiem, że ostrzeżeni przez was jesteście, zatem wy dla nas mniej straszni. I — po wszystkim.

Jędrzyk widząc powstającego z ławy Kochana, jego zimną krwią więcej jeszcze zniecierpliwiony, chwycił się też z siedzenia.

— Ostrzegłem was przez poczciwość, bo nie chcę... nie chciałem napisać niespodziewających się.

— I sądzicie, że się ulękniemy? spytał Kochan.

Jędrzyk rękę w długie włosy zatopił i rwąc je — zawołał:

— Wasza sprawa w tem — mnie gdyby ostatni grosz przyszło stracić, pięćdziesiąt i sto ludzi najać... — gotówem.

— A my możemy postawić ich trzystu, zaśmiał się Kochan. Lecz po co się to zdało mówić, wodę warzym...

Chciał wstać znowu.

Jędrzyk postradał cierpliwość.

— Dajcie pokój temu nadaremnemu jeźdźeniu zawołał — z tego nie będzie nic, ja wam mówię — nic!! a kobiecie głowę psujecie. Ożeniłby się z nią który z bogatszych naszych mieszczan albo i panów...

— Lub wy! rozśmiał się Kochan.

— Nie! zawołał Jędrzyk, jam dla niej za mały — ja o tem nie myślę — ale jej losu psować nie dam.

Dajcie pokój temu jeżdżeniu powtórzył.

— Wiecie przecież, iż jestem sługą króla — odparł Rawa — nie mogę rozkazowi się sprzeciwić.

— Mów królowi!

Rawa ręką rzucił obojętnie.

— Darujcie — rzekł — wstając raz jeszcze. Chcieliście rozmowy, dałem się wciągnąć, wysłuchałem, coście mieli do powiedzenia, a teraz czasu nie mam...

Więc — czołem.

Jędrzyk mruczał, dąsał się, zły był, że nie sprawił, lecz wstrzymywać go już i nie mógł. Powtórzył pogroźkę, za wychodzącym spojrzął i ręce załamał...

Kochan ramionami ruszywszy, do Rokieczany szedł wprost, lecz nie zastał jej w domu, ani starej ochmistrzyni, którą już był sobie, równie jak sługi, podarkami kupił.

Dano mu więc w pierwszej izbie na ławie siąść i czekać na jej przybycie, zapewniając, że z wesela na Nowem mieście wkrótce będzie z powrotem. Na przekorę mu się to stało, bo powinien był jeszcze gdzieś dla króla szukać bezpiecznego ukrycia, a potem naprzeciw niego wyjechać aby go tam zaprowadzić.

Późno już, strojna jak wielka pani, klejnotami okryta, tańcem prawie całodniowym zmęczona, zjawiała się wdowa, którą bardzo piękny, rycerskiej postawy mężczyzna odprowadzał. Był to, jak łatwo poznał Rawa, nowy załotnik jakiś, ubogi baron niemiecki, urzędnik z cesarskiego dworu, który pono więcej dla pieniędzy, nie dla piękności zalecał się Rokiczanie. Zmierzył oczyma podejrzliwemi Kochana oczekującego, namarzczył się groźnie i — odszedł.

Drugie to już niemiłe było spotkanie.

Wdowa tym razem Kochanowi niezbyt rada była. Przyjęła go kwaśno; brwi ściągnęła...

Niedługo czekając, Rawa jej szepnął, że pan jego sam ma nazajutrz przybyć potajemnie.

Usłyszawszy to, Rokiczana aż ręce załamała.

— Po co? zawołała, aby z ust moich to posłyszał, co mu przez was tyle razy mówiłam? Daremna to rzecz, bo mnie za żadne skarby świata nie kupi.

~ Z czemże jedzie?

Rawa nie chciał odkryć się z tem.

— Nie wiem, rzekł, lecz choćby tylko, aby wam w oczy popatrzeć, co za dziw?

— Tak! jemu to nie zaszkodzi pewnie — odparła wdowa z goryczą. Zabawi się, a co mnie potem spotka od swych i obcych wymówek i szyderstwa, co ja będę musiała odplakać za to

i odboleć, wy tego nie liczycie! wam to wszystko jedno.

Myślicie, że gdybyście go w Pradze najlepiej ukryli, ludzie o nim wiedzieć nie będą? A co o mnie powiedzą, do której król potajemnie w odwiedziny przyjeżdża?

Zagniewała się i płakać zaczęła, a chustkę niosąc do oczów, i na Kochana spojrzeć nie chcąc, szła do drugiej komnaty — on za nią.

— Z czem król przybywa, nie moja rzecz — rzekł pocieszając ją, ale ja wam to tylko powie-
dzieć mogę, że jeśli — ten raz darmo przyjedzie...
więcej go nie zobaczycie. Wiecie wam... ważne
słowo!

Rokiczana podniosła oczy na niego.

— Jakież słowo?

Rawa zamilkł...

— Postyszycie sami — odparł. Bądźcie do-
brej myśli, mnie się widzi, że was większe szczę-
ście spotka, niż się spodziewacie.

Uśmiechnął się — i odszedł, zostawiając ją
w rozmyślach — co król za słowo ważne mógł
jej przywieźć.

Dnia tego już nie było co począć dla spóźnio-
nej pory, wrócił więc do Wujka i jego Zoni,
z którą cały wieczór na wesołych żartach i swa-
woli przepędził, bo dziewczyna była śmieszek
niezmordowany, zalotna bez miłosierdzia — i
świeża jak jagódka. Przyszło do tego wśród żar-

tów i dwuznacznych słówek, że Zonia Kochanowi szepnęła.

— Jeżeli Rokiczanę ztąd weźmiecie do Polski dla króla — wiecie co? mnie jej dajcie za starszą służkę. Będziemy tam wieczorami tak się we dwojgu zabawiali jak tutaj.

— Albo i lepiej! zawołał Kochan, śmiejąc się. Dobrze! Byleście chcieli...

— Pojadę — ale z Rokiczaną... Będę wam jej pilnowała...

Poszeptala coś Kochanowi na ucho.

— Juści tak czy owak, a panien do boku jej potrzeba dodała...

Rawa pół żartem, pół naprawdę przyrzekł, za co otrzymał całusa, niby ukradzionego, niby zdobytego, lecz w istocie obiecującego wiele.

Zoni się marzyło — na dworze bogato i sławnie za mąż wyjść.

Po cichej rozmowie z Wujkiem, którego wtajemniczyć musiał Kochan, okazało się, że najlepiej było króla w jednym z klasztorów na Starem Mieście ukryć, gdzieby go oczy ludzkie nie tak łatwo wyszpiegowały. A że zakony wszystkie prawie te, które w Krakowie miały domy, i tu się znajdowały; stosunkami były połączone z polskimi klasztorami — nie zdawało się to rzeczą trudną. Udał się więc poseł do Przeora Dominikanów, i po krótkiej we cztery oczy rozmowie z nim, z wielką łatwością otrzymał zapewnienie,

iż króla przyjmą, nikomu nie wyjawiając tajemnicy...

Ułożywszy to Rawa, na konia siadł i sam jeden wyjechał na spotkanie króla.

Lecz przeznaczeniem jego było, by go rozmaite przeszkody niecierpliwiły i — czas mu zabierały.

W ulicy, zaledwie kroków kilkanaście od domu Wujka odjechawszy, spotkał stojącego na koniu, tego samego zalotnika, cesarskiego komornika, barona Hasch'a, który go wczoraj u Krystyny widział.

Poznawszy go, starał się uniknąć i wyminąć, lecz Hasch, który na niego czekał, dogonił i obok stanąwszy — dość niegrzecznie począł rozmowę.

Rawa nie nawykł był od nikogo znosić nawet lekceważenia...

— Nie ujdziecie mi! wołał, doganiając go Hasch. Wiem, kto wy jesteście, i coście u pięknej Krystyny porabiali. Czy postem przybyliście, czy dla siebie — trzeba się ze mną wprzód rozprawić, nim do mojej wdowy się dostaniecie.

— Jakto, do waszej? zapytał Rawa, stojąc i gniewny już.

— Do mojej, bo ja się zalecam do niej, a nie zwykłem cierpieć drugich obok siebie!

Kochan się rozśmiał pogardliwie.

— Jeżeli wiecie, kto jestem, rzekł, musicie wiedzieć, że ja tu nie dla siebie przybyłem.

— Hm! zawołał Hasch — ludzie mówią różnie. Jesteście sługą króla — są tacy, co utrzymują, żeście się dla niego ożenić gotowi.

Rawie krew uderzyła do głowy.

— Jestem takiego pochodzenia, jak i wy, pasowanym też rycerzem — rzekł zimno — potem coście powiedzieli, nie pozostało nic, tylko na rękę wyzwać i — bić się.

Dziś na to czasu nie mam, jutro gotówem.

Hasch wydał usta.

— Dobrze, rzekł — do jutra...

Kochanowi szło o to, aby mu się wyrwał, i mógł zawczasu przeciw króla wyjechać, rękawicę mu zręcznie na siodło rzucił, jako znak, konia spał i poleciał...

Niemiec nie pogonił za nim. Chwilę stał, namyślając się, potem za późno już było.

Wykupiwszy się od niego wyzwaniem, Rawa wybiegł z miasta na gościniec ku Krakowu, i dopiero dobry kawał drogi zrobiwszy, koniowi po-folgował.

Miejsce wybrawszy pod laskiem, w którem na króla miał czekać, zsiadł z konia, ukrył się w zarośla na przypadek pogoni, i patrzył rychło li Kaźmirz nadąży.

Już dobry zmierzch padał, gdy się orszak królewski ukazał, który Kochan poznał łatwo, chociaż nie pańsko wyglądał. W kilkanaście koni tylko wybrał się Kaźmirz, dwór swój przyo-

dziawszy szaro i niepozornie. Oręż też, choć najlepszy, tak był dobrany, żeby w oczy nie wpadał. Król sam, aby na siebie nie zwracać uwagi, jechał dalej w orszaku, a przodem, jako pan, pysznił się dorodny i wesoły Dobek Bończa, którego to udawanie zabawiać się zdało. Dwór mu oddawał cześć, jakby on tu był najprzedniejszą osobą. Kochan, zobaczywszy zdała poczet, konia dosiadł i podjechał do króla, aby ze wszystkiego sprawę zdać.

Zatrzymali się jezdni, lecz niewiele na rozmowę czasu było, gdyż zamknięcie bram starego miasta potrzeba było uprzędzić.

O Jędrzyku i jego groźbach nie miał potrzeby wspominać Kochan, lecz Haseba i wyzwania jego zatrzeć nie mógł. Kaźmirz się zachmurzył i nierad mu był — przypisując nieostrożności ulubieńca, że się tam bytność jego wydała, a przez nią i królewska zdradzić mogła.

Posepnie więc wcisnęli się do miasta, u bram oznajmując, jako ziemianie z Polski za sprawami swemi przybywający. Nie zwrócili zbytniej uwagi, gdyż między dwoma krajami stosunki były żywe, i nawzajem Polaków do Czech, Czechów do Polski przybywało wielu.

Małemi uliczkami Rawa poprowadził króla do dominikańskiego klasztoru, nikogo szczęściem nie spotykając po drodze...

Wieczora tego oznajmił Krystynie przyjazd

królewski, a do jutrzejszej walki z Haschem musiał sobie szukać towarzyszków i świadków.

Każdego dnia, chociażby ani się gości spodziwała u siebie, ani sama wybierała w gościnę, piękna Rokiczana poświęcała czasu dosyć na strój i starania o pleć, o twarz, o wszystkie przybrania niewieściego szczegóły.

Utrzymywano, że dla zachowania piękności swej w całym jej blasku, miała jakieś środki tajemne, jakieś drogo kupione wody, elixiry, barwiczki, lekarstwa, które świeżość zachowywały, i podwajały ją jeszcze.

Osobna komnata była na to przeznaczoną, do której nigdy nikomu wchodzić nie pozwalała. Klucz od niej zawsze miała przy sobie. Sługom też towarzyszyć jej tam z rana, gdy wprost z łóżka udawała się, nie było wolno. Jedna stara krewna i ochmistrzyni szła tam z nią; zamykały się na klucz ze środka, i często długo czekać było potrzeba, nim wdowa wyszła, już na poły ubrana...

Od dawna bardzo budziło to niezmierną sług wdowy ciekawość, podglądały, gdy wchodziła, czatowały, gdy wracała, próbowały zajrzeć przez otwór klucza, ale ten tak bywał w zamku umieszczony, że oko wcisnąć się nie mogło do wnętrza.

Ze szczególnem staraniem wdowa strzegła klucza tego, nie rzuciła go nigdy, zawieszała pod suknią u pasa nawet przy najwykwintniejszym stroju. Kobiety, które nań czatowały, wreszcie zrozpaczywszy, aby się mógł im kiedy dostać w ręce, wyrzekły się nadziei zdobycia tajemnicy.

Rosły ztąd mnogie przypuszczenia, które czarów się jakichś domyślać kazały. Starą ochmistrzą, jedyną powiernicę, zwano i miano za czarownicę... Udawały się do niej i inne chciwe odmłodzenia i wypięknienia niewiasty, lecz nie zyskać nie mogły. Śmiała się starucha, spluwała, zżymała, zaklinała, że nie nie zna i o niczem nie wie.

Wiedziano, że czasem stara wieczorem grzanego wina wypijała trochę więcej, niż na sen było potrzeba; dziewczęta myślały korzystać z tego, i jakie nieostrożne słówko pochwycić — nie dowiedziały się nic.

Piękność, pełną blasku, wdowy, tajemnym rannym tym staraniom około niej przypisywano... Napróżno było sprzeciwiać się, rzecz stała się z czasem przyjętą powszechnie — i nie ulegającą już wątpliwości.

Dnia tego, gdy król przybyć miał, dłużej może niż kiedy siedziała wdowa w tej komnacie zamknięta, a potem, co się bardzo rzadko trafiało, po raz drugi z ochmistrzą do niej weszła, i ukazała się tak utrefioną pięknie, tak majestaty-

czną, tak nadewszystko świeżą i młodą, że jej o lat dziesiątek młodsze zazdrościły dziewczęta.

Każmirz, nie czekając południa, bardzo skromnie ubrany, pieszo, z nakryciem głowy axamitnem, które na oczy było napuszczone, w towarzystwie Dobka jednego udał się do wdowy.

Czekano nań tam, a Rokiczana strojna, wonościami obiana, chodziła niespokojna od okna do okna wyglądając, aby króla przyjąć u progu. Na twarzy jej tego dnia nie widać było wcale rozradowania i tryumfu, raczej dumę, podrażnienie i troskę. Zbyt łagodną, miłą — nie była prawie nigdy, przypisywano to owdowieniu, iż zawsze chodziła z twarzą zasepioną, a wśród najweselszych zabaw, biorąc w nich udział, nie rozśmiała się nigdy z serca. Uśmiech jej był proszonym gościem na ustach.

Gdy król wszedł, i tego nawet wymuszonego na nich nie znalazł; głębokim pokłonem, z wielką powagą przyjęła go i milcząc, zaprowadziła do wielkiej izby gościnnej, przybranej na ten dzień we wszystkie najbogatsze sprzęty domu...

Każmirz, który szedł szybko i niespokojny, nie zwrócił nawet oczu na to, co go otaczało, patrzył na wdowę, ujął jej rękę, i zmusiwszy usiąść przy sobie, rozpoczął rycerską rozmowę od oświadczenia, że z wielkiej tęsknoty dla niej, wytrzymać nie mogąc, tu przybywał.

Rokiczana z brwiami ściągniętymi słuchała.

Pokazał jej Kaźmirz pierścień na palcu i rzucawszy okiem na rękę, spotkał się też ze swym safirem.

— Miłościwy królu — po krótkim milczeniu, odezwała się Rokiczana z przygotowanym już przemówieniem, bardzo jestem wdzięczną Miłości Waszej za łaskę tę, jaką masz dla mnie. Umieję ją ją cenić — lecz... ludzie mi ją drogo opłacać każą.

Spojrzał Kaźmirz.

— Ludzie? a to, jak? zapytał.

— Zazdrośni są i złośliwi — więc szarpia sławę bezbronnej wdowy — rzekła Rokiczana. Już sami posłańcy twoi, królu, w oczy im koła, a cóż dopiero teraz będzie, gdy się o tobie dowiedzą?

Załamala rękę białe.

— Zaklinam Miłość Waszą, ciągnęła dalej, nie gubcie mnie.

Król dotknął jej ręki.

— Dość! dość, odparł — ja tu do was z czem innem przybyłem. Posłuchajcie mnie, bo to go dzina będzie dla mnie i dla was stanowcza. Tak mi cześć wasza miła, jak wam... uszczerbku jej czynić nie chcę... Powiedzieliście, że do was droga przez kościół wiedzie... nie wzdragam się jej. Ślubować wam będę.

Rumieniec wystąpił na twarz wdowie, zadrżała, pomilezała trochę, ręką przesunęła po twarzy.

— Jakże to być może? — rzekła. — Calemu światu wiadomo, iż żonę macie?

— I świat cały wie, że lat piętnaście z nią nie żyję, nie widuję jej — rzekł król. — Dałem znać ojcu, aby ją nazad zabrał do siebie — i stanie się to. Małżeństwo zostało rozerwane, Pa pież mnie rozwiąże, a Biskup ślub jest dać gotów.

Mowa królewska tak była dziwną, a tak ją znalazła nieprzygotowaną, iż czas jakiś siedziała niema, słowa przemówić nie mogąc. Czuła na skroni swej zimne dotknięcie korony królewskiej, na ramionach płaszcz szkarłatny, widziała się na złocistym tronie, górą po nad tłumami zazdrosnemi, królową!

Lecz ten sen błyskawiczny przeleciał prędko.

— Panie! — zawołała — nie uwodźcie mnie... to być nie może!

— Słowo moje królewskie za to wam ręczy — odparł król z wielką powagą. Nie obiecywałem tego, nie mówiłem przecież o tem, dopóki nie przekonałem się, że to, co przyrzekam, możliwem jest. Ślub nam dadzą, mam pewność.

Wdowa spuściła główkę, zacięła usta, nie miała już odpowiedzi na to... Rzecz nieprawdopodobna więc ziścić się miała — Rokiczana królową!

Spojrzała na tego, który chciał być jej mężem,



po raz pierwszy tak blisko, w blasku dnia go widząc przed sobą.

Szlachetne rysy jego nosiły na sobie ślady lat przeżytych i cierpień wielu, czoło było zorane, świeżość młodości znikła z twarzy tej męskiej, lecz jeszcze pięknej, wrażliwej poszanowanie, a nadewszystko dobrocią namaszczonej, której smutek dodawał wdzięku. Piękny ten jeszcze, w sile wieku mężczyzna, z włosiem brunatnym, spadającym na ramiona, w którym zaledwie rzadką siwiznę dojrzeć było można — patrzył na nią z zachwyceniem, z upragnieniem czekając słowa...

Nie mogąc się go doczekać, bo wdowie całej drżącej, myśli w głowie poplątanych zebrać nie było łatwo, Kaźmirz mówił dalej.

— Nie mam potomka, wiecie, że w razie, gdyby mi go Bóg odmówił, korona jest już siostrzanowi memu przyrzeczona... Lecz nie zwątpiłem jeszcze, wy może będziecie matką tego upragnionego...

— Panie — przerwała Rokiczana niespokojnie — zaklinam was! mówcie, jestże to pewnem? Miałożby to prawdą być? Nie jest to sen i złudzenie?

— Mówiłem wam, ślub nam dać przyrzeczono... wyciągam do was rękę... ofiarując przysięgę...

Tu król zatrzymał się nieco...

— Tak jest, jak powiadam — dodał — lecz, ponieważ z Biskupem krakowskim jestem od lat

kilku w wojnie, błogosławić nam będzie inny... Aż do tego czasu zachowaną być musi tajemnica, aby nam przeszkód nie stawiono. Książę ojciec zabiera Adelaidę, ja was na zamek wprowadzam...

Rokiczana milczała, wszystko to tak się jej nieprawdopodobnem zdawało, iż przyjść jeszcze do siebie nie mogła. Obiema rączkami ujęła się za skronie.

— A! panie — zawołała — wy to wiecie sami, jakżebym mogła odrzucić koronę i cześć taką dla mnie i dla rodu mojego? Lecz — lecz, wszystko to jeszcze brzmi mi jak dziwny sen. — Dajcie zebrać myśli i sercu niespokojnemu się ukołysać. Nie wiem co myśleć, co mówić, nie wiem co czynić!

Kaźmirz skorzystał z tej chwili niepewności i na białem jej czole złożył pocałunek, ręce jej bez oporu wziął w dłonie, pochyliła się ku niemu. Widział, że była zwyciężoną, że się poddawała, lecz tak jeszcze wydawało się to jej dziwaczne, tak niemożliwe, pomimo zapewnień króla...

— Mów, piękna Krystyno — nalegał Kaźmirz — wszak mam słowo twoje?

— A rodzina? — spytała wdowa.

— Na Boga! dość będzie miała czasu się tem uradować, gdy ją po ślubie, o nim uwiadomiemy — rzekł król z pewną dumą. — Sprzeciwiać się przecież nie mogą?

— Dajcież mi choć chwilę namysłu! — szepnęła Krystyna, głowę cisnąc rękami.

— Na co ci rozmyślanie potrzebne? — odparł król trochę zniecierpliwiony. — Ja się tu przekradając, dostałem; na dworze cesarskim nie wiedzą o mnie i wiedzieć nie powinni; powracać muszę jak najrychlej, czekać nie mogę, odkładać nie chcę... Wszystko natychmiast potrzeba ułożyć i zapewnić...

Nie potrzebujesz głosić o tem przedwcześnie, aby nowych jakich przeszkód nie wywołać. Nim dojedziesz do Krakowa, ślub nasz odbędzie się w Tyńcu. Wszystko już do niego przygotowane.

Piękna Krystyna zmięszana, to ręce załamywała, to skroń uciskała niemi; nadzwyczajne to szczęście budziło w niej przestach, obawę czegoś równie niespodziewanego, jak ono.

— Panie mój! — zawołała zwracając się do króla. — Przynosisz mi zaprawdę wielką cześć... nadzieję losu, jakiegom się nigdy spodziewać nie mogła... lecz — pozwól, daj mi — odetchnąć, myśl zebrać... westchnąć do Boga! Drzę cała.

Król spojrział na nią z powagą i litością razem; wstał zwolna... Przyłożył usta do jej czoła i rzekł z cicha.

— Odchodzę więc — wrócę za godzin kilka. Uspokój się, piękna Krystyno, wierz słowu królewskiemu... nie obawiaj się nic... Uczynisz

mnie szczęśliwym, a ja o szczęście twe starać się będę.

To mówiąc, ujął jeszcze rękę jej drżącą, spojrział w oczy, uśmiechnął się i zwolna wyszedł z komnaty.

Rokiczana nawet odprowadzić go nie mając siły, padła na siedzenie i płakać zaczęła, sama nie wiedząc dla czego.

Jakaś trwoga niewysłowiona, bezprzyczynna, ogarniała ją — mrowie przechodziło po ciele, serce biło. — Królową, miała zostać królową — lecz... w istocie ona nią była tu pomiędzy swojemi, pięknnością, dostatkiem, znaczeniem, a tam — królową się zwać, miała się czuć podniesioną, dźwigniętą, — wziętą z tych poziomów na wyżyny.

Rozumiała to, iż królową zostając, straci — król był dla niej miłym mężczyzną, ale miłości dlań nie czuła, tak, jak jej dotąd nie miała dla nikogo...

Nowe życie, świetne, blasku pełne, miałoż jej przynieść szczęście?... Tu otaczał ją cały krąg wielbicieli — a tam? tam!!

Łamała ręce. — Nie wiedziała kogo wezwać na radę, co postanowić. Odrzucić, duma nie pozwalala, przyjąć, strach bronił...

Siedziała jeszcze, ocierając łzy i dumając, gdy — wszedł, prawie przebojem, Jędrzyk.

Krystyna od dzieciństwa nawykła była do tej

miłości i opieki, jaką nad nią rozciągał. Gniewał ją czasami, odpędzał go, gdy nadto widocznie i natrętnie do spraw się jej mieszał — wierzyła mu jednakże i ufała, że najlepiej jej życzy.

W tem usposobieniu, w jakim się znajdowała, Jędrzyk zdał się jej jakby zesłanym po to, aby przyniósł dobrą radę.

Kupiec skłonił się, i jak zawsze, od przeproszenia rozpoczął.

— Gniewajcie się na mnie, jeśli chcecie — rzekł — alem się tu wparł gwałtem. Posłuchajcie mnie, piękna Krystyno, Bóg świadek, nikt lepiej wam nie życzy.

— Wierzę — odparła wdowa, zbliżając się zwolna ku niemu — wierzę i dam tego dowód... Nie zdradzicie mnie?

— Ja? — odparł Jędrzyk — kładąc rękę na piersi.

— Powiem wam pierwszemu, wam może jednemu, co mnie spotkało. Król polski...

Kupiec rękami strzepnął i przerwał.

— Któż nie wie, że się on w was rozmiłował? Całe miasto o tem trąbi, a ja przychodzę, żebyście im dali odprawę, tym...

Ruszając ramionami, spojrzała na niego groźnie Krystyna.

— Król polski żeni się ze mną — odezwiała się, patrząc, jakie na nim zrobi wrażenie.

Jędrzyk się szydersko uśmiechnął.

— Zwodzą was niegodziwie! okłamują! — krzyknął — Jak on się ożenić może? od piętnastu lat ma żonę? Żyje przecież ta Adelaida.

— Słuchaj — przerwała wdowa kwaśno — król, król sam mi to mówił, z jego ust słyszałam; małżeństwo to rozerwane, ona odjeżdża do ojca — a on — żeni się ze mną.

Jędrzyk uszom nie wierzył.

— Tak jest! — potwierdziła Krystyna — tak jest. Biskup się zobowiązał ślub nam dać.

Zamyślony kupiec nie odpowiadał nic. W głowie mu się to nie mogło pomieścić.

— Ja ani praw tych tam dobrze nie znam, ani wiem, co można, a co się nie godzi, i czy królom to wolno, co drugim zakazane... ale to mi się zdaje oszukaństwem, kłamstwem...

Pamiętam, żem słyszał kiedyś o jednym francuzkim królu, co się z jakąś hrabianką Merańską ożenił, żonę pierwszą odprawiwszy. A co potem było? Papież mu ją precz kazał odprawić!

Ruszył ramionami.

Rokieczana się zadumała, splotły się jej ręce, zaczęła przechadzać się po pokoju. Jędrzyk stał i głową pokręcał dziwnie. Patrzył za nią.

— Nie! — odezwała się nagle — nie! słown królewskiemu wierzyć można. Z oczów mu patrzy szlachetność — ten człowiek kłamać nie może...

Jędrzyk drgnął i podszedł ku niej żywo.

— I wy myślicie, nikomu o tem nie mówiąc, zawierzyć i oddać się?

— Mówić o tem nie mogę nikomu. Wam powiedziałam, boście przyszli w taką godzinę, żem w sobie tej tajemnicy utrzymać nie mogła... a wierzę, iż mnie nie zdradzicie...

Odepchnąć koronę? nie chceć być królową?— dodała. — Byłabym szaloną, ludzie by mną wzgardzili.

Chodziła po komnacie.

— O Boże! — zawołała, jakby sama do siebie. — O Boże! Co pocznę? co odpowiem? Głowa pęka...

Jędrzyk westchnął, litość czuł dla niej.

— Wiecie co? dam wam radę dobrą — odezwał się cicho. — Nikt was lepiej nie oświeci nad naszego pocziwego biskupa Jana z Drażyc. Duchowny jest, tajemnicy nie wyda — a on to lepiej niż wy zrozumie...

Krystyna się namyślała.

— Nie... nie mogę głosić tego! nie mogę za radą biegać! czasu nie mam. Żłem uczyniła, żem wam to powiedziała... ale, stało się... za godzinę muszę rzec — tak, lub nie...

Kupiec długo nie odzywał się, dumął.

— Kiedyż wam to król mówił? król, sam? spytał. Jegoż tu nie było temi czasy?

Zarumieniła się wdowa, postrzegłszy, że mogła zdradzić przyjazd Kaźmirza i zawołała żywo:

— Jak się do mnie słowo królewskie dostało, to moja rzecz... dosyć, że je mam! żem go pewna...

— A ja mu nie wierzę — rzekł kupiec — nie rozumiem... Wiele dla was uczynić można, ja to wiem, wiele ucierpieć... ale są takie sprawy, którym i królowie nie podolają... Żony porzucić nie godzi się, a ta, co wasze szczęście oblewać będzie łzami — u pana Boga wam nie pomoże...

Na co wam jakiejś tam korony żądać? alboście między swojemi nie królową? na czem wam zbywa? Także tego króla miłujecie?

Krystyna nie zdawała go się już słuchać, chodziła zadumana.

— Jędrzyk — przemówiła w końcu — nie zdradź mnie — nie darowałabym ci tego... Co Bóg naznaczył mi — stanie się. — Niech będzie co chce...

I powiedziawszy te słowa, rozplakała się. Płacz był dziwny, mimowolny, padła na siedzenie, zakryła oczy, Jędrzyk szepnął kilka słów uspokajających, powstał, nie mogąc się doczekać słowa — na ostatek widząc, że darmo by już ją chciał przekonywać, wyszedł tak zafrasowany, tak pogrążony w siebie, iż sam nie wiedział, jak znalazł się u siebie w domu...

Krystyna była — zgubioną! powtarzał to sobie — nie było już na to ratunku.

W kilka godzin potem król znowu wszedł do dworu Rokieczany, zabawił w nim z godzinę, i wymknął się z niego uradowany, wesół, Dobkowi, który z nim był, zapowiedziawszy tylko, że do podróży z powrotem jak najprędzej wybierać się mają. Brakło do niej Kochana, który tego dnia zrana wyszedłszy z domu, nie obiecał się, aż sprawę z Haschem załatwi. Rawa bił się dzielnie, ani na meztwie, ni na zręczności mu nie zbywało. Król chciał go mieć przy sobie, lecz dnia dłużej tu pozostać nie myślał.

-- Nagoni nas — odezwał się do Dobka — czekać tu, niebezpieczna dla mnie rzecz. Nużby się na dworze dowiedziano?

Będą później mówić o tem? złoży się na puste pogłoski...

Zaczęto się już przysposabiać do drogi, gdy pacholę od Wujka, wysłane do klasztoru, przybiegło z wiadomością, że Kochan dosyć ciężko cięty mieczem w rękę, leżał i — potrzebował dni kilkunastu, aby się rana przygoiła.

Król zżymał się na to, lecz orszakowi kazał stawać do podróży, mnichom szczodry zostawił datek i Dobkowi kazał prowadzić się do kamienicy Wujka, bo chciał Kochana widzieć i pomóc z nim na osobności.

Ponieważ dzień jeszcze był jasny, ważył Każ-

mirz wiele - lecz tak był na duchu swobodnym i śmiałym, że go to prawie bawiło, iż miał niepostrzeżony w tłum się wmieścić i niepoznany się przemykać po mieście.

Kochan leżał, tylko co obwiązany, i rozprawał z gospodarzem o swoim spotkaniu, — gdy na progu ukazał się król.

Jakiś czas Rawa, zobaczywszy go, nie mógł przytomnieć i nie wiedział co począć. Kaźmirz dał mu znak, aby odprawił świadków niepotrzebnych.

Zostali sami.

— Musisz w Pradze siedzieć — rzekł Kaźmirz prędko — ja jadę tej chwili. Pilnujże mi tu Rokiczany. Słowo mi dała. Trzeba, abyś ją wyprawił do Krakowa, a naprzód do Tyńca, gdzie Opat ślub nam da... Niech jedzie, niech co najprędzej jedzie — a ty, kiedy się tak złożyło, razem z nią.

Wierzynek ci przysze pieniądze. Zwlekać nie dawaj.

Kochan nie miał czasu odpowiedzieć słowa, król już się otuliwszy płaszczem, z wesołą twarzą nazad zawracał.

— Rana ci się wynagrodzi, boś ją dla mnie dostał — dodał — nie frasuj się zbytnio. Przybawaj skoro... zdrów bywaj...

O ile mógł dla ręki, pochylił się Rawa do kolan króla, który raz mu się jeszcze dobrotli-

wie uśmiechnawszy, wnet wyszedł i już na koni siadał.

Rannemu przez kilka dni z domu się ruszyć nie było podobna — lecz pielęgowanym był dobrze przez troskliwą Zonię i przez lekarza izraelitę, który naówczas tam szczególnie z leczenia ran był sławnym.

W Pradze bytność króla nie została rozgłoszoną, Jędrzyk milczał, Rokieczana, chociaż czyniła przygotowania do podróży, kryła się z niemi. Kaźmirz załcił jej na odjezdnem, ażeby o małżeństwie zawczasu nie głosiła.

Niepewność i obawa pierwszych chwil ustąpiły zupełnie, nadzieja zostania królową wzięła górę i rosła z dniem każdym, świetniej malując jej przyszłość. Jędrzyk, który próbował jeszcze zachwiać jej postanowieniem, odprawiony został tak stanowczo, że wracać już nie śmiał. I on zachwiał się też... Rozumiał to dobrze, że nadziei tak wielkiego szczęścia, takiego losu, bogata mieszcza odrzucić nie mogła.

Wdowa z rodziną swą, z bratem męża, nie mówiła o tem wcale, można w niej tylko było poznać jakąś zmianę wewnętrzną — rosnącą coraz dumę i samowolę.

W domu i ze wszystkiemi stała się już za wczasu królową. Nie cierpiała sprzeciwiania się najmniejszego...

Ludzi widywała mniej niż zwykle. Hanscha odprawiała zupełnie, zamknęła się w domu.

Powiernicą przygotowań była tylko ochmistrzyni i — Zonia, którą, dotrzymując słowa, nastręczył Kochan, poręczając, iż tajemnicy nie wyda... Pięknej dziewczeczce szło nadto o to, aby się na dwór królowej dostała — by tajemnicy nie dochowała.

Rana goiła się dosyć szybko.

Żyd miał jakiś balsam cudowny, który przyspieszał zabliznienie, plaster, którym okładał, i tajemnicze środki, z pomocą których prędkie uleczenie obiecywał. Rawa, choćby już może z podwiązaną ręką mógł się wybrać do Krakowa, umyślnie pozostawał, aby towarzyszyć Rokieczanie.

Trudnością było największą tak z Pragi ujsć, aby przedwcześnie nie zdradzić się i nie zwrócić na siebie oczów rodziny, któraby, nie wiedząc o celu podróży, stanęła jej na przeszkodzie.

Rokieczanowie z pewnem podejrzeniem spoglądali od niejakiego czasu na bratową, śledzili ją, zdawali się czegoś domyślać. Dopuszczyć jej zostać miłośnicą, choćby królewską — nie mogli. Byliby siłą zatrzymali.

Kochan więc doradzał, aby wdowa chorą się uczyniła i zamknęła w domu. On orszak, mający towarzyszyć jej zebrać, trzymać pogotowiu na zawołanie się zobowiązał. Stara ochmistrzyni

miała dla niepoznaki pozostać, i opowiadać o chorobie, a Zonia towarzyszyć w podróży...

Naglił ulubieniec królewski, sam ciąglemi pośłańcami przynaglany, i w końcu jednego wieczora Rokieczana, której skrzynie, stroje i klejnoty już były wprzód wyprawione, wysunęła się tylną furtą, przeszła, gdzie na nią czekały konie i wymknąwszy się za starą Pragę — ruszyła z bijącym sercem... do tego marzonego szczęścia i korony, dla której poświęciła wszystko.

Na dzień naznaczony król Kaźmirz przybył do Tyńca w niewielkim orszaku dworzan, z kilku znaczniejszymi państwa urzędnikami, lecz ani na jego twarzy, ani na obecnych przy nim świadkach przyszłego wesela nie było widać tej radości, tego spokoju, jaki przynosi spełnienie upragnionego i dawno postanowionego czynu wielkiego znaczenia.

Wszyscy ci, którym król zwierzył się i objawił im, że Opat Jan, ślub z Rokieczaną dać mu przyrzekł, — przyjęli to milcząco, smutnie, nieśmiało objawiając wątpliwość, czy małżeństwo to ważnem będzie, a potomstwo uznanem.

Ludwik, naznaczony przyszłym spadkobiercą korony, w razie gdyby potomka płci męskiej zabrakło, miał przyjaciół wielu w najbliższem kole króla, w rodzie jego. Złe języki mówiły o przekupieniu, o ujęciu darami i obietnicami, łączyły się z tem u rycerstwa inne może pobudki; król

Ludwik zapewniał ziemianom i temu właśnie stanowi, który najmniej był od Kaźmirza w ciągu panowania jego otrzymał, — a czuł się upośledzonym — przywileje nowe, swobody, ua przyszłość dać mu mające wielkie znaczenie.

Ziemianie z tego powodu, ujęci przyrzeczeniami królowej Elżbiety i jej syna, a mniej mogąc się spodziewać od pana młodego, któryby większe miał do tronu prawa — skłaniali się ku Ludwikowi — spoglądali więc na małżeństwo nowe okiem niechętnem. Duchowni, nawet najbardziej królowi oddani, zgodnie mówili, że ślub, gdyby go Opat dać się ważył, w oczach kościoła nie będzie mieć żadnego znaczenia.

Sam ks. Jan, który w chwili jakiegoś uniesienia, lekkomyślnie się zobowiązał, niespokojny, poszedłszy po radę do uczonych w kanonicznem prawie, przekonał się, iż miał popełnić czyn zu-chwały, a nie obowiązujący w przyszłości króla do niezego, oprócz pokuty.

Wątpiono też, czy Opatowi może to ujść bezkarnie.

Nie wielu się zwierzywszy, ks. Jan tak został przez nich oświecony, iż, gdyby nie dane królowi słowo — cofnął by się był może.

Lecz był to człowiek, w którym więcej ry-cerskiego tłało ducha, niż było kapłańskiej su-ro-wości — powiedział sobie, iż spełni, do czego się zobowiązał, i wszystkie następstwa czynu zniesie.

Nie wątpił, iż król go bronić będzie i nie da mu ginać...

Rokiczany w Tyńcu nie było jeszcze — gły w bramach starego Opactwa ks. Jan uroczyście przyszedł przyjąć Kaźmirza i poprowadził go do obszernych komnat na przyjęcie przygotowanych, po za obrębem klauzury wzniesionych.

Król i Opat, gdy spojrzeli na siebie, wyczytali w twarzach swoich — nie to, czego się spodziewali. Kaźmirz niespokojny był i podrażniony, ks. Jan źle ukrywał wątpliwość, która go dręczyła. Nie umiejąc i nie chcąc się taić przed Kaźmirzem, zaledwie sami zostali w malej bocznej komorze, na spoczynek przeznaczonej, gdy Opat skłopotany widocznie, pospieszył z wyznaniem, które mu ciążyło.

— Miłościwy panie — rzekł — jestem zmuszony przyznać się do grzechu. Miłość moja dla was to sprawiła, że to, czego pragnąłem, wyobraziłem sobie możliwem... Tu westchnął ks. Jan.

— Niestety! — rzekł — Niestety! widzę, że się omylił. Ślub dać mogę i muszę, lecz żelazne te prawa nasze duchowne, z których się wyłamać niepodobna — przeciwią się temu związkowi. Wszyscy prawnicy nasi twierdzą iż małżeństwo nie będzie miało wagi.

— Nie mogę tego zataić miłości waszej. Tembardziej, iż idzie o dziedzica korony, gdyby

Bóg nas nim pobłogosławił — u Papieża się łatwo postarają, by ślubu mojego nie uznał. Bądź co bądź, królowa, chociaż ją ojciec do Niemiec zabiera — żyje... Ślub z nią był prawny... Gdybyż miłość wasza ani dnia z nią nie żył... dalby się związek unieważnić... Lat piętnaście nie protestowaliście.

Król spuścił głowę smutnie, z rodzajem rezygnacyi obojętnej.

— Toż samo słyszałem od innych, — rzekł z cicha. — Lecz, na słowie waszem polegając, ja też dałem słowo tej kobiecie, która tu ma wkrótce przybyć — ja mojego cofnąć nie mogę. Nie byłoby rycerskiem — uczynić zawód, a za grzech, jeżeli go popełnim, odpokutujemy...

— Stało się — dokończył król smutnie... Walka z losem, który mi odmawia syna, zapędziła mnie za daleko...

Wyjdę z niej zwyciężonym, bo los i wola Boża si'niejsze są od nas — ale chcę walczyć do ostatka... któż wie?... Pan Bóg się ulitować może.

Opat nie odpowiedział nic — ten sam smutek jakiś i zakłopotanie, które widać było na królu i Opacie, malował się w twarzach wszystkich przybyłych. Niemilem okiem patrzano i na to, że król tak wielkiego państwa zaślubiał niewiastę nierównego mu pochodzenia. Patrzano na to, jak na krzywdę wyrządzoną koronie, którą nosił

na skroni. Kaźmirz spotykał do koła wejrzenia jakieś dziwne, chłodne, niemal nadąsane. Sam on też nie mógł się zdobyć na wypogodzenie twarzy, na usposobienie weselsze.

Miłość dla Rokiczany zrodziła się jakoś w tak dziwnych warunkach, przyszła tak szybko, rozwinęła się tak kunsztownie, pod naciskiem gorących pragnień i nadziei, że teraz, gdy piękna Krystyna miała mu oddać rękę, król się niemal dziwił w duchu sam sobie, iż tak nierozważnie, pośpiesznie sobie postąpił.

Właśnie gdy miał jechać do Tyńca, doniesiono mu, że Adelaida, którą ojciec do Niemiec zabierał, od niejakiego czasu chora, czuła się źle bardzo, a lekarz przyboczny, nie długie jej obiecywał życie.

Mógł więc król owdowiały, stosowniejszy, jawny wybór uczynić i zawrzeć śluby, któreby nie miały na sobie tej cechy nieprawości jakie zapowiadano małżeństwu temu. Nie chciał się już cofnąć — wysłany orszak naprzeciw Rokiczany, tegoż wieczora przywiódł ją do Tyńca. Kaźmirz, siłąc się na okazanie radości, wyszedł naprzeciw niej.

W kościele wszystko już przygotowanem było do ślubu.

Ks. Jan w Infule swej, z pastorałem, otoczony licznym orszakiem duchownych, wyszedł przed ołtarz...

Małżonkowie stali przed nim... Z pośpiechem, z obawą jakąś, niezrozumiałą dla pani młodej, Opat dopełnił obrzędu, związał ręce, pobłogosławił i król z młodą żoną natychmiast puścił się w podróż do Krakowa...

Z przyczyny trwającego sporu z Biskupem krakowskim, oznajmił zaraz Krystynie, iż małżeństwo pozostać musi do czasu jeśli nie tajemnicą, to przynajmniej rzeczą dla świata nie ogłaszaną.

Piękna Krystyna przyjęła ten wyrok w milczeniu pośepnem. Rękę, którą król trzymał, wyrwała, twarz obróciła w drugą stronę. Było to pierwsze nieporozumienie dwojga ludzi, nieznających się prawie... zapowiadające nie większą miłość, mającą rozkwitnąć z pączka, lecz podrażnienie, nienfność i spory...

— Dla mnie — rzekł król — jesteś żoną, — nim zostaniesz królową czekać potrzeba.

Rokiczana nie odpowiedziała nic, dummem milczeniem przyjęła to i zamknęła się zaraz w swoich izbach, czyniąc chorą. Kaźmirz próbował ją ulagodzić i został odtrącony. Królewska duma rozbudziła się w nim. — W kilka dni po ślubie wyjechał na łowy, zostawując ją samą. Rokiczana płakała nie z żalu po nim, lecz z gniewu i obrazy miłości własnej.

W Krakowie, oprócz Kochana, który zdawał się jej być życzliwym, nie miała jednego człowieka, jednej twarzy przyjaznej. Wszyscy pa-

trzali na nią nie jak na królowę, lecz jak na zawadę, niemiłą i upokarzającą. — Nie zbliżał się nikt do niej, nie starał o łaski, jak gdyby przeczuwano, że żadnego mieć tu nie będzie znaczenia. Śmiało pokuszenie się króla o żonę drugą, ganiono głośno i powszechnie.

Znajdując ją gniewną, nachmurzoną, zapłakaną, rozpaczającą z powodu obojętności męża, Kochan doradzał, aby łagodnością, pokorą go starała się przejednać i zbliżyć do siebie.

Na to się ona zdobyć nie mogła. Domagała się praw swoich, czyniła wyrzuty i wymówki, a król za każdą bytnością u niej wychodził więcej zrażony i chłodniejszy...

Kochan widział już, że małżeństwo będzie nieszczęśliwem, zmieszało go to, iż począwszy od Opaty, wszyscy zgodnie mieli je za nieważne.

Rokiczenie wątpliwość nawet żadna nie przychodziła na myśl... była pewną, iż ślub dany przez biskupa (bo ją z błędu nie wywiedziono) — nie może być ani naruszonym, ani złamanym...

Każmirz obojętniał i ostygł... Wśród tego życia, które zaledwie rzadkie jaśniejsze chwile znośnem czyniły; ludzie już przygotowywali plany na przyszłość...

Mówiono otwarcie o pozbyciu się dumnej czeszki, o wyszukaniu królowi młodszej, większego rodu i słodszeo charakteru towarzyszki.

Rokiczana nie dała się złamać przeciwnościami

— zamiast zyskiwać serca, jątrzyła wszystkich skargami, obejściem się szorstkiem, wymaganiami coraz większemi. Ludzie od niej uciekali...

Króla odrywały sprawy ważniejsze, w których szukał pociechy, jakiej w domowym nie miał pożyciu... po spisaniu praw, ustanowieniu trybunału na Wawelu, po uporządkowaniu żup solnych, budowanie miast i zamków pochłonęło go całkowicie.

Dotychczas wszystkie one niemal były drewniane, wałami ziemnymi i ostrokołami a rowami otoczone, słabe tak, że lada napaści oprzeć się nie mogły.

Z końca w koniec tych ogromnych przestrzeni, któremi władał Kaźmirz, potrzeba było dla obrony, dla bezpieczeństwa, wznosić mury, które jedne nowym środkiem oblężniczym, podrzucaniu ognia, łatwemu obaleniu ścian taranami, mogły się dłużej opierać.

Stała już w murach, droga Łoktkowi Wiślica, obmurowywano Płock, trzeba było stroić zamki na zdobytej Rusi, — i wszędzie, gdzie tylko nieprzyjaciół mógł się dostać, a gdzie na tych szerokich płaszczynach, które jedne tylko słabsze rzeki broniły, w zimie mrozem ścinane, wróg nie mógł bez przeszkody się zapędzić?...

Kaźmirz miał na sercu dzwignienie miast i zamków, wstydził się starych lepierek, owych gródków z chróstu i gliny, — owych szop z bier-

wion sosnowych, stosów, które lada ogień obrać w perzynę... Każda podróż jego po kraju, każda wycieczka, wywoływała nowe rozkazy — gdzie gród miał stanąć i ściany potężne.

Myśl ta zostawienia po sobie kamiennych grodów, któreby wiekom, jego imię powtarzały, tak go teraz zajmowała żywo, tak gorąco, jak wprzód Wiślickie ustawy.

Jednym z ulubieńców, na równi z ks. Suchywilkiem, stał się Wacław z Tęczyna.

Zazdrościli mu wszyscy...

Człowiek był wielkiego rodu, małego już mienia, a osobliwego wyposażenia na owe wieki, gdy Toporezyk, dziedzic jednego z najstarszych szczytów rycerskich w Polsce — nie mógł mieć innego powołania nad wdzianie zbroi i władanie orężem...

Toporezykowie rozrodzeni już byli i wiele gałęzi ich, szczupło wyposażonych, — czekało na odkwitnięcie lepszego losu, spadku, małżeństwa lub nadań królewskich. Wacław za młodu rycersko się począł kształcić; potem do stanu duchownego namawiano go, prorokując mu najwyższe dostojęństwo. Zwrócił się do szkoły, do ksiąg i udał za granicę, do tych Włoch, które były jeszcze zawsze bogatą skarbnicą — wszystkie z niej narody czerpały.

Tu Wacław z Tęczyna, patrząc na wspaniałe szczątki starożytności rzymskich, na nowe gma-

chy, grody, miasta wznoszące się na wierzeholkach gór, na ruinach odwiecznych, rozmiłował się w budownictwie, w kamieniach, które myśl ludzką zmuszone było opowiadać i ubezpieczać wojnami, pożogą zagrożone ludzkie życie.

Ziemianin, rycerz, stał się dobrowolnie kunszt-mistrzem... Nie mogło go nie odwieść od przypatrywania się sztuce, z jaką tu ludzie kamienne hymny śpiewali na cześć Bożą, — otaczali głazami swe ogniska domowe, zabezpieczali swe skarby i pracy owoce. W Polsce nie podobnego nie było, a być mogło.

Upojony tą myślą, powrócił młody Wacław do kraju i wprowadzony na dwór królewski, z taką żywością począł przed Kaźmierzem rozpowiadać o widzianych cudach, o tem, co się z ich tajemnic nauczył, iż król przejęty — powołał go jako swą rękę prawą, do wznoszenia grodów.

Ludzi, pieniędzy, kamieni — wszystkiego mu obiecywał dostarczyć. Wielka myśl obwarowania kraju, uczynienia go podobnym do tych, które go wyprzedziły, ogarnęła zarówno obu.

Z zazdrością spoglądano na tego nowego ulubieńca, do którego król się z każdym dniem przywiązywał więcej. Gdy rodzina i powinowaci Toporeczyka koso patrzyli na tego rycerza, który kamieniarzem i murarzem być się ważył, król go zwał przyjacielem, pomocnikiem, sadzał do

swojego stołu, całe godziny z nim spędzał na rozmowach, miłował go tak, jak on kochał ten kunszt, który z sobą zdobyczą przywiózł od obcych.

W godzinach tych, gdy z królem rozprawiali o wszysikiem, czego Polsce ówczesnej brakło, co chcieli jej dać we dwu, Kaźmirz zapominał o wszystkim: o Rokiczanie, o dawnych smutkach i nowych zawodach; cieszył się tem, że kraj po sobie zostawi obdarzony prawem silnem, uporządkowany, zagospodarowany, zbogacony, powiększony, mocniejszy niż był, a w nim miasta jakby serca bijące, z których życie się rozplýwać miało, w nim knieci pod opieką sprawiedliwości, osadników obcych, mnogich przybyszów, bezpiecznych, szczęśliwych, mających się stać synami tej ziemi, którą uprawiali.

Pociecha wielka spływała mu na serce... i mówił sobie w duchu.

— Nie zostawię potomka, lecz potomstwem mem będą grody, sądy, ludność rozrodzona pokojem i te gmachy moje, które wieki przetrwają.

Często po rozmowie takiej z Waławem z Tęczyna, gdy ten i ów gród wspomnieli, zrywał się król natychmiast, jechać, oglądać i obmyślać, jak być miał obwarowany. I nie go wstrzymać naówczas nie mogło, zapominał trosk, nie pragnął innych rozrywek, siadał na koń z małą garstką ludzi, z Waławem swym u boku, biegł oglądać położenie, szukać środków prędkiego wykonania

swej myśli, z żup wielickich najczęściej naznaczając znaczne sumy dla przyspieszenia budowli, które pod okiem ulubieńca z dziwnym pośpiechem się wznosiły.

Budował król, naśladowali go inni, Bodzanta wznosił ów bajeczny pałac, na który ciągle pieniądze dawał bratu, a niemiał go ujrzeć nigdy; murowali po miastach kupcy, ziemianie po swych wioskach...

Jak słońce wiosenne wywodzi z ziemi ziarna w niej uspięne, tak Kaźmirza opieka tworzyła naówczas ludzi; ks. Suchywilka, Wierzyńka, Wacława z Tęczyna, — były to jego ducha dzieci...

Miał tę gorączkę czynu Kaźmirz, która myśli powziętej nie dawała usnąć w powiciu. Raz ją powziąwszy, król z równą niecierpliwością doprowadzał do skutku, jak ożenienie z Rokieczaną, jak wszystkie inne swe sprawy... Lecz gdzie o szczęście szło własne, spotykał prędko przesył i rozczerowanie; — gdzie szło o sprawę kraju, tam go nie zrazić nie mogło. Tak długo przygotowywanego statutu wiślickiego, nie dozwolił oporowi ziemian, niechęci duchowieństwa, — wydrzeć sobie, — nie zważając na szemranie ogłosił go i położył na nim kamień węgielny prawodawstwa przeszłego Polski.

Kochan z zazdrością pewną spoglądał na tych ludzi, co jak Suchywilk, Wierzynek, Wacław z Tęczyna, nmieli królowi służyć, nie czyniąc za-

wodu, nie ściągając wymówek — on nie umiał nic więcej nad dogadanie fantazyom jednodniowym, które zawsze potem niesmak i zgryzoty obudzały.

Nie czynił mu wymówek Kaźmirz za ów związek z Rokieczaną, już ciężący mu, chociaż w istocie Kochan był jego sprawcą, a chwilowy jakiś popęd i obietnica Opata Jana — dokonały reszty.

Rawa, jak tylko dostrzegł, że Kaźmirz dumą, uporem i chłodem pięknej Krystyny zrażony był — począł już przemyślać nad pozbyciem się jej. Dla niego najpierwszem było panu usłużyć, a a ofiary, jakie usługa miała kosztować, wcale go nie obchodziły.

Niemile pożycie z dumną czeszką, która się natarczywie i nieustannie korony upominała i tytułu królewskiego, więcej niż kiedy króla wypędzały z domu.

Dosyć było wzmianki Wacława o nowym zamku — który miał lub mógł zbudować, aby król rozkazał zaraz gotować się do drogi i ruszył oglądać miejsce, obmyślać robotnika i pieniądze, jakie budowa miała kosztować.

Z jednej z takich wycieczek Kaźmirz powracając, miał noc przepędzić w Opoczynie; królewscy stanownicy wyprzedzili go kilku dniami wprzód, aby mu obmyśleć wygodny spoczynek...

Na łowach, w podróżach pospiesznych czasu wojny, Kaźmirz się umiał, jak ojciec, lada na-

miotem lub szalasem obchodzić, gdy kraj objeżdżał jako gospodarz, zatrzymywał się wszędzie, chętnie rozmawiał ze wszystkimi, począwszy od sołtysów i kmieci, nmsiano szukać dlań izby czystej i pomieszczenia dla dworu. W takich wycieczkach często, gdy albo miejsce lub ludność uderzyła króla, zamiast jednej nocy, spędzał dni kilka.

Tam gdzie głód, nieurodzaj, wylew wód, do tknął lud wiejski, król posłyszawszy skargi, natychmiast szukał środków zaradzenia klęsce. Najczęściej trafiało się, że ci, co nic mieli chleba, powoływani byli do kopania kanałów, do znośzenia budulcu, kamieni, cegły i wznoszenia murów, których Kaźmirz był tak łakomy. Klęska opłacała się krajowi, dając mu grody nowe, gościńce i splawy.

Gdy Stanowniczy zwany Greczynem, a przez innych Hreczyną, przybył do Opoczna obejrzeć się za domem dla króla w miasteczku, w początku zafrasował się wielce, nie znaleźć nie mogąc takiego, coby dla pana i orszaku jego starczyło. Jedyne obszerniejszy i wygodniejszy dom w mieście był własnością żyda, a Hreczyna, stary człek przesądny, choć wiedział, że król żydami, jak innemi mieszkańcami królestwa, opiekował się chętnie — miał wstręt do szukania gospody u niewiernego. Aaron, żydowin zresztą, nie był jednym z pospolitego gminu izraelskiego, który

już wówczas znaczną część mieszkańców małych i wielkich miast stanowił.

Pokrewny dzierżawcy żup wielickich Lewka, kupiec słynący z bogactw, prowadził on handle znaczne, a głównie trudnił się sprzedażą wyrobów złotniczych i drogich kamieni, których dostarczał moźnym i skarbcem kościelnym — Aaron oprócz tego, który wiele sam widział świata i przepodróżował niemal całą Europę, był człowiekiem, jak mówiono, nauki i rozumu wielkiego, wiadomości rozlicznych — i, gdy go nie zajmował handel, siedział nad księgami. Miano go niemal za czarownika i obawiano się, ale szanowano razem, bo wielu dobrze, a nikomu nie nie czynił złego.

W chwili gdy Ilreczyna po miasteczku się kręcił, i nie wiedząc jak sobie da rady, kłął ciężkie obowiązki stanowniczych, — z obwarowanego jak twierdza domu Aaronowego wyszedł mąż bardzo poważny, czarno w jedwabie ubrany, z wysoką laską okowaną srebrem w rękę, w kołpaku sobolim, i rozpytawszy się, wprost zbliżył do Stanowniczego.

Chociaż izraelity się w nim domyślał Hreczyna, a wstręt miał do nich wszystkich — ten, który się doń zbliżał, tak miał poważną postawę, niemal pańską, tak sam jego strój skromny ale kosztowny zapowiadał zamożność, iż stary sługa

królewski na ukłon jego odpowiedział niemal grzecznie.

Aaron, gdyż on to był sam, nie szedł bez posługi i towarzyszków. Tuż za nim kroczyło dwóch młodych izraelitów, odzianych przystojnie którzy na służbie u niego być musieli.

Hreczyna nie mógł się domyśleć, czego żyd chciał od niego.

— Mówiono mi, odezwał się stary lecz bardzo jeszcze krzepki izraelita — ręką witając Hreczynę, że wasza miłość szukacie dla króla naszego gospody...

— Tak jest — tak — odparł Hreczyna.

Aaron brodę pogładził i ręką wskazując na dom z którego wychodził — dodał.

— Mój skromny dom na usługi wasze. — Nie będzie on może godnym tak wielkiego pana a monarchy, ale w Opoeznie nie znajdziecie lepszego, a w podróży król niewiele wymaga.

Będę bardzo szczęśliwym...

Hreczyna byłby może ofiarę odrzucił, lecz nie miał wyboru, domu nie znalazł — a czas upływał.

— Proszę was przestąpić próg mój i spojrzeć... rzekł Aaron, — ja się z rodziną wyniosę, choć bym na podwórzu lub w szopie obozować miał, byle mnie to wielkie szczęście spotkało...

Mówiąc to, Aaron prowadził już Stanowniczego. Weszli przez warowne wrota w obszerny po-

dwórzec, na którym stało kilka wozów ładowanych, zaledwie wyprzężonych. Dokoła otaczały go szopy i składy, stajania dla koni i różne proste ale kształtne dosyć budowy. Z jednej strony był dwór duży, powierzchnością niezbyt uderzający, w części murowany, częścią po staroświecku z drzewa wzniesiony.

Aaron wskazał naprzód szopy, obiecując, że je dla orszaku króla opróżnić każe, potem wiódł do wnętrza dworu. Mało go kto znał, jakim był wówczas, bo oprócz jednej większej komnaty, w której Aaron przyjmował, inne były dla od-wiedzających go nieprzystępnymi...

Izba ta pierwsza niczem się nie odznaczała oprócz czystości wielkiej, rzadkiej owego czasu, nawet po dworach ziemian i duchowieństwa...

Okna tylko zamiast błon pospolitych, miały szklanne szyby w olów oprawiane, co jeszcze wielki stanowiło zbytek. Prędko przeszedłszy tę komnatę, którą ręką wskazał tylko Aaron, otworzył drzwi do drugiej, a tu — widok niespodziany wcale, zdumione oczy Hreczyny uderzył.

Izba była takiej wielkości jak pierwsza, lecz niemal z przepychem urządzona i przyozdobiona.. Pułap drewniany rzeźbionymi kwadratami był okryty, ściany miały obicia tkane, podłoga kobiercami była usłana. Do koła ławy, siedzenia, szafy z dębowego drzewa misternej roboty, po-

chodzić musiały z obcych krajów, gdyż podobnych im jeszcze nie robiono w Polsce...

Kosztowne i piękne naczynia cynowe, srebrne, szklanne, kamienne, widać było na policach... Dostatek wielki, pański zdumiał Hreczynę, który głową potrząsał.

Nie dosyć na tych dwóch, Aaron wskazał jeszcze trzecią komorę, najmniejszą, gdzie i łoże piękne, z namiotem, i wszystek sprzęt był potrzebny w sypialni.

— Starczy to dla pana naszego, rzekł żyd, obracając się do Hreczyny — szczęśliwym będę służyć panu mojemu, któremu wielką winienem wdzięczność.

Komu innemu — dorzucił ciszej, nietylkobym nie otworzył domu, alebym się od gospody wykupił, bo wiem, że żydowi z dostatkiem się odkryć — nie jest rzeczą bezpieczną — ale nasz król!

I gospodarz ręce białe, niespracowane, chude, lecz pięknych kształtów, podniósł do góry...

Hreczyna ofiary odrzucić ani mógł, ani myślał — skłonił głowę. Oglądał się ciekawie, oczom prawie nie wierząc, aby u prostego kupca, w skromnym dworze, taki zbytek i takie się mogły znajdować dostatki.

Twarz Aarona rozjaśniła się, i natychmiast odprowadzając do pierwszej komnaty Hreczynę,

dał znak jednemu ze sług, aby podróżnemu napój powitalny podano...

Zmęczony Stanownicz, rad był i temu, a zwłaszcza, że wino, które mu przyniesiono, doskonałem było, a łakocie zagraniczne smakowały po podróży...

Natychmiast Aaron wydał rozkazy, aby podwórze i szopy opróżnić, sam zajął się usuwaniem ksiąg, zwitków i sprzętów, które mogłyby razić gości, jako nadto izraelfitę przypominające. Liczna dosyć służba, choć znaczna jej część lichy była odziana i odarta, zaczęła się krzątać, zamiatć, kadzić wonnościami wschodniemi, znosić ze wsząd jeszcze sprzęt, jaki się wydawał potrzebny.

Aaron bardzo pragnął wiedzieć, kiedy król przybędzie, gdyż wymawiał sobie tę cześć, aby sam mógł Kaźmirza w swoich progach powitać.

Do wieczora ze Stanowniczym byli już w najlepszych stosunkach, Hreczyna obdarzony, nakarmiony, napojony, rad, że panu wygodny a mało służbę kosztujący pracy zgotował odpoczynek — niemal z poszanowaniem obchodził się z Aaronem.

Tegoż dnia pod noc króla się spodziewano. Była to znowu wiosna, ciepła już, wczesna i piękna bardzo ..

We dworze, którego część przeznaczona na królewską gospodę, była oddzieloną od mieszkań pozostałych rodzinie Aarona, ruch panował wielki. Goniec wysłany, zapowiadał przybycie Pana...

W rynku przyległym, w ulicach, cała ludność okoliczna stała, czekając na przyjazd królewski. Miał już Kaźmirz tę wielką miłość u swego ludu, szczególniej biedniejszego, której pamięć dany mu przydomek przechował.. Co tylko żyło, wyglądało go... Duchowieństwo stało u drzwi kościoła, ziemianie, którzy się dowiedzieli o przejeździe, osobną stali gromadą na koniach...

Słońce zachodziło, gdy orszak królewski się ukazał.

Król w podróży i wszędzie dosyć lubił występować ze wspaniałością monarszą; niezbyt liczny poczet króla odznaczał się tem, że europejską miał więcej, niż dawnego obyczaju postawę. Zbroje, suknie, rzędy na konie, wozy, wszystko było z francuzka, z niemiecka, z włoska, ale zastosowane do miejscowej potrzeby.

Sam król jechał konno, a że mu powiodło się nowych kilka zamków kazać zakładać — a w Rusi szczególniej dbałym był wielce o nie, aby mu do utrzymania jej dopomagały — twarz miał wesołą, uśmiech na niej dobrotliwy...

Zsiadł naprzód u drzwi kościelnych, aby przyjmując błogosławieństwo kapłańskie, wszedł na chwilę do małej świątynki, i nie dosiadając już konia, bo mu Ilreczyna blizką wskazywał gospodę, pieszo poszedł ku dworowi Aarona.

Stanowniczcy wiedział, iż gospodarz sam przyjmować miał u progu króla... W istocie, w bra-

mie już czarny jego płaszcz długi widać było, lecz obok białął jakiś strój i jakaś postać, której Hreczyna sobie wytłómaczyć nie umiał.

Gdy się zbliżyli — obok Aarona ukazała się kobieta, a piękność jej tak nadzwyczajnie była uderzającą, że na widok jej Kaźmirz stanął zdumiony, i cały orszak mu towarzyszący osłupiał niemal.

Było to dziewczę kilkunastoletnie, takiego oblicza, takiej świeżości płci, takich rysów pańskich, szlachejnych, wdzięcznych, iż królownąby ją nazwać prędzej było można, niż dzieckiem izraelskiem.

Strój też od pereł, jedwabów, klejnotów, wykwinny, bogaty, przyczyniał się do podniesienia wschodniej tej piękności, która choć wcześniej przekwita, w pierwszych latach młodości niezrównanego jest blasku. Ogromne oczy czarne, rzęsami długimi na pół przykryte, śmiało i z uczuciem wielkiem wlepiała zdala już w króla... W białych rękach, trochę drżących, trzymała złocistą misę, pokrytą jedwabnym ręcznikiem złotem szytym...

Pomimo wzruszenia, jakie się na jej cudnej malowało twarzyczce, widać w niej było odwagę, którą daje młodość i królewska potęga piękności...

Król oczów nie mógł oderwać od tego zachwycającego zjawiska.

Za zbliżeniem się jego, Aaron ręką wskazał na nią, i pochylając się nisko, odezwał:

— Miłościwy panie — niech będzie błogosławiony dzień i godzina, w której raczyłeś przestąpić próg domu mojego. To jedyne dziecko moje, które tobie jest życie winno, i nie zapomniało o tem... Przyjmijcie od niej upominek...

Na wzmiankę o tem, że piękna owa żydówka królowi życie miała być winną, wszyscy spojrzeli po sobie zdziwieni, Kaźmirz zaś natychmiast przypomniał owo dziecię, które wraz z pokrwawioną matką w czasie wzburzenia przeciw żydom w Krakowie, wyrwał z rąk oprawców...

Teraz nawet w tej rozkwitłej piękności mógł poznać ową dziewczeczkę, cndnie już wówczas piękną, gdy przerażona, pół omdlała, pod płaszczem jego się tuląc, na zamek z nim biegła.

Aaronowa córka przyklękła przed królem, podnosząc ku niemu misę, którą w rękach drżących trzymała... Ręce jej drżały, lecz oczy, cudne te oczy czarne, z niewymownym wyrazem czci i miłości na Kaźmirza śmiało były zwrócone, mówiły mu, zastępując usta, jak żywą wdzięcznością biło serce...

Schylił się nieco król, dar z rąk jej przyjmując — i bardziej jeszcze został przejęty, gdy srebrnym głosem, czystym językiem polskim, młode dziewczę odezwało się do niego...

— Chciałam tylko dnia tego dożyć, aby wi-

dzieć mojego pana i dobroczyńcę. Uczylam się języka, aby nim podziękować.

Z uśmiechem pochyliła się do stóp króla, który podniósł ją prędko i wesolo się odezwał.

— Coż za śliczny kwiatek z tego pączka pięknego się rozwinał. Jak jej imię?

— Moje imię Esthera — odpowiedziała zarumieniona, lecz odważna dziewczyna

Idący tuż za królem kapelan, szepnął, krzywiąc się.

— *Nomen, omen!* bogdajby się nie wywróżyło i to jeszcze. .

Aaron z córką wiedli króla do izb mu przeznaczonych.

Dwór szedł za nim, zdziwiony trochę, uśmiechając się, ramionami ruszając, niektórzy wielką łaskawością i uprzejmością, jaką król okazywał dla żydóweczki, zgorszeni, inni szydersko na nią spoglądając — a kapelan obruszony i gniewny.

Aaron, wwiódłszy Kaźmirza do izb, których woń wschodnia była upajającą, wskazał stół bogatym obrusem nakryty, naczyniem srebrnem pozłocistem zastawiony, i prosił, by posilek przyjąć raczył.

Najdroższe wina, przyprawy, najwytworniejsze ówczesne łakocie, półmiski ryb i zwierzyzny czekały na króla.

Z wielką śmiałością, z uśmiechem uroczym, Esther prosiła, aby król pozwolił jej usługiwać

sobie. Sama podała mu misę, nalewkę i ręcznik do nmycia, i gdy Kaźmirz pierścienie zrzucił do umywania, trzymała je, póki nie otarł rąk. W czasie posługi tej, uśmiech z jej ust nie schodził, wejrzenie czarnych oczów ścigało króla i upajało.

Zasiadł do stołu sam, a Esthera zastąpiła pod czaszego, nalewając mu pierwszy kubek wina.

— Niechże go wychylę za wasze zdrowie, rzekł wesoło Kaźmirz, zwracając się ku niej, i stojącemu tuż Aaronowi.

Kaźmirz lubił stół dobry, a że podróż i ruch głód obudziły, wziął się do zastawionych potraw ochoczo, chwaląc je i dziękując pięknej gospodyni, która rumieniąc się, ciągle na posłudze trwała.

Parę razy król ją zagadnął o coś, odpowiadała śmiało, nie trwając się, i tak dobrym językiem polskim, iż Kaźmirz musiał jej to pochwalić.

Aaron, dumny swą córką, głaszcząc ją pod brodę, począł chwalić w żywe oczy, choć zawstydzona, mowę mu przerywać chciała.

— Perła to moja, mówił, i perła całego rodu naszego. Mała rzecz, że Pan Bóg ją pięknnością obdarzył, bo jej dał to, czego wielu niewiastom poskapił — rozum i miłość nauki, zdelności do wszystkiego!! czego ona nie umie! czego by się ona nie nauczyła! Nie jeden ten język, zna ich ona kilka, i mówi niemi doskonale. Kobiece roboty! w tych jej nie przejdzie żadna...

— To mnie dziwi, przerwał król, że, gdy

u was małżeństwa się młodo kojarzą, perły do-
tąd waszej, już wam ktoś nie porwał...

Esthera spojrzała na króla, i z lekka por-
szyły się jej ramiona.

— Chciałem ja ją dać synowi Lewka, dzier-
żawcy żup — rzekł Aaron, umówiliśmy się z nim
o to, ale ten umarł młodo, a Esthera teraz chce
mieć wolę swoją, i nie spieszy a wyprasza mi
się, abym jej z domu nie dawał...

Prawda — dodał Aaron — że męża dla niej
znaleźć, któryby był jej godnym, nie będzie łatwo...

W ciągu całej wieczery, Aaron i jego córka
nie ustąpili, król rozmawiał z niemi. Stary i cór-
ka jego odpowiadali na pytania z wielkim roz-
sądkiem i szczerością. Zdumiewała szczególniej
Esthera przytomnością, odwagą, swobodą, z jaką
rozmawiała z królem, który z niej nie spuszczał
oczów, i słuchał z uwagą wielką.

Esthera podała mu wreszcie misę i kubek do
umycia rąk po jedzeniu, i pożegnawszy niskim
do kolan ukłonem, razem z ojcem odeszła.

Dwór, który w czasie wieczery stał we
drzwiach, patrzył i przysłuchiwał się — gdy Ka-
źmirz sam pozostał, przystąpił dopiero — a pierw-
szem słowem jego było podziwienie nad piękną
dzieweczką i jej rozumem.

— Coż wy mówicie na to dziwo? odezwał się
do nadchodzących. Widział kto z was księżniczkę

piękniejszą i śmielszą a mądrzejszą nad tę córkę Izraela? Prawdziwy cud!!

Nie przeczył nikt, lecz milczeli wszyscy, bo im ta poufałość z żydóweczką, więcej niż dziwną się wydawała. Kapelan szczególnie nachmurzony był i kwaśny; inni też znajdowali, że się król nadto pospolitował, pozwalając takiego spoufalenia.

— Nie zapominajcie — rzekł król, czytając w twarzach dworu — że ja jej życie ocalałem, i że mi tylko ojciec i córka wdzięczność swą wyrazić chcieli. Nie mogłem odrzucić jej, gdy najęśćciej ci, którym świadczym najwięcej, inaczej się nam wyplacają.

Wedle zapowiedzi, król noc tylko miał prze-pędzić w Opocznie, oświadczył jednak zaraz, że czując się zmęczonym, następny dzień radby tu spocząć nieco. Złośliwi ludzie zrozumieli to wcale inaczej, uśmiechano się i żartowano; lecz Kaźmirz nie zwykł był nigdy zważać na to, jak ludzie jego czynności sobie tłómaczyli.

Następnego dnia, przy obiedzie piękna gospodyni przyszła znowu z wdzięcznym uśmiechem usługiwać Panu swojemu wraz z ojcem. Mowa była o niedawnych prześladowaniach żydów w tych krajach, które morowe nawiedziło powietrze, o potwarzach na nich rzucanych — o losie ich nieszczęśliwym. Esthera umiała go wymownie malować. Przypomniał Aaron stary Bolesławowski,

żydom dany przywilej, prawne ich położenie w Polsce zabezpieczający, a Kaźmirz po namyśle obiecał kazać go rozpatrzyć, i gdyby potrzeba było, odnowić.

Dzień ten upłynął i dla dworu króla wesoło, gdyż Aaron podejmował wszystkich po pańsku, dostarczając co tylko potrzebować mogli ludzie, służba i konie.

Dziwiono się hojności izraelity i dostatkom jego. Uważano i to, że Esthera, która pierwszego dnia wystąpiła w stroju kosztownym, nazajutrz zupełnie go zmieniła, przybrała klejnoty nowe, suknie piękniejsze jeszcze, i dnia tego wydawała się znówu w inny sposób zdumiewającą wdziękami. W czasie stołu król ze stojącą przed nim rozmawiał ciągle, a Aaron nie spieszył z odpowiedziami na pytania, które ona daleko piękniej i jaśniej rozwiązywała.

W istocie dziwić się było potrzeba w młodem dziewczęciu takiej umysłu przytomności, pamięci i rozmowie. Niewiele niewiast naówczas, nawet na dworach królewskich znaleźć było można równie usposobionych, szczególny dar trzeba było przyznać kobiecie, która prześcigała płeć swą, stan i wiek.

Nic dziwnego, że gdy król trzeciego dnia, po pożegnaniu gospodarzy swych, z Opoczna wyjechał, przez całą drogę nie mówił i nie myślał tylko o pięknej Estherze, ubolewając, że się takie

cudo narodziło w plemienu wzgardzonym i przeznaczone było na los wcale niezazdrośny...

Kochan, będący w orszaku królewskim, przysłuchiwał się temu z uwagą wielką. Snuł on już na przyszłość plany...

Zapał, z jakim się Kaźmirz odzywał o Estherze, zapowiadać się zdawał, iż niełatwo o niej zapomni...

— Rokiczenie ostatnia godzina wybije niedługo — mówił w duchu. Zbrzydnie mu ona teraz bardziej jeszcze...

W istocie, powróciwszy do Krakowa, król nie spieszył do Czeszki, chociaż wiedział, że mu obcywała potomka, którego narodzin się wkrótce spodziewano.

Uradowałoby go to było, gdyby małżeństwo jeszcze za ważne w jakimkolwiek sposobie uznanem być mogło. Dziś, zgodnie wszystkimi głosy postępku Opata Jana potępiano, i nikt ślubu tego za prawowity nie uważał. Posłano w sekrecie za pytanie do Papieża, czyliby w jakimkolwiek sposobie nie dał się związek uprawnić, odpowiedź przyszła stanowczo zaprzeczająca.

Być bardzo może, iż starania królowej Elżbiety i syna jej przyczyniły się do tego. Obawa, aby Ludwik tronu polskiego nie stracił, była wielką.

Siostra, która starała się widzieć z bratem, ciągle posyłała donosy, wystawiała mu

mniemane małżeństwo jako postępek, którego nawet rozgłaszać się nie godziło.

Zobojętnienie króla dla Rokiczany ze wszystkiego jednak najwięcej wpłynęło na zapomnienie i lekceważenie ślubu danego w Tyńcu... Król nie mówił z nią nigdy o nim, a teraz coraz ją rzadziej widywał i spotkania unikał.

Dumna czeszka zamiast chcieć go przebłagać i przejednać łagodnością i dobrocią, stawiała się coraz gniewniejszą, opryskliwszą, groźniejszą.

Blizką będąc słabości — wezwwała do siebie Kaźmirza, i, gdy zmuszony przyjsć, ukazał się w progu, wstała, wyrzutami go obarczając...

— Nie napraszałam się wam — zawołała — nie pragnęłam tej korony... Byłam szczęśliwą, szanowaną, miałam dostatki, mogłam wybierać między rycerstwem cesarskiego dworu... Uwiedliście mnie królewskim słowem, uwiedli ślubem fałszywym, — Bóg was skarże za mnie!

Napróżno Kaźmirz starał się ją uspokoić, odpychała go, domagając się praw swoich.

— Miłośnicą twoją ani niczyją nie mogłam być — wołała — nie byłam, jestem żoną... Pójdę ze skargą do papieża, rozgłoszę światu podstęp niegodny...

Ścigany temi i podobnemi wyrzutami, Kaźmirz uszedł od niej, zmieszany, strapiiony, czując swą winę. Opat, który go na tę drogę wprowadził,

aby uniknąć wymówek, udał się był za granicę... Nie było go na Tyńcu...

Biskup krakowski, z którym zgoda opłacona drogo przychodziła do skutku, o ślubie tym ani słyszeć nie chciał...

Zamyślano Rokiczanę z zamku krakowskiego oddać, gdzie nazbyt wielu oczu i uszu było świadkami królewskiego upokorzenia. Lecz chorą, nieszczęśliwą, chyba siłą było można ztąd prze-nieść, oświadczyła bowiem, iż się nie ruszy i praw swoich do zgonu choćby, bronić będzie.

Rodzina można, powołana przez nią, mając na dworze cesarskim stosunki, aż do pośrednictwa Karola się udała, aby uwiedzionej uzyskać zadośćuczynienie.

Cesarz jednak mięszać się nie chciał w tę sprawę, i swym zwyczajem, ostrem a niełitościwym słowem szyderskiem Rokiczanów odprawił.

Narodzenie syna, któreby króla szczęśliwym uczyniło, jakby szyderstwem losu przyszło wśród tych zgryzot i zatargów.

Nie zmieniło ono losu kobiety, którą Kaźmirz właśnie może dla tego znienawidził, że czuł względem niej winę swoją.

Szło już tylko o znalezienie środka jakiegoś mogącego rozłączenie ułatwić.

Kochan chodził zadumany, próbując namowy, obietnic, — groźb nawet, a nie mogąc złamać

oporu mężnej niewiasty, która gotową się opowiadała choćby ginąć a nie ustąpić nic...

— Jestem żoną królewską — powtarzała —
ktokolwiekbaż ślub nam dawał, błogosławiono
nam w kościele... Niech winowajca zostanie
ukarany, jam była niewinną. Zgrzeszyłam tem
tylko, żem wierzyła słowu króla i zapragnęła tej
korony, która dla mnie cierniową być miała...

Każmirz nie miał nic do wyrzucenia Rokicza-
nie, brakło mu nawet pozoru do rozstania się
z tą, którą na chwilę taką namiętną miłością po-
kochał...

W orszaku nieszczęśliwej czeszki, przybyła
z nią z Pragi, znajdowała się dotąd Zonia, która
tak bardzo pragnęła do Krakowa się dostać i
równie pono jak jej pani była w nadziejach za-
wiedzioną.

Kochan, na którego naprzód rachowała, przy-
jacielem jej był zawsze, lecz o małżeństwie mó-
wić sobie nie dawał.

Śmiejąc się, odpowiadał na przymówki, iż co-
raz większe czuł powołanie do stanu duchownego
i drogi do niego sobie zawiązywać nie chce.
Groził, że wkrótce przywdzieje habit mniszy,
ale ze spełnieniem tego postanowienia nie śpie-
szył.

Inni też przyjaciele Zoni do zalotów szli ochoczo, o małżeństwie nie wspominali.

Zonia chwilami wraz ze swą panią na całą Polskę, na dwór, na króla, na wszystko co tu znalazła wykrzykiwała, żale rozwodząc; potem przychodziły na nią chwile, gdy Rokieczana obejściem się z nią ostrem zrażała, że przeciw niej powstawała gwałtownie.

Wiedziała ona, że pozbyć się Czeszki chciano, że szukano, co by jej zadać i czem królewskie zniechęcenie wytłómaczyć.

Raz, gdy Kochan otwarcie się przed nią wygadał, dowcipne dziewczę z minką tajemniczą, odezwało się dwuznacznie:

— Może, gdybym ja chciała, znalazłoby się coś do powiedzenia przeciw tej słomianej królowej, ale mi jej żal! Takieście ją zwiedli, jak wszystkie nas zwodzicie!!

Utkwiło to w pamięci Kochanowi, zaczął dopytywać usilnie; dziewczę się śmiało.

— Wiecie o jakim kochanku jej? — pytał.

— Co to, to nie! — śmiała się Zonia — coś wiem może od tego gorszego, ale jej kochankowie nie w głowie. Ona nigdy nie kochała nikogo...

— Cóż? może królowi co zadać chciała przez zemstę? — próbował Kochan.

Zonia śmiała się coraz mocniej.

— Gdybyście trzy dni i trzy noce sobie głowę

łamali, nie zgadniecie; to próżno. A że ja coś wiem... to jak Bóg Bogiem prawda, i że wam, zdrajcom, kobiet zwodzicielom, nie powiem, to też prawda!!

W nadziei wydobyć z niej tej tajemnicy, Rawa stał się czulszym, nadskakującym, rozmówczym na nowo; dziewczę zrozumiało dobrze cel jego i wyśmiało niechęć.

— Jeśli myślicie, że się wygadam za darmo! ho! ho! mylicie się srodze...

— Cóż? myślicie sprzedać tajemnicę? no — to mówcie, co chcecie za nią?

— Za pieniądze jej nie dam! — odparło dziewczę — A wreszcie kobiety mi żal...

— Bałamucicie mnie tylko — zawołał Rawa — Nie wiecie nic, dla tego i powiedzieć nie możecie.

Zonia uderzyła się w piersi.

— Że wiem, na tom przysiędz gotowa...

Łamał głowę Kochan, sposobu z nią nie było.

Po kilku dniach, napał znowu.

— Mówiłaś, że tajemnicy twej nie dasz darmo i że jej za pieniądze nie sprzedasz, cóż za nią chcesz?

Zonia popatrzała mu w oczy.

— Ożenisz się ze mną? — zapytała. — Ale, nie żaden Opat z Tyńca ślub nam będzie dawał, tylko na zamku w obec wszystkich albo Biskup lub kto tu z nich najstarszy, w biały dzień...

Rawa wziął to za żarty i obrócił w śmiech...

Jednakże tajemnica Rokiczany nie wychodziła mu z myśli. Sądził, że może która ze służebnych wiedzieć coś także, począł śledzić i tego tylko doszedł i dopytał, iż królowa jak dawniej w Pradze ze starą ochmistrzynią codzień się w osobnym pokoju zamykać była zwykła, do którego wszystkim przystęp był wzbroniony, tak i na Wawelu z Zonią z rana, a czasem i parę razy w ciągu doby do osobnej komórki chodziła i w niej się z nią na klucz zamykała...

Żadna z niewiast służebnych podpatrzeć nie mogła, co one tam robiły. Wychodziła ztamtąd odświeżona i odmłodzona, z włosami utrefionemi...

W istocie więc Zonia mogła jakąś wiedzieć tajemnicę...

Za drugim spotkaniem, Rawa ponowił Zoni ofiarę — jakiejby zapragnęła za sekret swój, z wyjątkiem tylko małżeństwa, do którego wstręt miał nieprzezwyjęzyczny.

— A jam sobie słowo dała — odparła filutka że w Polsce za mąż wyjść muszę.

— No, to ja ci innego wyszukam męża na miejsce moje — rzekł śmiejąc się Kochan.

— Zgoda—odpowiedziała Zonia—ale potrzeba, żebym ja go sobie wybrała sama. Chcę go mieć bogatym, młodym, przystojnym, i za mieszczanina nie pójde, rycerz być musi!..

— Zawiele żadasz! — zaśmiał się Kochan.

— Bo wiem, że to co dam w zamian, wiele warto — mówiła Zonia pół żartem. — Chcecie się jej pozbyć, a nie macie jej co zarzucić? prawda? cięży wam? Otóż sposób w moim ręku. Zdradzę biedne kobiecisko — westchnęła — żeby było przynajmniej za co pokutować... Dajcie mi męża, jakiego chcę!

Kochan brał to znowu za zarty, lecz przekonał się po dniach kilku, że Zonia w istocie na taki frymark rachowała.

— Jabym tego nie uczyniła — dodawała, uspokajając sumienie — za żadne skarby świata, nawet dla czepca na głowę, ale — cóż? wy, czy tak, czy owak Rokiczany się pozbędziecie, nie dziś to jutro... niechże wasza niepoczeiwość choć się komu na co przyda...

Zabiegi Kochana, który jednego dnia wierzył Czeszce, drugiego niedowierzał i posądzał ją o podstęp, ciągnęły się długo. Zonia nie ustępowała, starając się rozbudzić żywą ciekawość w Rawie i drażniąc go coraz więcej.

Lubił ją za wesołość i szczebiotliwość Kochan, chętnie z nią przestawał, ale zalotności się obawiając, żenić nie chciał.

Napytał więc ubogiego wprawdzie, lecz z nadziejami spadku po stryju i łask królewskich, młodego i przystojnego Doliwę Janka, i począł go swatać Zoni...

Oświadczyła, że z biedy go wziąć gotowa.

Kochan mu od króla (choć bez jego wiedzy) obiecywał złote góry. Chłopak krwi gorącej, gdy go zalotne dziewczę w obroty wzięło, głowę stracił. Gotów był i do ślubu...

Lecz z Zonią, przebiegłą i niefnłą, do końca trafić było trudno. Zgauzała się na wszystko — tajemnicę objawić obiecywała, nieinaczej jednak, jak po swym ślubie...

Kochan tak już był zniecierpliwiony oczekiwaniem, że i na to się zgodził...

Za królewską zgodą, bo Doliwa był pod opieką jego, Janek miał się żenić. Wesele na zamku kosztem pańskim się odbyło...

Przy wyjściu z kościoła czatował Kochan na pannę młodą i szedł przy niej do izby, w której uczta weselna zastawiona była. Zonia się uśmiechała żartobliwie...

— A co by było — szeptała — gdybym ja teraz, jak dzieci, co grają w cet czy lichu, otworła dłoń i pokazała, że w niej nie ma nic?

Kochan pogroził...

Wytrzymawszy go pani młoda, rzekła mu w ostatku:

— Jutro rano przyjdiesz do mnie, a dowiesz się, co potrzeba...

Rawa stawil się do państwa młodych, Zonia przyjęła go z minką na pół figlarną, pół kwaśną. Stała zamyślona długo, nim mówić poczęła.

— Codzień rano — rzekła po cichu i jakby

zmuszona — królowa idzie ze mną do komory i — zamyka się...

Jutro... ja drzwi na klucz spuścić zapomnę niech król przyjdzie, a to, co zobaczy... wystarczy mu...

Nie dokończyła i odbiegła prędko, więcej już nie chcąc powiedzieć.

Kochan został z tą niepewnością, z jaką przyszedł. — Udał się do Kaźmirza i — musiał mu się szeroko wytłómaczyć z tego, co przedsięwziął. Zakończył tem, co mu Zonia powiedziała.

Od dawna król Rokiczany unikał, i nie bywał u niej, wymówki i przekleństwa go nużyły.. Zmarszczył się, pomyślał.

— Pójdę więc — rzekł. — O niej i o synu jej pamiętać będę, nie opuszczę ich, ale kobiety zlej i niezdolnej pozbyć się muszę.

Następującego dnia wszystko było tak osnute, ażeby Kaźmirz wchodząc do Rokiczany, nie zastał nikogo i by przyjście jego do owej komory, w której się zwykła była przystrajać — wydawało się przypadkowem.

Kochan doprowadził go do mieszkania... W rannej godzinie służba niewieścia i mążka była rozpierschła, w komnatach nikogo. — Kaźmirz przeszedł je wolnym krokiem, i do wskazanych mu drzwi dostawszy się, za kłamkę njął..

Nie były one zaparte... wszedł, lecz na głos jego kroków, Zonia, niby przelekła, zapóźno, aby go wstrzymać, rzuciła się do drzwi.

Rokiczana siedziała na wezgłowie przed zwierciadłem, z głową obnażoną... Zwykle okrywał ją piękny, ciemny włos bujny, w trefliowych miasternie splotach otaczający owal twarzy... W tej chwili ujrzał król głowę tę, całkiem prawie włosów pozbawioną, wyłysiałą, i — skutkiem zapewne leków, których używała — okrytą plamami i bliznami czerwonymi...

Rokiczana, widząc nadchodzącego króla, przed którym tajemnicę tę tak długo i zrećźnie ukrywać się starała — krzyknęła straszliwie, rękami twarz zakryła, pochyliła się na stół... Chwilę krótką zdawało się, że omdleje, lecz zamiast mdłości, gniew ją ogarnął...

Z rozpuszczoną włosów swych resztą, z oczyma zaognionemi, porwała się przeciw Kaźmirzowi.

— Patrz! — zawołała — chciałeś tego zapewne, abyś mnie podejrział i wiedział, jaką jestem... Zdradzono mnie, wydano...

A! wstydu tego nie zniosę!

Blisko stojącą Zonię silną ręką popchnęła od siebie ze złością.

— Precz mi z oczów, ty źmijo! — krzyknęła.

Król stał niemy, wstręt go większy jeszcze ogarnął na widok kalectwa kobiety i wzruszenia jakiego doznała, ale i litość zarazem.

— Nie możecie się skarżyć na to, abyście byli oszukana — odezwał się, bo i wy mnie oszukiwaliście długo... Żyćbyśmy z sobą dłużej

nie mogli, wiecznie się wzajem gryźć i kąsać obojgu nam nie przystało. Lepiej uczynicie, opuszczając Kraków, o synaczku ja nie zapomnę i wychowam go jak królewskie dziecko...

Rokiczana, padłszy na siedzenie, już nie nie słuchała, zachodząc się od płaczu i jęków...

Każmirz, nie mówiąc więcej, wyszedł, zostawując ją samą, a Kochan z rozkazu jego wysłał natychmiast służebne, aby miały o niej staranie.

Tegoż dnia sędziwy kapłan, który był spowiednikiem słomianej królowej, przyszedł do niej z poleceniem od króla — dla układów...

Rokiczana, która dotąd niewzruszenie się opierała wyjazdowi i powrotowi do Pragi, — nie obstawała już więcej, by zostać w Krakowie. Z dumą, która jej nie opuszczała nigdy — zabezpieczając przyszłość dziecięcia swego, dla siebie nie chciała nic — odmówiła darów i wyposażenia. Wszystkie klejnoty, któremi ją król obdarzył, zebrane razem kazała odnieść do skarbcza, nic sobie nie chcąc pozostawić, nawet pierścienia z safirem, który był pierwszym łańcucha dziś skruszonego ogniwem.

Jak dawniej z uporem, opuszczona od wszystkich, umiała wytrwać na stanowisku, tak teraz z pośpiechem nadzwyczajnym czyniła przygotowania do podróży. Nie chciała ani godziny dłużej pozostać tutaj — odmówiła rozmowy wszyst-

kim, co się do niej zgłaszali, dziecięcia, aż do wzrostu oddać i od siebie odłączyć nie dała...

Jednego poranka, nim się na brzask zebrało, potajemnie, unikając ludzkich oczu, w małym orszaku, wozem zakrytym wyruszyła cicho z zamku krakowskiego, osłoniwszy się tak dokoła, aby jej nikt widzieć i poznać nie mógł w drodze.

W niewielkiem od miasta oddaleniu czekał na nią brat z poczem dostatecznym, aby bezpiecznie przeprowadzić do Pragi...

Gdy rano Kochan królowi dał znać, iż czeszkii na zamku już nie było, odetchnął swobodniej Kaźmirz, lecz chmura nie zeszła z czoła jego. Ciężki wyrzut zachował w głębi serca, przeciwko samemu sobie. Teraz, gdy jej już nie było, żałował jej... bolał, litował się... a drugiego dnia wyprawił Kochana za nią do Pragi, aby się dowiedział o podróży, przybyciu i dalszych jej zamiarach, zapewniając, że zawsze na opiekę jego może rachować.

Posłuszny ulubieniec pojechał wprawdzie, chociaż przeczuwał, jakie go tam spotka przyjęcie. Nie spieszył z podróżą wcale, umieścił się u Wujków, gdzie po śmierci ojca Zoni brat gospodarzył i — niechętnie powłókł się do znanej sobie kamienicy, w której Krystyna znowu mieszkanie zajęła.

Chociaż przybyła niedawno, miała czas już swój dwor i czeladź tak zebrać, przystroić i roz-

mieścić, iż Kochan znalazł tu niemal królewskie otoczenie i porządek obyczajem pańskim ustanowiony.

Marszałek dworu, któremu się oznajmić musiał, poszedł o nim i poselstwie jego oznajmić swej pani.

Kochan w przedsieni czekać musiał na posłuchanie i zrazu mu go odmówiono. Nalegał na marszałka z tem że nie odjedzie do Krakowa tak pogardliwie zbyty. Poczęły się więc układy, i upór posła zwyciężył.

Piękna jeszcze Krystyna, po długich sporach, naznaczyła przyjęcia godzinę. Gdy Kochan nadszedł, znalazł cały dwór jej wspaniale ustrojony, w przedsieniach i bocznych izbach stojący jak na pokaz, a ją samą w głównej komnacie, na złocistem siedzeniu, przepysznie ubraną, przystrojoną klejnotami, z małym, naumyślnie włożonym diademem na głowie, dumną i majestatyczną jak królowę...

Nie zrzekała się ona dostojności i tytułu, do którego wierzyła, iż miała prawo.

Skinęła zaledwie głową posłowi, bez najmniejszego wzruszenia wysłuchiwała przemówienia jego i odparła obojętnie.

— Możesz donieść panu swojemu, że Rokiczana, nie od niego nie potrzebując, żadnej nie przyjąwszy łaski, godność swą utrzymać potrafi i wstydu mu nie uczyni.

Nie było się więc co w dłuższą wdawać rozmowę, a Krystyna kulka słów tych rzuciwszy ulubieńcowi królewskiemu, wstała natychmiast z siedzenia, dwom przybranym w barwę szkarłatną paziom dawszy znak, aby ogon sukni jej nieśli za nią. — Niewieści orszak w porządku i milczeniu parami wysunął się za odchodzącą w głąb dworca.

Marszałek dworu Rokieczany zapraszał potem Kochana na przygotowaną wieczerzę, lecz po przyjęciu, jakiego doznał — ulubieniec króla chleba w tym domu przełamać z nikim nie chciał i z dumą też, pożegnawszy go, odszedł.

Nie było królowi przyjemnem to, że Rokieczana, zawsze się królową mianując, chciała nią pozostać do żywota, wołałby był pewnie wydać ją za mąż i widzieć zatartą pamięć błędu; lecz charakter niewiasty spodziewać się tego nie dozwalał.

Tak uwolniony od krępującego go związku, król najmocniejsze powziął postanowienie nie zawierać już żadnych ślubów nowych, nie dać się uwieść nowej szczęścia domowego nadziei.

Poddawał się losowi swemu i wyrokowi temu, który oddawna brzmiał mu złowieszczą, przepowiednią: — Nie zostawisz po sobie potomka...

W sile wieku jeszcze, z sercem młodem, zobowiątały przez tę próbną z losem walkę, w któ-

rej tylekroć był zwyciężonym — znużony, smutny — cały się znowu oddał spełnieniu tego, co po nim miało wiekuistą zostać pamiątką...

Na tem polu król widział jakby czarodziejską różczką spełniające się wszystkie życzenia swe, wcielające myśli.

Rosły w oczach zamki i grody, mnożyły się w skarbcach zbiory, kraj wśród pokoju zaludniał, przybysze z Niemiec i innych ziem sąsiednich płynęli doń — rosła i sława wielkiego króla i potęga jego, i siły wewnętrzne państwa...

Gdy wśród tych dostatków i pomyślności przyjaciele królewscy, Wierzynek, oddany mu, Kochan, sługa wierny, ks. Suchywilk, Bogorja. Wacław z Tęczyna — widzieli zasępione czoło, błędnie czasem chodzące oczy, jakby szukały po świecie czegoś marzonego — litowali się nad panem wszyscy...

— Co mu po tem wszystkim — mówili — gdy szczęścia nie ma i mieć go nie może.

Kochan ramionami ruszał niecierpliwie.

— Dla czego nie może? — odpowiadał. — Los go, prawda, prześladował długo, ale w jego wieku rozpaczać się nie godzi. Wolny jest, ożenić się może — wolny jest, niewiastę sobie wedle serca wyszuka...

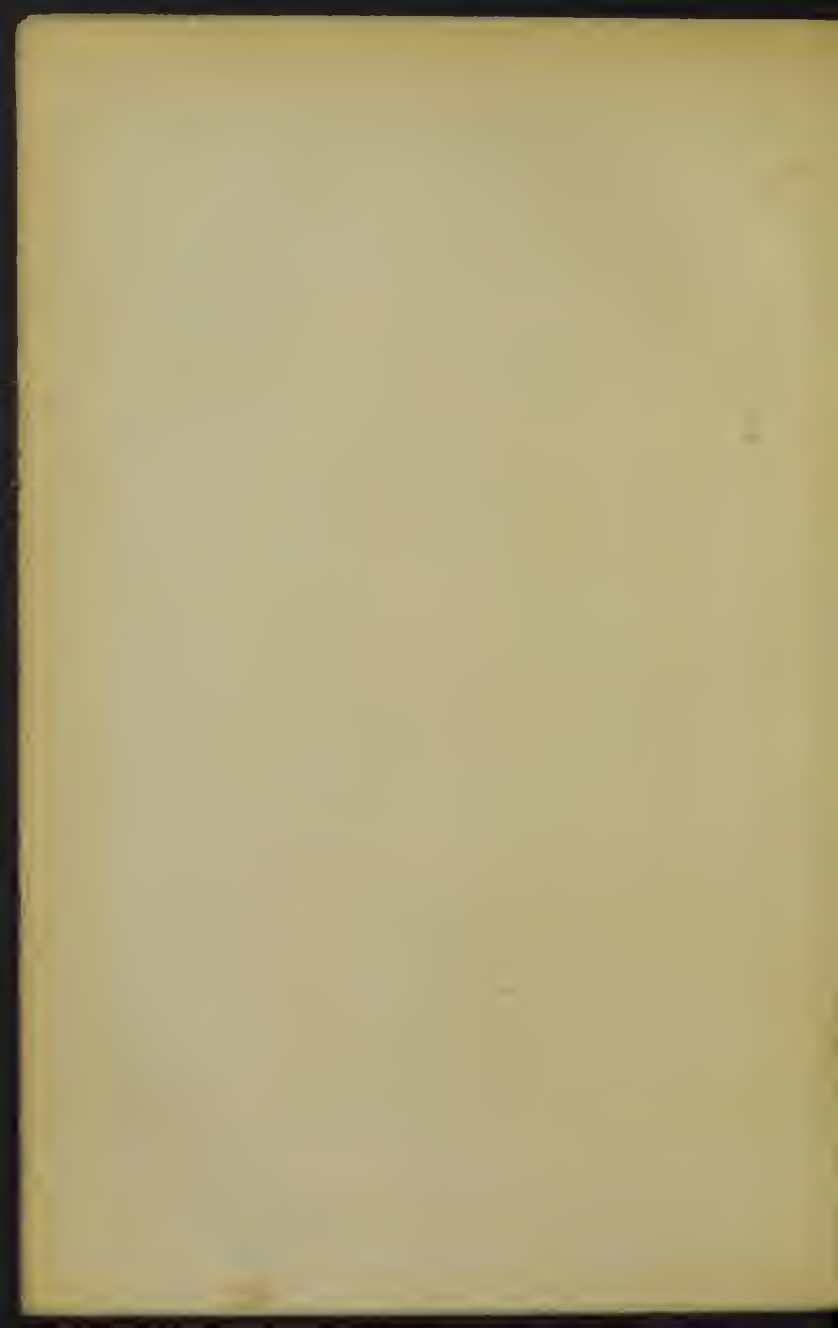
Lecz król, ilekroć Kochan dał mu zręcznie

do zrozumienia, iżby mógł towarzyszkę znaleźć, ramionami wzgardliwie odpowiadał i wnet rozmowę na inny przedmiot odwracał...

Unikał nawet wszelkiej zręczności, w której, by z niewiastami mógł się spotykać.



KSIEGA SZÓSTA.



E s t h e r a.

Król miał jechać na łowy. Nie był on zapalonym ich miłośnikiem, nie tęsknił za niemi, jak inni jego poprzednicy, jak wszyscy niemal współczesni książęta i rycerstwo, dla których one, czasu pokoju, były jakby wprawą do wojny i jedyną męzką zabawą — lecz, gdy raz wyjechał z ogary, z oszczepy, z ptaki i łucznikami swoimi, gdy w lasy się zapuścił, gdy mu psy zagrały, zwierzę się pomknął — odzywała się gorąca krew piastowska w nim i zapędzał się za jeleniem, za żubrem lub łosiem tak zapalczywie, jak inni.

Niemniej też był wprawny w ciskaniu strzały lub oszczepu od drugich, niemniej wytrzymały na niewczasy i znużenie — lecz — miłszem mu było poufałe towarzystwo mądrych ludzi, długie

u stołu biesiady i rozmowy, a nawet prosta z kmieciem pogadanka. W poln, gdy chłopa przy robocie zobaczył, a ci go wszyscy znali w tych okolicach, w których częściej przebywał, mało kiedy się nie zatrzymał, na pozdrowienie nie odpowiedział, nie pożartował poufale, nie pocieszył lub nie obdarzył.

Zazdrośne rycerstwo za złe mu to miało, pokątnie a kwaśno szydzono z tego upodobania. Byli i tacy, co przypominali, że chłopi i kmiecie Łoktkowi ojcu pierwsi w pomoc przyszli, gdy się państwa dobijał na nowo i przypisywano to wdzięczności.

Każmirz wiedział o tem, że go chłopskim królem zwano, uśmiechał się i wcale nie gniewał, choć naówczas obelżywe to było nazwanie.

— Chłopskim i mieszczańskim razem chcę być — mawiał — równie jak ziemian i rycerzy. Wszyscy u mnie dobrzy, co na tej ziemi mieszka, pracują i potem ją swym oblewają.

A im panosze i rycerstwo więcej na to sarkano, tem król jawniej się ze swą miłością dla ludu okazywał na przekorę. Miał nietylko serce dlań, ale i tę fantazję pańską, by nie po cudzej myśli iść, ale wedle własnej i jak sobie raz zamierzał.

Łaskawym będąc, surowym być umiał też, zwłaszcza dla tych, co mu się ostrostawiali.

Nie gniewał się i nie burzył, często uśmierzał, opór spotykając, a szedł tem mocniej i dzielniej przeciwko niemu.

Rycerskie to było usposobienie, szlachetne, pańskie a ufne w siebie. Mnogie powodzenia dały mu tę pewność i wiarę, — jedną tylko zachwiaszy nadzieję, by kiedykolwiek potomka miał po sobie zostawić.

Przekleństwo Amadejów, sprawiedliwe czy nie, ciążyło na nim. Swatano mu ciągle, obawiał się próby nowej, lękał samego siebie, znając swe serce, które łatwo umiłować mogło, bo miłować pragnęło, lecz zrażało się rychło, gdy piękna istota, zmieniała się wprędce w brzemię nieznośne,

W chwili, gdy już na koń król miał siadać, odziewszy się w kaftan, przypasawszy miecz myśliwski, oglądając się za trąbką, którą miał na ramionach zawiesić, Kochan wszedł z dziwnie wyjaśnioną twarzą.

Król go tak znał, że z jego uśmiechu łatwo myśl i humor czytał.

— Cóż ci to? — spytał. — Widzę, żeś rad czemuś?

— Ja? nie — odparł Rawa, ramionami poruszywszy z lekka — ale, tylko co mi Gozdawa Zbysz opowiadał coś...

Król trąbkę trzymając w ręku, nie wkładał jej, patrzył na Kochana i powieści czekał. Był pewien, że ona wkrótce nastąpi.

— Cóż ci to przyniósł Gozdawa?

— Powiadał mi, że w Krakowie widział piękną Estherę z Opoczna...

Spojrzał na króla, który, nie chcąc się może wydać z żywą ciekawością, na trąbkę spoglądał.

— Mówi, że... począł.

— Wydano ją pewnie za męża do Krakowa?
— zapytał król.

— Za męża nie wyszła, straciła ojca... ciągnął Kochan dalej, i co dziwniej na żydówkę, bo u nich niewiasty mało, albo i nic nie znaczą, sama pono się rządzi... Przeniosła się tu na mieszkanie.

— Rodzina czuwać nad nią musi — rzekł król, zwolna sznur od trąbki nakładając na ramię, w czem mu Kochan dopomógł.

— Ona opieki nie potrzebuje, bo rozumniejsza jest od nich wszystkich — mówił Rawa. — Właśnie to osobliwe, że oni przez pamięć na Aarona i poszanowanie w niej wielkiego rozumu, z którego słynie, dają się jej rządzić samej...

Kaźmirz spojrział, nic nie mówiąc.

— Cóż? za męża się wydaje? — powtórzył.

— Nie słyhać o tem — dodał Kochan. — Gozdawa tyle tylko wie, że jak była piękną kiedyśmy ją widzieli w Opocznie, tak jeszcze, jest teraz piękniejszą. Żydzi, nie żydzi, kto ją zobaczy, powiada, że takiej niewiasty, jako żyw, nie widział.

Wtem na podwórceu trąbić zaczęto na łowców, król ruszył się wybodzić.

Spytał o psy swoje i tem Kochanowi dał do myślenia, że piękną Estherą wcale się nie zajmuje. — Zwrot ten króla, dla tak dobrze jak Rawa znającego go człowieka, miał wcale inne znaczenie, niżby mógł mieć dla kogoś obcego.

Nie przedłużył Kochan rozmowy, Kaźmirz wyszedł konia dosiąść i ruszył na łowy.

Trzeciego czy czwartego dnia, gdy Kochan sądził, iż król zapomniał o tem, nagle spytał go przy końcu obiadu.

— Cóż tam, Kochan — masz nowe wiadomości o tej Estherze, która cię tak żywo obchodzi?

Był to znak, że król sam o niej myślał.

— Nowego nie mam nic — odparł dworzakin — lecz gdyby potrzeba było, gotówem się dowiedzieć!

Zmarszczył się Kaźmirz i rzekł sucho.

— Jeśli tobie potrzeba...

Na tem się wszystko skończyło — lecz Rawa zachował przekonanie, iż Esthery piękność nie została zapomniana.

Po smutnem doświadczeniu z Rokieczaną, którą po troszę miał na sumieniu, nie śmiał już uczynić kroku żadnego.

Dzierżawca żup wielickich Lewko przyszedł w tych dniach do króla za sprawami żupnemi.

Był to jeden z tych ludzi, którym Kaźmirz, doświadczywszy ich, ufał całkowicie; czego dowodem było, iż Lewkowi wspólnie z Janem Jelitkiem do wiernych rąk oddał monetę swą i mennicę.

Lewko, chociaż nie sam dzierżawił żupy solne, bo z nim Drukla, Henzel Burg, Arnold Welker i Bartko, należący do mennicy, wspólnie ją trzymali, wielkie miał u króla zaufanie. Człek był stateczny, rozumny i dobrej rady. Przeszłych czasów skarb ten, jakim były kopalnie soli, szarpali po troszę wszyscy, nieład w nich panował wielki.

Szlachta, roszcząc sobie jakieś prawa do soli, mieszała się do gospodarstwa, narzucała żupnikom ciężary rozmaite, gospodarzyła tu, napadała każdego czasu; król właśnie teraz chciał porządek surowy wprowadzić i pod gardłem zabronić nawet zwiedzanie żup bez pozwolenia; a sobie i podkomorzemu od siebie wyznaczonemu pozostawić wyłączne prawo rozporządzania dochodami.

Ciężary terazniejszych dzierżawców ograniczały się do utrzymywania tylko królewskich koni, sześciu ubogich żywiono w Wieliczce, a sześciu w Bochni, którzy za duszę rodziców króla modlić się byli obowiązani.

O ustanowieniu rady zwierzchniej nad żupami król miał z Lewkiem się naradzać.

Izraelita ten był innego kroju i postawy niż

Aaron. Równie jak on majątny, mniej chciał się wydawać z pochodzeniem swoim, nosił się bogato a strojem niewiele różnił od chrześcian.

Przestawał też więcej z chrześcianami, nie unikał ich, — a umiał się z ludźmi wszelkiego stanu tak obchodzić, iż i powagę swą utrzymywał, i nieczyjej nie uczynił ujmy.

Już podżyły Lewko wyglądał młodo i zdrowo. Rysy twarzy wybitnie wschodniego typu, czarne biegające oczy, usta uśmiechnięte — czoło wysokie, czyniły go pięknym jeszcze. Przebiegłość widać było w wejrzeniu, której ówczesne położenie izraelitów wszystkich ich uczyło.

Król go mile widział i mawiał z nim poufale o sprawach soli i monety. I tym razem przeciągnęły się pytania, odpowiedzi i objaśnienia. Lewko miał odejść, jak zwykle wielce uspokojony królewskimi słowy, gdy Krzimirz zwrócił się do już cofającego się ku drzwiom.

— Słuchaj, Lewko — rzekł — odpoczywając w Opocznie, stałem w domu krewnego waszego Aarona. Widziałem tam naówczas córkę jego, Estherę. Mówiono mi niedawno, że staremu się zmarło i pozostała sierotą. Wydajecie ją za mąż zapewne?

Lewko zdziwiony pytaniem, zakłopotany przybrał wyraz twarzy, głową poruszył, pomilczał jakby namysławiając się, i nierychło począł, zbliżając się znowu do króla.

— Mamy dosyć frasunku z tą jedyną córką Aarona — rzekł. Zostawił jej majątek piękny, ale postąpił źle przez wielką miłość dla jedynaczki, dozwolił jej wychowania takiego, które się na nic kobiecie nie zdało. — Dziewczynie ta jej mądrość głowę przewróciła. Do czego jest kobieta? dodał Lewko poważnie — ażeby była matką naszych dzieci... aby domu, kuchni, gospodarstwa pilnowała... Uczyć się nie jej rzecz. To też która z nich cokolwiek nauki dostanie. — zaraz jej ona idzie do głowy.. tak i z Estherą się stało. Nasi żydkowie jej nie smakuja, za lada kogo wyjść nie chce i mamy z nią wiele frasunku! — powtórzył wzdychając...

— Przybyła do Krakowa, sama ze swą ciotką, wdową bezdzietną, i coby miała jak najprędzej męża z naszych rąk wziąć — sama nie wie kogo i czego chce, na co czeka. Nie chcielibyśmy jej gwałtu czynić — a szkoda, bo i piękna jest, i na biedę swą — rozumna.

Król trochę przeciągłego narzekania Lewka słuchał z uwagą, patrząc nań i nie przerywając mu.

— Cóż z nią czynić myślicie? — zapytał.

— Nic jeszcze famila nie postanowiła — rzekł Lewko — ale w końcu i nasi duchowni i my musimy dziewczynę komuś dać. Prawo nasze nakazuje: szkoda niewiasty pięknej. Całe nieszczęście, że nadto rozumna.

Król się uśmiechnął.

— Prawda, — dodał — rozumna, śmiała jest, ale i piękna...

Lewko na wspomnienie piękności, popatrzył z pewną obawą na króla, nie odpowiedział, skłonił się i chciał odejść, gdy Kaźmirz dorzucił.

— Wiecie, że ja temu dziewczęciu szczęśliwie życie ocaliłem. — Dla tego los jego mnie obchodzi.

Lewko skłonił się bardzo nisko, ręce podniósł dziękczynnie do góry, westchnął i skinieniem głowy łaskawem odprawiony, wyszedł nareszcie.

Znowu czas jakiś upłynął, a o Esterze mowy, ani słychu, ani dychu na zamku nie było. Dom, do którego się przeniosła, stał właśnie na drodze, którą król zwykł był przejeżdżać, jadąc na łowy lub w okolice. Wiedział o tem Kochan, lecz panu mówić nie śmiał.

Dnia jednego, gdy król się do Tyńca wybierał, bo go tam zaproszono w lasy na łowy, przejeżdżając rano — na progu kamienicy zobaczył niespodzianie, jakby nań oczekującą Estherę. Mogła przez kogoś być uwiadomioną, o tym przejeździe króla, gdyż zwykle uniem wprzód rozkazy były wydawane, poznać to łatwo było można po starannem stroju i zejściu ze wschodków, aż w ulicę...

Z dala już oczy króla zatrzymały się na niej z zajęciem wielkiem, wstrzymał konia, i domy-

ślając się, że wyszła umyślnie na spotkanie, pozdrowił ją ręką i uśmiechem.

Koń stanął.

Esthera szła wolnym krokiem, śmiało ku Kazimirzowi, w całym majestacie swych wdzięków, których potęgę znać musiała. Skłoniła głowę przed panem i pozdrawiając go, odezwiała się, oczy zaraz podnosząc.

— Na drodze miłość waszą musiałam jak żebraczka napastować. W istocie też jestem nią, przychodzę prosić o opiekę tego, który raz już mnie ocalił. — Smutna to rzecz być zmuszoną skarżyć się na tych, których kochać i szanować się powinno. Nie mają oni złej woli przeciwko mnie, ale i dobrze chcąc czynić, trzeba wiedzieć co dobrem komu.

Uśmiechnęła się, rumieniąc trochę.

— Chcą mnie koniecznie swatać i za mąż dać... — dodała — a ja proszę, aby mnie nie zmuszano.

— Przecież, — rzekł dobrotliwie król — los kobiet jest taki, iż muszą ślubować komuś aby opiekę miały...

Esthera westchnęła.

— Niechże mnie, której ojciec rodzony wolę nad sobą dawał, i oni ją zostawia. Miłość wasza raczyście się wstawić za mną do Lewka...

Oczy jej czarne nie opuszczały na chwilę króla, który patrzył w nie zachwycony...

— Bądź spokojną — rzekł — z Lewkiem o tem mówić będę...

W ciągu krótkiej tej rozmowy, więcej nad usty, mówił król z nią oczami. Wejrzenie pięknego dziewczęcia z dziwną śmiałością, którą nieświadomością dziecinną i wielką czcią dla króla tłumaczyć było można, nie unikało spojrzenia pana, owszem wyzywać się go zdawało.

— Jam miłości waszej życie winna, — zakończyła, rękę białą kładąc na piersiach — chcę jej winną być i szczęście moje...

Każmirz, którego ciekawe oczy i uszy zbierających się w ulicy przechodniów wprawiły w zakłopotanie, prędzej może niżby był cuciał pożegnał ją, koniowi dał ostrogę i odjechał.

Esthera, patrząc za nim, wcale nie onieśmielona tem, że się jej przyglądano, ustąpiła z drogi zwolna i znikła we drzwiach kamienicy w których na nią starsze towarzysзки oczekiwały.

Spotkanie to głośnie się stało po mieście. Różnie je sobie tłómaczono, a że nikt prawie rozmowy całej nie słyszał, przypuszczenia były najdziwaczniejsze i sarkano powszechnie na zachwalstwo pięknej żydóweczki, iż się królowi narzucała.

Ówczesne wyobrażenia, świeże jeszcze prześladowania izraelitów obwinionych o zatrutowanie wód i pokarmów, o zabijanie dzieci i używanie krwi ich do zabobonnych obrzędów — pogarda,

z jaką się od społeczeństwa z niemi odłączano, odcechowując ich zewnętrznymi znakami dla uniknienia mieszania się ich z chrześcianami — wszystko to razem poufalsze obcowanie z niemi, zwłaszcza króla samego, czyniło czemś nadzwyczajnem, a dla duchowieństwa szczególnie oburzającym.

I tak już wyrzucano Kaźmirzowi miłość jego dla ludu, szczególną nad miastami i obcemi przybyszami opiekę, teraz oddanie żup i mennicy izraelitom, ocalenie kilku ich od napaści tłumu, naostatek łaskawość, z jaką wdał się w rozmowę z piękną żydóweczką, — do najwyższego stopnia podniosły niechęć przeciw królowi tych, którzy do niej tylko pozoru szukali.

Duchowni zawczasu przepowiadali, iż dojdzie do tego, że jeszcze sobie ulubienicę weźmie z krwi Izraela, na ostatnie upokorzenie chrześcian... na poniżenie korony, którą nosił. Nie było wprawdzie drugiego Baryczki, któryby przyszedł to publicznie królowi wyrzucać na oczy. lecz pokątnie tem więcej wykrzykiwano, a Kaźmirza głosy te dochodziły, bo mu je usłudźni przynosili ludzie.

Ile razy Kaźmirz spotykał się z taką naganą swojego postępowania, czyniła ona na nim zawsze to wrażenie, iż w nim wywoływała opór stanowczy — chłodne, ale niezłomne postępowanie wbrew sądów ludzi.

Poruszeniem ramion wzgardliwym i uśmiechem przyjąwszy doniesienia, Kaźmirz, któryby był może unikał widzenia Esthery, z pańską fantazyą człowieka, który wołę swą czyni — jadąc wkrótce potem rano bardzo na łowy, kazał się zatrzymać przed domem Esthery, wywołać ją, i gdy niespodziewająca się tego szczęścia wyszła, zaledwie zasłonę na wpół utrefione narzuciwszy włosy — rzekł głośno.

— Mówilem z Lewkiem, spodziewam się, że wołę moją spełnić był powinien...

Lecz, niechcę was tem w ulicy zatrzymywać, — dodał — wieczorem powracając, wstąpię do waszego domu. Czekajcie na mnie.

Rumieniec wystąpił na białą twarzyczę Esthery, radością zabłysły oczy, złożyła ręce na piersiach, skłoniła się i odparła głosem drżącym ale pełnym szczęścia...

— Sługa wasza i niewolnica czekać będzie na tę łaskę, której wszyscy jej muszą zazdrościć. Błogosławieństwo jedynego Boga niech będzie z wami!

Król odjechał.

Tuż za nim postępujący Kochan i Dobek spojrzeli po sobie. Dla pierwszego z nich nie ulegało już wątpliwości, że z tego stosunku coś się wywiązać musi, piękność Esthery — śmiałość jej, znana króla pochopność do rozmiłowania się — przepowiadały to niechybnie.

— Lecz żydówka! — myślał Kochan, — żydówka! Co ludzie, co duchowni zwłaszcza powiedzą? Co nieprzyjaciele króla wysnąją z tego?!

W ciągu dnia Kaźmirz był najlepszej myśli, i choć wcale nie wspominał o Estuerze, domyślano się łatwo, iż sobie obiecywał przyjemność wielką ze zbliżenia do niej. Dawno go tak odmłodzonym i rzeźkim Kochan nie widywał.

Łowy nie potrwały zbyt długo. Król tak obrachowywał czas, iż gdy dał znak do odwrotu i konia puścił klusem, widocznem było, że przed mrokiem stanie w mieście u kamienicy Esthery. Kochan i Dobek znowu po sobie spojrzeli, nie mówiąc nic.

O mroku w istocie zaledwie zapadającym, Kaźmirz zsiadł z konia u drzwi, w których czekała nań piękna i wystrojona Esthera; dworowi swojemu nakazał wracać na zamek, a Kochanowi jednemu pozostać przy sobie dozwolił.

Ten nadto był dobrym i starym dworakiem, ażeby miał iść za panem do izby, w której go przyjmować miano, siadł w przedsieniu.

Komnata gościnna, przestronna, przybrana tak jak w Opocznie, odświeżona tylko, pełna kwiatów, czekała na króla przyjęcie. W pośrodku jej, pod wielkim świecznikiem mosiężnym dukamiennym, stół był nakryty i zastawiony błyszczącym naczyniem złocistem.

Wielkie krzesło, okryte złotogłowem, stało przy

nim... Esther cała w klejnotach, jedwabiu, rąbkach drogich, woniejąca wschoduimi jakimiś eliksirami, cudniej piękna niż kiedykolwiek, wiodła króla, dumna, szczęśliwa, wcale nie zdając się ani myśleć o tem, ni ważyć, co sobie ludzie powiedzą o odwiedzinach tych wieczornych...

Królowi ta przygoda też zdawała się wielce miłą, — najmniejsza troska nie zasępiła pięknego jego męskiego oblicza...

Obejrzał się po izbie i spostrzegł ze zdumieniem, że w niej, oprócz starej żydówki, zdala u drzwi w głębi pokornie stojącej, nikogo nie było.

— Jestem o trzy kroki od zamku, odezwał się siadając i przypatrując pięknie zastawionemu stołowi — nie potrzeba było dla mnie przyborów tyłu.

Esthera śliczną białą rączką już mu nalewała wino — patrzała w oczy, i śmiejąc się białemi zębami, poczęła z zalotnością dziecianną.

— Jakżebym ja z tego szczęścia mojego nie miała korzystać — odezwała się — i mojego pana nie ugościć w tym domu, który na wieki pamiętać dnia tego zachowa?

Król podniósł kubek...

— Chcesz bym pił i jadł? — zawołał — Siadajże do stołu zemną...

— Ja? ja? — składając ręce i cofając się nieco, z wyrazem zdumienia i radości razem poczęła Esthera — ja? najmniejsza z niewolnic

twych, o panie. Ja, śmiałabym? a! nie, moje miejsce u nóg twoich...

Mówiła z tak szczerem, wielkiem przejęciem — z takim głosu drżeniem, z takim oczu wyrazem, iż król spoważniał nagle. Na chwilę krótką ogarnęła go bojaźń jakaś.

Ułakł się samego siebie i niebezpieczeństwa, które mu groziło. Lecz pokuszenie zbyt było silne, wdziękowi dziewczęcia oprzeć się nie mógł.

Starał się w żart obrócić, co powiedział.

— Nadto bo mnie przyjmujesz gościnnie, piękna Esthero... szepnął, do ust niosąc kubek. Nawet na zamku takiejbym nie zastał wicherzy, a nadewszystko takich jej przyświecających oczów diamentowych... Pamiętaj o tem, że gdy mi tu dobrze będzie, zapragnę powrócić, zateśknę może — cóż wówczas?!

Esthera słuchała z uwagą, ale na twarzy jej nie widać było ani pomieszanania, ani zawstydzienia od tej groźby.

— Miłość wasza — odpowiedziała po namyśle — jesteś u każdego ze swych poddanych, w państwie całym jak w domu, cóż u mnie, której życie do was należy?..

— A gdyby królowi często się u was goście zażądało — odparł Kaźmirz — cóż naówczas powiedzieliby ludzie na was i na niego?

Esther słuchała znowu z natężeniem.

— Na króla nie śmiałby nikt mówić nie —

bo król wyższym jest nad wszelką, mowę — rzekła — a na mnie cokolwiekby rzekli, jabym się tem pyszniła.

— A gdyby źli ludzie nazwali cię jego... ulubienicą? zapytał król, rumieniać się i ścigając ją oczyma.

Nie spuściła ich Esthera — owszem, zatrzymała długo na królu, jakby niemi mu naprzód odpowiedź dać chciała.

— Albożby to nie było szczęściem i dumą dla mnie?... odezwała się cichszym głosem... Dać temu chwilkę choćby zapomnienia o świecie, komu się winno życie na nim? Ale — nie może to być miłościwy panie. Nigdy chrześcijański pan nie zniży się do córki tego narodu, który skazany jest na pogardę i poniżenie...

Król poruszony, zapomniawszy się, rękę jej pochwycił.

— Esthero! zawołał — gdybyś chciała?...

Nie dopowiedział reszty.

— Mogłabym nie chcieć takiego szczęścia?

— odparła śmiało córka Aarona... Ja — ja musiałabym z radością uczynić cobyś rozkazał, bom twoja, lecz ty panie nie zażadasz tego, coby ciebie poniżyło, a mnie uczyniło nieszczęśliwą.

Tak jest, królu i panie mój, byłabym razem szczęśliwą i najnieszczęśliwszą — bo musiałabym wprędce twą łaskę utracić. W rękach twych byłabym igraszką i zabawką, którąbyś cisnął po-

tem na ziemię, a ludzieby ją nogami zdeptali...

Król spuścił oczy, jakby zawstydzony.

— Esthero — rzekł zwolna i smutnie — prawdą jest, że bywałem w życiu płochym — że miłowałem i rzucałem... ale nie trafiłem nigdy ani na taką piękność jak twoja, ani na taki rozum, ani na takie serce...

Tyś stworzoną do wielkich losów... Gdybyś raz chciała być moją, zostałabyś nią na zawsze...

Nie wiązałem się, ani ciebie, żadną przysięgą — lecz słowem królewskim... Możesz że ty zresztą obawiać się być opuszczoną, ty?...

Esthery powieki po raz pierwszy w ciągu tej rozmowy opadły na oczy czarne i osłoniły je, drżenie w twarzy widać było. Usta poruszały się bez głosu, jakby jej siły zabrakło.

Zwolna potem podniosły się zasłony, wzrok jakiś omdlony i łzawy zwróciła milcząca na króla...

— Panie mój — rzekła cicho — ze służebnicy swej nie czyni sobie igraszki bolesnej. Szydziłeś ze mnie — nie może to być.

Król powstał z siedzenia i coraz mocniej rozgrzewając się rozmową — zawołał.

— Na koronę moją — nie żart to był — Esthero!!

Zbliżył się ku niej, pocałował ją w czoło i rzekł gorąco:

— Esthero! oczekuj na mnie jutro — przybędę sam. Nikt widzieć i wiedzieć nie powinien...

Dziewczyna spojrzała nań oczyma wielkiemi.

— Dla mnie? odezwała się spokojnie — niech świat cały widzi, niech wiedzą wszyscy; ja mojego szczęścia się nie zawstydzę — będę nim dumną. Król i pan mój nie zechce mnie — odpychając, dać na wzgardę ludzi.

Każmirz pomyślał chwilę, upojony, wzruszony, rękę jej podał...

— Bądź mi wierną — zostanę ci na zawsze takim, jakim mnie widzisz dzisiaj... Ozłocisz mi dni moje...

To mówiąc, jakby go wspomnienia przeszłości przygniotły — poruszył się do wyjścia milczący.

Esther odprowadzała go do drzwi... pocałowała w rękę i cofnęła się, widząc oczekującego nań Kochana; który udawał rozespanego, choć podedrzwiami słyszał całą rozmowę.

Rawa wiedział, że tu już pośrednictwo jego nie było potrzebnem — kaprys ten królewski zdał mu się jednym z tych, jakich już wiele widywał, a doświadczenie uczyło go, że wszystkie one nie trwały długo. Pochodzenie Esthery mało czyniło prawdopodobnem, aby ona mogła mocniejszym węzłem przywiązać do siebie Każmirza. Pięknością i młodością wprowadziła przechodziła wszystkie swe poprzedniczki, lecz urok ten tak łatwo i prędko znika, a Rawa na charakter, rozum i takt dziewczyny nie rachował wcale.

Każmirz przeciwko swojemu zwyczajowi nie

zwierzył się mu z niczem. Kochan nie śmiał go pytać.

Dni kilka upłynęło. Po mieście zaczęły już chodzić pogłoski, że król miał nową kochankę i że nią była — żydówka.

Łatwo przewidzieć, z jaką zgrozą mówić o tem zaczęto, z jakim oburzeniem duchowieństwo przeciw królowi występowało.

Rzecz zdawała się dowiedziona, niewątpliwą; rozpowiadali o niej wszyscy — jednakże były to tylko pogłoski, posłuchy, plotki miejskie, którym wielu wiary nie dawało. Król we dnie nigdy do domu Esthery nie zajeżdżał... nie widywano jej nigdzie.

Z każdym dniem jednak rosły rozsiane o tem wiadomości, bogacąc się i prawdziwemi i zmyślonemi szczegółami. Starszyna dworu, stojąca u boku króla, zaniepokojoną była. Nalegano na nią, aby nastąpiła na Kaźmirza i znagliła go do zerwania, godności jego uwłaczającego stosunku.

Lecz ci, co bliżej go znali, wzruszali ramionami, i nikt się podjąć nie chciał mówić o tem, wiedząc, iż w życiu prywatnem Kaźmirz niczyją się radą powodować nie dawał.

Napadano na Kochana, wiedząc, że on mógł być sprawcą; czego się najuroczyściej zapierał. Ks. Suchywilk, dowiedziawszy się o pogłoskach, poszedł do Wierzynka. Najbliżej króla stojący,

jego osobisty podskarbi, płatnik, doradzca, także nic o tem nie wiedział.

On zresztą był tak pobłażającym dla pana, iż wszelką fantazję pańską uznawał za usprawiedliwioną — nic za złe mu mieć nie mógł.

— Mówcie o tem z nim, odezwał się Suchywilk, ma nieprzyjaciół dosyć, przyczynia ich sobie... Duchowieństwo zamykało oczy na wiele zbrodni i słabości — ta jest upokarzającą.

Wierzynek, który znał Kaźmirza nadto dobrze, by w skutek czyjegokolwiek pośrednictwa wierzył — potrząsł głową.

— Ojciec mój, rzekł z cicha do Suchywilka — nie wiem nic, nie bardzo wierzę pogadankom, bo na króla wymyślają wiele, lecz, gdyby to prawdą być miało — my pewnie nie odciągniemy go, ani zrazim; dla ludzkich języków nic nie uczyni.

Jeśli jest droga, to inna...

— Jaka? zapytał Suchywilk surowo.

— Znam tych żydów — odparł Wierzynek; choćby mogli dumni być z tego, że król sobie kochankę wybrał z ich krwi, wiem, że oni więcej się na to oburzają może, niż ci, co na króla krzyczą. Dosyć będzie pomówić z Lewkiem, aby i prawdy się dowiedzieć i — może zapobiedz temu. Pojadę do Wieliczki...

Tegoż dnia wieczorem Wierzynek był u Lewka.

Znalazł go, jak zwykle, rachunkami i żupami

zajętym, i rozpoczynającym rozmowę od sprawy składu solnego, który był w Krakowie. Na twarzy jego, w obejściu się, nie postrzegł nic, coby niepokój jaki lub zmartwienie zdradziło... Lewko ochoczo przyjmował krakowskiego gościa i starał się pozyskać sobie jego względy, bo choć sam u króla dobrze był położony, wpływ Wierzyńka przechodził łaski, jakimi się chlubił.

Późnym wieczorem, gdy sami pozostali, Wierzynek poufale go zagadnął.

— Nie doszło was nic nowego o Aaronowej córce Estherze?

Lewko wpatrzył się pilno w mówiącego.

— O Estherze? zapytał — drugiej takiej zuchwalej niewiasty nie ma w Izraelu i, dałby Bóg, aby takich i jej podobnych nie było!! Nie wspominajcie mi o niej, bo ona jest utrapieniem dni naszych, smutkiem rodu swojego całego...

Wierzynek, pomilczawszy trochę, rzekł powoli.

— W mieście rozpowiadają, jakoby królewską kochanką była?

Rzucił się Lewko, jak rażony wiadomością, i ręce załamał. Stał czas jakiś, nie mogąc ustworzyć — oczyma rzucał przerażony — zadumał się.

— Nie może to być!! wykrzyknął. Dla króla naszego życiebym dał — ale — ani onby mógł tego zażądać, ani ona zgodzić się na to. Szalona

jest, ale dumna... Wszystko na nią powiedzieć można — płochą nigdy nie była...

— Tak mówią, ja nie daję wiary — odezwał się gość. Coś jednak musiało dać pochop do tej plotki.

— Wiecie, że król jej życie ocalił, i że pamiętał o niej — dodał Lewko zamyślony, — tak — i gdym z nim mówił niedawno... pytał mnie o nią...

To przypomnienie słów królewskich Lewkowi brwi ściągnęło, zasepił się.

— Wspomniał mi o niej! dodał ciszej...

Począł chodzić po izbie niespokojny...

— Nie wierzę — dodał — ale potrzeba wiedzieć prawdę — jadę jutro. Dziewczyna kłamać nie umie...

— A gdyby w tem coś prawdy było! odezwał się Wierzynek — co czynić myślicie?

Żyd, ręce założywszy na piersiach, stanął przed Wierzyńkiem, nie odpowiadając nic.

— Gdyby to prawdą być miało? powtórzył — i urwał nagle...

Widać w nim było walkę wewnętrzną, rumieniec występował na twarz bladą i niknął; z piersi wyrywały się westchnienia.

Wierzynek napróżno długo czekał odpowiedzi. Żyd nie spieszył z nią i dumał. Stanął wreszcie znowu przed gościem.

— Odpowiedź trudna na pytanie wasze — począł z bolesnym uśmiechem. Wiecie wy, co to

jest być żydem na wygnaniu? Pamiętacie te rzezie i prześladowania, jakie nas tu i po całym świecie niedawno jeszcze ścigały? Łzamibyśmy może wstyd nasz oblewali, ale...

Tu się zatrzymał i spojrzał nań bystro.

— Jaby'm przeklął tę dziewczynę, rzekł — ale jeżeli ona, jak nowa Esthera, ma króla łaskawym dla całego plemienia uczynić, myślicie, że wahałbym się dać ją na ofiarę za lud nasz??

Zmilkzał Wierzynek.

— Byłoby to nieszczęście wielkie, i szczęście wielkie... Kobieta rozumu ma więcej, niż potrzeba dla niej. Zdałby się on może... Piękna jest, młoda, król przywiązałby się do niej?

Coraz ciszej mówiąc, nie dokończył Lewko i — łzy otarł...

— Taka kobieta wszystko może — dodał na wpół do siebie — któż wie? Bolałoby nas, mnie — lecz, wiecie, bo pismo znacie — ludzie dla narodu umierali, czemużby niewiasta nie miała dlań tego poświęcić, co nad życie droższe?

Jeśli się to nie stało — zawołał, niech się nie stanie! Ja ją sam wywiozę, zamknę... lecz jeżeli stało się — ja jej powiem — bądź dla narodu Estherą, a my ci przebaczym hańbę twoją.

Wierzynek nie miał słowa odpowiedzi.

Nazajutrz razem pojechali do Krakowa. Lewko kazał się wozowi swojemu u drzwi Esthery zatrzymać. Nie chciał mówić naprzód z nikim,

nikogo wzywać, z nikim radzić, póki by sam z nią nie mówił. Postawę przybrał uroczystą: opiekuna i sędziego. Esthera, która go zajeżdżającego widzieć musiała, wyszła naprzeciw do progu.

Nic w niej nie zdradzało upokorzenia, obawy, wzruszenia na widok człowieka, który szedł ku niej milezący i groźny.

Znalazł ją przybraną bogato i starannie, z twarzą rozjaśnioną i dumną. Przywitała go chłodno, jakby przygotowaną była na niemiłe badanie.

— Esther — odezwał się Lewko głosem, jakby przybrany, nieswoim, chociaż znał ją od dzieciństwa, i zwykł był do niej przemawiać inaczej. Esthero! ja tu przybywam nie jako Lewko, krewny twój i opiekun — ale jako sędzia, jako jeden ze starszyzny narodu naszego. Prawdę mi mów.

— Nigdy nie skalala ust moich fałszem — odparła Esthera spokojnie — pytaj...

— Król — począł Lewko wpatrując się w nią. Co mówią o tobie i o królu w mieście? Możeż to być?

— Co mówią? spytała zimno...

— Zowią cię kochanką jego...

Wpatrzył się jeszcze silniej w nią, nie spuściła oczów...

Milczeli oboje — chociaż Esthera nie zdała się odpowiedzi szukać i być jej niepewną.

— Król. ocalił mi życie — rzekła zwolna — ja i ono do niego należało...

Lewko jęknął.

— Przyznajesz się więc? zawołał.

— Król pokochał mnie — rzekła — a król może wiele dla narodu naszego... Miałam dla niego cześć i miłość...

Spuściła głowę i ręce rozpostarła.

— Nie zapieram nic! chlubię się tem...

Lewko płonął przed nią na podłogę i kroków kilka odstąpił. Hamował się, aby nie rzucić przekleństwa. Esthera patrzyła nań z dumą i spokojem.

Odszedłszy od niej, żyd padł na siedzenie i zakrył sobie oczy... Oplakiwał wstyd krwi swej... lecz nie rzekł słowa... Esthera zbliżyła się ku niemu...

— Lewi — bądź spokojny — odezwała się, hańba, jeżeli jest, spada na mnie, dobrodziejstwa na was spłyną. Król kocha mnie, a ja nieostałam być córką Izraela, odciągnąć mnie od niego nie potraficie — musielibyście zemsty się jego obawiać. Nie plujcie na niewiastę, która pod płaszczy swój weźmie plemię całe!

Lewko milczał, białemi, suchemi, kościstemi palcami twarz ciągle zasłaniając...

Przemógł się wreszcie, odsłonił ją i powstał

— Nie przeklinam cię, — rzekł — Bóg nasz niech sądzi. Trzymasz serce królewskie w dłoni — nie rzucajże go... Żadna dotąd niewiasta przywiązać

go nie mogła do siebie — przykuj go, nie puszczaj. Tem tylko uzyskasz od nas przebaczenie.

— Przebaczenie? powtórzyła dumnie Esthera — dziękować mi powinniście, nie przebaczać.

Lewko spuścił głowę upokorzony... Surowy twarzy wyraz, z jakim wszedł, zwołna z niej schodził. Był coraz bardziej izraelitą obrachowującym korzyści uczynionej ofiary...

Esthera śledziła w nim tę zmianę, jak gdyby naprzód pewną jej była.

— Kocha cię król — począł Lewko, stało się to... któż wie, co to zrządziło? Każżę mu się kochać gorąco, bądź dlań wszystkiem, niech w tobie znajdzie to, czego szukał życie całe... Jeśli porzuci cię...

— Nie porzuci mnie — odparła Esthera. Tamte, które brał i ciskał, nie kochały go, jak ja... on czuje, że ma całe serce moje... Tamte miłowały go dla królestwa jego, dla skarbów, dla wielkości — ja kocham człowieka, nie króla — ale król i pan mój dla rodu mojego pozyskany zostanie...

Lewko słuchał — skłonił głowę, czuł, że kobieta, którą miał przed sobą, nie samą pięknością musiała wziąć serce pana, ale i rozumem tym, który z każdego jej słowa wytryskał...

Cóż więcej mówić miał? naciągnął płaszcz na ramiona i chciał odchodzić, wstrzymała go Esthera.

— Lewi, rzekła — dobijali się nasi do drzwi moich, zamykałam je przed wszystkimi — tobiem je otworzyła tylko. Jesteś człowiekiem rozumnym. Mów im za mną, aby nie przeklinali mnie i nie odpychali, mów, aby napróżno nie starali się mnie oderwać od niego...

Nie zmuszajcie mnie zerwać tego, co wiąże z wami — nie każcie mi iść precz od siebie.

Ze spuszczoną głową stał Lewko, skinął tylko, jakby mu słowo rzec było trudno. Wyszedł milczący... W progu wahał się chwilę, dokąd pójdzie — do swoich, czy do Wierzyńka. Skierował się naprzód do tego, który był Rabbim w Krakowie...

Wierzynek już czynnie zajęty codziennymi swymi sprawami handlu i miasta, czekał nań do wieczora. Gdy Lewko nadszedł, nie potrzebował pytać, twarz żyda zmieniona, sfałdowana, ściągnięta — mówiła o tem, że wieść musiała być prawdziwa. Nie pytając go, czekał.

Lewkowi trudno było wyrzec słowo to, którego jeszcze się sromił. Siedzieli długo, urywane mi wyrazy o rzeczach obcych rozmawiając — jeden czekał, aby go pytano, drugi spodziewał się wiadomości, badać nie śmiejąc.

Patrzyli sobie w oczy... Lewko wyciągnął rękę i z góry spuścił ją na dłoń drugą... Westchnął.

— Prawda więc? szepnął Wierzynek.

Żyd głową tylko potwierdził.

— Jeżeli tak jest — dodał gospodarz domu — strzeżcie się króla narazić sobie próżnym już oporem. Nie czyńcie nic — nie sarkajcie... zyszczecie łaskę jego...

— Nie zmuszajcie mnie tylko ani dziś, ani jutro iść przed oblicze jego — odezwał się Lewko — wyczytałby mi w oczach ranę, którą w sercu uczynił. Możemyż my mu się przeciwieć? Możemyż sarkać? My? Rąbek jego szaty za uczyniony srom powinniśmy całować!

Uśmiechnął się Lewko...

— Stało się.

Nazajutrz zjawił się ks. Suchywilk, który miał czas przekonać się z tego, co słyszał na królewskim dworze, iż pogłoska nie była fałszywą. Smutny przychodził tu po jej potwierdzenie.

Wierzynek był już przysposobionym.

— Prawdą więc jest, co powiadają? zapytał ks. Jan.

— Gdyby nią było — odparł, nam wiernym sługom pańskim nie godzi się wiedzieć o tem, co on sam zataił przed nami. Dopóki król nie powie mi: — wypłać Estherze z żup ratę, dopóki nie przyzna ją za swoją, ja oczy zamykam.

— Ale ja ich na to zawartych trzymać nie mogę! odparł ks. Suchywilk... Zarzucają mi ludzie, żem mu w wielu sprawach pobłażał... cóż powiedzą, jeżeli teraz zmilczę?

— Powiecie, że wy badać króla w prawie się nie czujecie, rzekł Wierzynek.

— Nie! — zawołał Suchywilk, będzie co chce, zagniewa się na mnie, a co mam w sercu wy-leję z niego!

— I nie pomoże to nic — rozśmiał się Rajca krakowski, prędzej go upornym uczyni. Najgor-szem jest brać za wielkie, co małem w istocie...

— Małem to zwiecie? wykrzyknął z oburze-niem Suchywilk. Któż wie, jaki wpływ ta nie-wiasta wywierać może na niego. Ludzie nad płęć rozumną ją głoszą.

— Złą ją nikt nie powiada? szepnął Wierzynek.

— Bronicie go? zapytał ksiądz.

— Sądzić nie będę — zakończył Rajca.

Nie mówili więcej. Wierzynek jak najuprzej-miejszem przyjęciem starał się nachmurzonego rozbroić Prałata — lecz Suchywilk pożegnał go z widocznem strapieniem i frasunkiem.

Wieczorem król zasiadł do stołu w najpoufal-szych swych kole. Miejsce obok siebie wskazał ks. Janowi, miał tuż Wacława z Tęczyna, miał młodego pana z Melsztyna i grono przyjaciół co-dzienne.

Rzadko go widywano tak rozjaśnionym i we-sołym, tak zachęcającym drugich, aby z nim dzie-lili radość, którą twarz jego promieniała. Uderzył go wyraz Suchywilka rysów, nad miarę w tej

godzinie surowych i zasepionych. Po kilkakroć zwracał się ku niemu.

Wieczera się przeciągała. Gdy Kaźmirz wstał i dwór jego przyboczny do sypialni go przeprowadzał — Suchywilk poszedł za nim.

Było to znakiem dla drugich, aby się oddalili od progu.

— Godzina może stosowną nie jest — odezwał się Suchywilk, wchodząc za królem, lecz moje przywiązanie do miłości waszej milczeć mi dłużej nie pozwala.

Kaźmirz odwrócił się doń, oczekiwał dalszego ciągu.

— Nie zarzucicie mi, abym się męszął do spraw, do których miłość wasza mnie nie powołuje... ale dziś.

— Mówcie proszę — przerwał król.

— Uwłaczające waszej miłości pogłoski rozsiewają — począł ksiądz, a zdają się one mieć pewną podstawę. Miłościwy królu — byćże to może? Ta Esthera?

— Cóż Esthera? podchwycił król. Czy mieszka na zamku? czy ja ją królową chcę uczynić? czy mi człowiekiem być nie wolno...

— Nieprzyjaciele twoi — miłościwy panie.

Król się rozśmiał.

— Sądzę, rzekł żywo, iż większej łaski nad tę, uczynić im nie mogłem, dając taki oręż na siebie!!

Poruszył ramionami.

— Pochodzenie jej — przerwał Suchywilk.

— Nie przeszkodziło — podchwycił król — być najpiękniejszą w świecie niewiastą. Słaby jestem i nie taję grzechu mego...

Ludzie mogą kamieniem rzucać na mnie, na-
wyklę do pocisków...

Ks. Suchywilk stał, nic nie mówiąc, i błaga-
jąc go oczyma. Król zbliżył się i uściskał go.

— Ojcze, rzekł — zostawcie to spowiedniko-
wi mojemu, proszę...

Z westchnieniem, nie mówiąc już więcej, ks.
Suchywilk pokój królewski opuścił.

Każmirz powołał Kochana, kazał podać płaszcz,
iść za sobą, i nie mówiąc, dokąd się wybrał, za-
mek opuścił.

Godzina była późna — pomimo to przez za-
sunięte okiennice w domu Esthery światło widać
było. Piękna gospodyni, strojna z całym przepy-
chem, który lubiła, a było jej z nim do twarzy,
od dawna oczekiwała na króla. Jak zawsze, na-
pój mu najulubieńszy, przysmaki, o których
wiedziała, że mu były najmilsze, woń nawet
w komnacie dla niego dobrana, starannie przy-
gotowane były. Esthera z tym instynktem serca,
które odgaduje co ukochanemu miłym być może
w najmniejszych drobnostkach, chwile, które
u niej przepędzał, starała mu się uczynić wytecnie-
niem rozkosznem. Jej ubiór nawet zastosowywał

się do smaku pana, do wyrzeczonego czasem słówka pochwały, lub rady.

Dla Kaźmirza była ona zawsze piękna, lecz rad ją przystrajał jeszcze, lubując się wdziękiem, coraz inaczej mu się przedstawiającym.

Równie jak zastawa stołu, przygotowaną była rozmowa, aby nie nużyła króla, aby dlań była rozrywką i zabawą. Esthera z ksiąg wschodnich, które czytywała rada, czerpała poetyczne legendy i opowiadała je naiwnie. W niektórych z nich tkwiły myśli, może nie bez celu rzucane.

Choć czasem serce jej smutne było i uciśnięte, układała twarz wesolą, zmuszała się dlań do uśmiechu; nie okazywała zachmurzonego czoła, a nadewszystko nie zażądała nigdy dla siebie nic, co było najlepszym sposobem pozyskania wszystkiego, co chciała.

Kaźmirz, jak wielu podobnego charakteru ludzi, zrażał się żebraniną; a milczenie podbudzało w nim chęć odgadnienia życzeń i myśli.

W ten sposób Esthera, która dziękowała pokornie za najmniejszy dar, więcej otrzymała od króla w przeciągu niewielu dni, niż inne latami całemi.

Klejnoty, kosztowne tkaniny, perły, szkarłat, naczynia srebrne, wędrowały potajemnie do jej domu... Esthera przywdziewała dary, ustawiała je, ze czcią je zachowywała, za każdym razem

uradowana rzucając się do kolan króla i dziękując mu za nie.

Czarodziejka miała dar przywiązywania do siebie, rozkazywania posłuszeństwem, jednania dowodami miłości, i nigdy król dla żadnej w życiu niewiasty nie czuł tak gwałtownej miłości. Wstydził się jej, wyrzucał ją sobie, lecz zawładnęła nim coraz mocniej i nawet Kochan dostrzegł wkrótce, że rachując na nietrwałość tego związku, omylił się pono.

Dnia tego, witając Kaźmirza w progu ze zwykłą czułością i pokorą, Esthery, z za wesołość jaką mu zawsze przynosiła, dała się przebić jakby ukrytemu niepokojowi...

Król postrzegł to, gdy usiadła przy nim i spojrzała nań jakimiś zamglonemi troską oczyma.

— Cóż ci to dziś jest? — zapytał.

— Jestem tak szczęśliwą jak zawsze — od powiedziała żywo, nalewając mu kubek i podając go rączką białą. — Nie troszcz się, panie mój, używaj wczasu, odpoczywaj u mnie, zapomnij trochę o ciężkiej twej koronie. Na to ja jestem sługą twą, aby ci choć godzina w słodkiem upływała oderwaniu od pracy.

— Nigdy też w życiu nie miałem chwil tak szczęśliwych, jak spędzone przy tobie — rzekł Kaźmirz, i choć mi je ludzie zazdrośni zatruć pragną...

Król nie dokończył, wziął kubek i podającą w twarz piękną pocałował.

— Aleś ty dziś smutna? — zapytał.

— Ja nie mam żadnej przyczyny się smucić — odparła Esthery — radabym o niczem smutnem nigdy nie mówić panu memu — ale dziś muszę.

To mówiąc, wstała. Kaźmirz patrzył niespokojny na nią, twarz jej stała się poważną, brwi trochę ściągnęły...

— Czyżby ludzie ci śmieli jaką przykrość wyrządzić? — spytał król.

— Mnie? — odparła z uśmiechem — na to bym ja nie poskarżyła się nawet. Przy takim szczęściu, jakie mnie spotkało, cóż znaczy mały ból, jaki mi ktoś zechce uczynić? niesprawiedliwością byłoby się skarżyć.

— Cóż więc? — natarczywie nalegał Kaźmirz.

Esthery usiadła i powoli, z rozwagą, mówić zaczęła, z każdym licząc się słowem, a oczyma badając, jakie uczyni wrażenie.

— Nasz naród, miłościwy panie mój — rzekła — rozsypany jest wszędzie. W królestwie twojem nie ma miejsciny, gdzieby moich biednych braci nie było. Tacy jak my, ażeby się oprzeć i obronić tym, co ich nękają i prześladują — a ścigają ich wszyscy, muszą się trzymać za ręce. My wiemy przez swoich, co się gdzie dzieje, my czasem prędzej i pewniej dostajemy wiado-

mości od urzędników waszych i was, coście o wszystkim wiedzieć powinni.

Król słuchał z uwagą.

— Panie mój — dodała — zbliżając się ku niemu. Wyście obdarzyli i wynieśli Maćka Borkowicza wysoko. Czy wierzycie mu? czy pewni jesteście, że zdrady przeciwko wam nie ma w sercu?

To pierwsze wmięszanie się Esthery do sprawy publicznej, zmieszało króla i zasepiło go.

— Albożbyście wiedzieli co o nim? — zapytał.

— Nasi... powiadają, że człowiek ten, choć na pozór uległy i posłuszny, przeciwko wam coś knuje — mówiła dalej Estera — wszyscy ziemianie wielkopolscy prawie, zwołani przez niego, związali się z nim przysięgą i pismami pod pieczęcią, że z nim pójdą razem...

— Tak — odparł król — i ja wiem o tem, ale ten związek przeciwko mnie wymierzony nie jest, stoi w piśmie, które ułożyli, iż wierni mi pozostaną.

Estera uśmiechnęła się.

— A potrzebażby pisać było o tem, gdyby inną myśl nie chcieli zakryć tym fałszem? — odezwiała się, patrząc na króla. — Ludzie, co uszy mają dobre, mówią, iż właśnie ten związek kryje najniebezpieczniejszą zdradę. Ja jestem głupią niewiastą tylko, ja nie rozumiem tego, ale

są u nas ludzie rozumni i przebiegli, a ci powiadają... iż Maciek Borkowicz jest zdrajcą przeciwko tobie, tem niebezpieczniejszym, że się płaszczy i okrywa...

Kaźmirz zamyślił się chwilę. Esthera mówiła ciągle powoli.

— Ja nie swoje mówię słowa, ale mądrych ludzi radę powtarzam wam, strzeżcie się tego człowieka. Wy żądacie ze wszystkich tych ziem jedno uczynić państwo. Maciek chce wam Wielkopolskę oderwać i tak na niej panować, hołdownikiem tylko, jak Ziemowit na Mazowszu.

Widząc zdziwienie na twarzy słuchającego, Estera wzięła rękę jego i do ust ją poniosła.

— Panie mój — rzekła — ja tym sprawom obca... mój rozum takich tajemnic nie sięga, lecz mądrych ludzi siła w naszym narodzie, co widzą bystro... kryją się oni i milczą, bo dla nich i rozum niebezpieczny. Mądrzy mówią przez usta moje do ciebie. Strzeż się królu Maćka Borkowicza...

W milczeniu Kaźmirz wysłuchał cierpliwie Esthery — podumał, uśmiechnął się smutnie i począł.

— Rada dobra być może... zawsze ostrożnym powinien być, kto ma panowanie i straż nad krajem... Rada dobra, ale Esthero moja, byłbym ją chętniej z innych ust posłyszał, twoje

stworzone są na to, aby słodkimi upajały słowami...

— Tak panie — szepnęła Esthera — a! tak, ja to czuję sama, ale drży serce moje, gdy panu umiłowanemu grozić może niebezpieczeństwo... Mogęż ja milczeć?

I ja, i moi bracia w Izraelu, którym dawałeś i dajesz opiekę w państwie twem, kochają cię — oni mówią ustami memi...

— Maciek Borkowicz! — zawołał król. — Tak, możny jest przez siebie i przezemnie, mocen jest, bom ja mu dal siłę tam, gdzie jej dla utrzymania ładu było potrzeba, lecz jakem go podniósł, tak zgnieść potrafię. Tak — dodał król spokojnie — ale na to potrzeba więcej, niż podejrzenia, więcej niż słów luźnych... czekać muszę...

— A patrzeć pilno! — przerwała Esthera...

Przestroga nie pozostała bez skutku. Mniej wesół powrócił Kaźmirz dnia tego na zamek, lecz nazajutrz posłał Dobka do Wierzbicy do Poznania, aby doń przybył, nie glosząc dokąd jedzie, ani że go powołano.

Zjechał był pod ten czas wielce miły królowi i oddany mu całkowicie Bogorja, Arcybiskup Gnieźnieński, do Krakowa. Ludzie, co wszystko wiedzieć chcieli, powiadali po cichu, że go ks.

Suchywilk, siostrzeniec jego, potajemnem sprowadził wezwaniem.

Dla króla gość to był wielki i zawsze pożądany. Nigdy jeszcze żadną chmurką najlżejszego nieporozumienia nie zamglły się stosunki ich z sobą. Bogorya powolnym był, król wdzięcznym, i ów niegdyś tak srogi i energiczny pasterz, gdy o ukochanego króla chodziło, był mu prawdziwym ojcem, bo z rodzicielską łagodnością w najcięższych sprawach tak doń przemawiać umiał, iż się one zawsze zgodą i wzajemnemi ustępstwami kończyły.

Bogorja, przybywszy tu, naprzód się udał na zamek do króla, oświadczył, iż go sprowadziły kościelne trudności i z Biskupem krakowskim układy o dobra i dziesięciny do obu należące dyecezyj, a w granicach im niepodległych położone. Chociaż król się spodziewał a lękał, aby mu pasterz nie wypominał Esthery — w kilku poufnych z nim rozmowach Bogorja najmniejszym słowem nie dał mu uczuć, by wiedział o niej. Tem wdzięczniejszym był mu król za to.

Arcybiskup już przez siostrzeńca swojego ks. Jana był o tem zawiadomiony, a istotnym powodem przybycia jego do Krakowa była właśnie narada, jak króla oderwać od stosunku z żydówką, na który duchowieństwo ze zgrozą patrzyło.

— Dziesięć miłośniczym mu przebaczył — wołał oburzony Bodzanta — ale takiego zgor-

szenia ścierpieć nie mogę. Synody nasze sług chrześcian żydom zabraniają, a oto król nasz sam poszedł do żydów na służbę! Co za dziw będzie, gdy niewiernym nada nowe prawa, im co je już od Bolesława Kaliskiego wymodlili. dalej my ich nie o oni nas się obawiać będą!!

Bez wiedzy króla, pod różnemi pozorami zwołano przedniejszych panów, a ziemian ze stron różnych. Zbyszek, proboszcz krakowski, Spytek, kasztelan, Jan Nałęcz podkanclerz krakowski, jeden z Ligęzów, Piotr Odrowąż Szydłowiecki Przedysław z Gołuchowa, poznańczyk. wieczorem na trzeci dzień po przybyciu arcybiskupa zgromadzeni byli u niego. Ks. Suchywilk wuja zastępował, pełniąc gospodarza obowiązków.

Wszyscy oni z życzliwości dla króla znani byli, jeden Bodzanta od sprawy Baryczki, choć dziś już przejednany, z królem był zawsze chłodno i niezbyt dlań chętny.

Wnosić wszystkim wiadomej sprawy nie było potrzeb, Arcybiskup zagaił westchnieniem Podniósł do góry dłonie.

— Bóg nas pokarał tem — rzekł. Krewki jest pan nasz, jak wszyscy byli Piastowie, wiele mu przebaczyć trzeba...

Powstał natychmiast, gwałtownie przerywając Bodzanta.

— Dosyćśmy folgowali — rzekł... Padł ofiarą mój zacny a nieustraszony ks. Marcin!

Zamiast poprawy, widzicie, co przyszło... Wziął bezwstydnie miłośnicę z plugawego plemienia, którego dotknięcie kala... W cóż się obróci cześć korony tej naszej?...

Klątwą mu zagrozić — dodał żywo — klątwą. Tak, surowości potrzeba... pobłażaniem przywiedliśmy go do tego.

Suchywilk powstał.

— Niech mi wolno będzie się odezwać — rzekł — znam króla nie od dziś dnia, charakter jego, cnoty i wady. Jak w tej nieszczęsnej historii ś. p. Baryczki, tak teraz klątwami i groźbami na królu nic nie wywołamy... nie. Pobudzim go do oporu.

— Więc cóż? wybuchnął Bodzanta — ręce założywszy oślepnąć, milczeć, cierpieć?

Śmiechem szyderskim dokończył, oglądając się dokoła.

Bogorja, słuchający cierpliwie począł zwolna.

— Inny środek widzi mi się tu właściwym. Król boleje od dawna, że potomka męskiego nie zostawi po sobie. Nie stary jest, żony nie ma. Żonę mu dać potrzeba młodą, piękną, do którejby się mógł przywiązać — porzuci owe kochanie...

Spytek, Kasztelan krakowski, Ligeza i Przedysław z Gołuchowa, odezwali się wszyscy, jako do stronnictwa węgierskiego nie należący, z pochwalał i w myśl Arcybiskupa.

— Nie inaczej uczynić trzeba, tylko wedle

myśli ojca naszego. odezwał się, występując nieco Spytek, który tu ze świeckich najstarszy był dostojenstwem. Inaczej się nie poskromi krew gorąca...

Bodzanta, przy Arcybiskupie siedzący, poruszył się, słysząc to, i wnet począł...

— Gdybyśmy to chcieli przyprowadzić do skutku — nie zdołamy. Szanuję pomazańca bożego, lecz powiedzieć muszę co prawda, że osłabionym jest... Żaden ojciec córki mu nie da, aby jej los Adelaidy nie spotkał, która przed Rokiczaną ustępować musiała... Żadna księżniczka zań nie pójdzie, a na królowę nie tylko młodości i piękności, ale i krwi potrzeba, żeby nam wstydu nie uczyniła.

— Przeczę — odezwał się Bogorja — i zaręczam, że księżniczkę znajdziemy. Za Kaźmirza stało się to królestwo czem od wieków nie było, państwem wielkiem i mocnem. Koronę jego na skroń włożyć, warto coś ważyć za to.

— Księżniczkę znajdziemy — dodał Spytek... byle on na to nowe zgodził się ożenienie.

— A ono mu na co? odparł Bodzanta. Nadziei potomka pozbył dawno. Bóg sprawiedliwy karze go za śmierć mojego świątobliwego Baryczki. Wie sam, że z nałożnic synów mieć będzie, ale z żony mu nie da ich Bóg...

— Miłosiernym jest Bóg — przerwał poważnie Arcybiskup... Ja lepiej tuszę... Modlić się o to

będziemy wszyscy i wy — bracie mój — rzekł, zwracając się do Bodzanty, który brwi ściągał i szeptał.

— Niech na to zasłuży... z żydówką żyjąc, ekskomunie podlega.

Zmłczeli wszyscy.

— Ja sądzę — odezwał się Spytek, iż gdybyśmy króla prosili o to wszyscy, na nowe śluby się zgodzi...

— Wprzód mu księżniczki poszukajcie, któreby pójść zań chciała... wtrącił Bodzanta z niechęcią. Na świecie takiej nie znajdziecie.

— Mnie się widzi — odparł Arcybiskup, iż nam jej szukać i narzucać mu ją — nie naszą rzeczą. Prośmy go, ażeby się żenił, a wedle serca żony szukał...

— Kiedy serce wzięła żydówka! rozśmiał się Bodzanta.

— Sądzę, że nie serce, ale namiętność i chuć cielesna go w te więzy okowała — przerwał Suchywilk...

— Powiadają, że nie głupia jest — żartobliwie a złośliwie mówił Bodzanta. Gdy przy piękności rozum się znajdzie, trudna sprawa...

Znowu chwila milczenia naradę przerwała. Bogorja wcale nie zafrasowany słuchał i do swego powrócił.

— Chodźmy doń wszyscy — rzekł — nie ażeby go karcić i grozić, lecz by go prosić... Chcemy

mieć króla z krwi naszych Piastów, niech się żeni... nakażemy modły, Bóg dla nas czynił już cuda...

— Lecz nie dla tych, co prawami jego pomiatali — dodał Bodzanta. Mili moi panowie, (zwrócił mowę do Spytka i świeckich) — czyńcie jak się wam podoba. Idźcie prosić — ja nie pójdę... Modlić się o nawrócenie mogę, dopóki w grzechu jest, odwracam od niego twarz moją tak, jak Bóg i święci patronowie królestwa tego oblicze swe zasłaniają. Karze nas Bóg a chłocze od śmierci Baryczki nieustannie, morem, głodem i powodzią daje zuaki, a zatwardziałości w grzechu nie przelamał — cóż my na to możemy? Chyba jak Bóg i w imię Jego, chłostać też i surowością gnać do pokuty...

— Spróbujcież chociaż wprzód łagodniejszego środka — odezwał się Suchywilk... Gdy wyczerpie się pobłażanie.

— Dawno się ono wyczerpać było powinno — rzekł Bodzanta.

Bogorja, jakby nie słyszał co mówiono, począł w myśl swoją:

— Pójdziemy do króla...

Wtem Suchywilk, dając znak wujowi — podniósł głos.

— Ażeby krok ten był skutecznym — rzekł — należy i to rozważyć, czy mamy wszyscy ra-

zem do niego iść, czy pojedynczo o to nalegać przy każdej zrzeczności?

Wszelkiego nacisku król nie znosi — owszem, skutek on przeciwny na nim wywiera. Każdy z nas, powodowany miłością dla krwi tej, dla króla naszego, może i powinien błagać go o to. Gdy się zejdą te pojedyncze głosy, skutek przyniosą.

Bodzanta ramionami poruszył.

— Miłościwi moi — rzekł szydersko, za to wam ręczyć mogę, iż czy pojedziecie gromadą, czy pojedynczo — on jutro wiedzieć będzie, iż z narady to wspólnej wypadło!!

Ks. Suchywilk wziął te słowa jako wymierzone do siebie, zarumienił się i rzekł:

— Ani ja, ani ks. Zbyszek, ani kasztelan nasz, pan krakowski, z tem do niego nie pójdziemy, a pasterz nasz (wskazał na Bodzantę) nie pośle pewnie na zamek zawiadomienia.

Bodzanta się rozśmiał.

— Nie wiem kto doniesie i kto donosi, lecz wiem to, że król zawiadomiony zawsze i o tem co powinien i czego wiedzieć nie powinien.

— A o czemże król w królestwie swem zawiadomionym być nie powinien? odparł ks. Suchywilk.

Biskup groźnem zmierzył go wejrzeniem.

— Zgubną naukę szerzycie! — zawołał — chcielibyście wy, ażeby król w państwie sam był

panem tylko, a my, duchowni, jego służebnikami... O tem, co my czynimy i przedsięwzięmy, wiedzieć mu nie trzeba, ani się mieszać do tego...

Bogorja milezący, który wielki swój pierścień na palcu obracał i wpatrywał się weń zadumany — wtrącił.

— Król duchowną i kościoła władzę szanuje.

— A Baryczkę utopić kazał! rzekł Bodzanta.

— Nie godzi się tego kłaść na karb jego...

— Jakże, nie — gdy zabójców osłaniał, wołał nieprzebragany Bodzanta.

— Sprawa ta nieszczęśliwa przecież skończona — rzekł Suchywilk.

— Ale nie zapomniana — odparł żywo Bodzanta, i póki narodu, póty pamięci o niej. Plama z krwi się nie zmywa...

— Chrystus nam przebaczać każe — rzekł Arcybiskup.

Bodzanta nadąsany zamilkł. Po małej chwili uczynił ruch jakby wychodzić chciał, lecz Arcybiskup go powstrzymał.

— Waszego zgodzenia się potrzebujemy, ojcze — rzekł — skłońcie się do myśli naszej!

— Wyście tu u nas głową, odparł Bodzanta dumnie, chociaż ja w mej dyecezji pasterzem... Postanowicie, nie sprzeciwię się, lecz przekonany nie mogę być, bom innej myśli...

To mówiąc, począł żegnać Bogorję, który go

pod rękę ujawszy, do drzwi ze czcią odprowadził.

Wszyscy inni pozostali, czas jakiś nie odzywając się. Odejdźcie Bodzanty, jakby brzemień zdjęło im z serca...

Głos zabrał Suchywilk.

— Ksiądz Pasterz nasz, — chociaż inaczej się zapatruje na położenie, jestem pewny, gdy da Bóg, dokona się to, cośmy tu postanowili — nie sprzeciwi się i sam się z nami połączy. Ma żal jeszcze do pana naszego, ale... ustąpi on.

— I ja tak tuszę, potwierdził Areybiskup, który chętnie szedł za zdaniem siostrzana swego.

Spytek, Ligęza, Odrowąż i Przedysław z Gółuchowa nie mieli nic do dodania — zgadzali się na małżeństwo i na środki dla przyspieszenia go. A że Suchywilk, najlepiej znający króla, radził pojedynczo występować — i tę myśl trafną, a zastosowaną do charakteru króla, przyjęto.

Bogorja miał najpierwszy wystąpić, a że długo w Krakowie bawić nie mógł, zaraz nazajutrz na zamek z tem jechał.

Budowano tam właśnie i nowe wznoszono mury, król tak się zajmował robotami około zamku, iż sam codziennie przypatrywać się im, rozpytywać o nie chodził.

Zamek już za ojca dźwignięty i nieco rozszerzony, chciał Kaźmirz uczynić jeśli nie takim,

jakiby przystał wielkiemu państwu jego, to przynajmniej odpowiedniejszym swym upodobaniom.

Brakło i dogodniejszego mieszkania dla niego samego, i obszerniejszych izb dla przyjęcia dostojnych gości. Kaźmirz marzył o takim pałacu, jaki widywał w Pradze, na Wyszehradzie węgierskim i w Budzie; o jakich mu Wacław z Tęczyna opowiadał w innych europejskich stolicach. Lecz zbywało na kamieniarzach, budowniczych, rzeźbiarzach, i wszystkich tych rękodzielników sprowadzać było potrzeba. Przychodnie ci, mając dosyć zajęcia i w Krakowie, i po innych miastach, w większej części osiedlali się w kraju, a przy nich młodzież tutejsza uczyła się kunsztu i — król miał tę pociechę, że już nie sami cudzoziemcy przy zamku zajęci byli.

Tak samo jak z kmieciami w podróżach swych i wycieczkach, Kaźmirz chętnie rozmawiał z rękodzielnikami. Oskarżano go z tego powodu, że cudzoziemców, niemców zwłaszcza, zanadto lubił, zbyt wielu ich ściągał — lecz, nie z miłości dla nich czynił to, ale przez miłość dla kraju, do którego oni przynosili z sobą, naukę tego, na czem mu dotąd zbywało.

Gdy Bogorja zajechał przed zamek, Dobek Bończa oznajmił mu, że król opatruje mury, które wznoszono, i ofiarował się pójść mu opowiedzieć o gościu.

Lecz, nim Arcybiskup wysiadł, a Dobek ru-

szył, król stał już w przedsieni, uprzejmie witając ulubionego pasterza. Tem może serdeczniej zbliżał się teraz ku niemu, że on jeden, choćby był mógł mu wymówki czynić za Estherę, — nie powiedział ani słowa. Wdzięezen mu był za to. Z wypogodzoną twarzą weszli oba do zamku...

— Dzięki Bogu — odezwał się Arcybiskup — gniazdo to nasze stare... coraz wspanialej się uściela... Daj Bóg, aby urosło i ozłociło się... na pociechę naszą... ale samemu na nim siedzieć królowi nie przystało...

— Nie winienem ja osamotnieniu mojemu — westchnął Kaźmirz — znacie żywot cały... smutki jego i zawody... Dziś, zapóźno!!

— Za późno? — spytał Bogorja, siadając — Jesteś miłość wasza w sile wieku!

— Przepowiedziano mi, że zejde bez potomka! — dodał król smutnie.

— Niedorzeczne proroctwa! podchwycił Arcybiskup — któż siedział w Pańskiej radzie i zna wyroki Boże?

Król spuścił głowę zadumany.

— My wszyscy, którzy naszych królów krew nauczyliśmy się miłować — mówił Bogorja — modlimy się i pragniemy, aby te omina fałszem się stały. We wdowim stanie wam pozostać, potomka nie mając... nie godzi się. Jest to dobrowolnem wyrzeczeniem się wszelkiej nadziei!

Są w królestwie naszym tacy, którzyby Lu-

dwika, siostrzana waszego, radzi widzieli na Pia-
stów tronie... Wszakże i w nim kropla tej dro-
giej krwi płynie — lecz — my, my nie wy-
rzekliśmy się tej słodszej nadziei, że synowi
waszemu zostawicie należną mu koronę.

Mówiąc to Bogorja, patrzył na króla, który
siedział z oczami spuszczone, zachmurzony,
milczący, jakby rozmowa ta struny smutnie w dn-
szy jego brzmiące poruszyła. Kilkakroć Arcyb-
skup zatrzymywał się i czekał odpowiedzi, która
nie przychodziła.

Każmirz zrozumiał dobrze, dla czego do mał-
żeństwa zachęcał go Arcybiskup. Było to niewy-
rażne napomknienie, iż rodzaj życia, który pro-
wadził, w oczach jego niewłaściwym się zdał dla
króla.

Jakkolwiek lekkie, dotknięcie tego stosunku,
który jeszcze pochłaniał całego Kaźmirza, — ubo-
dło go przykro. Sromił się...

— Po próbach, jakie przeszedłem — rzekł
nareszcie król — nową czynić trudno mi, ojcie
kochany.

— Lecz dla przyszłości królestwa tego po-
winniście się poświęcić — odparł Bogorja.

Po długim milczeniu Kaźmirz odezwał się
obojętnie.

— Nielatwo mi o żonę, jakiejbym pragnął,
a pierwszej lepszej wziąć nie mogę. Śluby są

wiekuiste i omyłkę całym życiem płaciłby przyszło.

— Lecz Bóg łaskaw i omyłki nie będzie! — zawołał Arcybiskup. — Szukajcie a znajdziecie! powiada pismo...

Rozmowa ciągnęła się jeszcze, gdy nadszedł kasztelan Spytek, na zamku gość codzienny. Arcybiskup umyślnie się do niego zwrócił.

— Jestem pewien, że i wy mi zawtórujecie — rzekł, zwracając się do niego. — Namawiam króla do ożenienia...

— A! i mybyśmy wszyscy, choćby na klęczkach o nie prosić gotowi! — rzekł Spytek, zniżając głowę przed królem. — Wasza pasterska mość wyrwaliście z serc naszych życzenie, któregośmy objawić nie śmieli, choć je oddawna nosimy...

Całe królestwo ono czeka na to...

— Wszak wicie najlepiej — odparł król, tem naleganiem zakłopotany, — żeśmy na wszelki wypadek nie zostawili korony bezpańskiej. Przeznaczoną jest Ludwikowi...

— I ten miłym nam będzie, jeśli, uchowaj Boże, spadnie ona na niego — rzekł Spytek — lecz inna to rzecz swój pan, z nami wychowany, u nas zrosły, a obcy, choćby najlepszy! Obyczaj cudzy, prawo inne mimowoli z sobą przyniesie...

Z udaną weselością, jakby chciał tok rozmowy odmienić — król przerwał.

— Jam nie skory do nowego wyboru, a i księżniczka żadna nie będzie pochopną iść za wdowca... Stary jestem...

Bogorja się uśmiechnął.

— Byle ochota do ożenienia była... swatać wszyscy będziemy...

— Tak — zakończył król — w moim wieku już trzeba, aby ktoś żenił, bo sam człowiek nie potrafi...

Arcybiskup przez czas jakiś jeszcze o tym samym mówił przedmiocie, chociaż widział, że królowi nie był miłym...

Spytek mu dopomagał.

Kochan, który o naradzie już wiedział i czekał, jaki skutek uczyni przemówienie Arcybiskupa i kasztelana, dostrzegł tylko tę w królu zmianę, że go wesołość opuściła. Wieczorem poszedł do Esthery.

Dni następnych wszyscy, co się do króla zbliżyć mieli zręczność, popierali Bogorję. Ten i ów nie dosyć zręcznie objawił Kaźmirzowi życzenie powszechne... i chmurę na czoło wywołał... Wreszcie ciągle, zewsząd powtarzające się nalegania, dozwoliły się domyślać, iż one w skutek zmowy jakiejś, i za zgodą powszechną obległy tak króla.

Jednego wieczora zasępiiony Kaźmirz spytał Kochana, który zawsze najlepiej był uwiadomiony.

— Zkąd to poszło, że mnie wszyscy tak na-
pastliwie ożenić pragną?

— Nie potrzebuję tego tłumaczyć — odparł
Rawa. — W. miłość dobrze rozumiecie znaczenie
tych prośb powszechnych... Od żydówki by
oderwać radzi.

Król mruknął tylko.

— Takiej, jak ona, królowej mi nie dadzą.
Zabiegi próżne, ja się do tej niewiasty codzień
przywiązuję więcej.

Ulubieniec ostrożny, zachował milczenie.

Trwał już od kilku miesięcy serdeczny ów
związek z Estherą, a szemranie nań coraz wzra-
stało, gdy, zamiast pojedynczych prośb, ziemianie
i rycerstwo krakowskie, przybrawszy sobie z in-
nych z em ludzi znacznych, przyszli uroczyć się
na zamek do króla, przynosząc mu żądanie ogólne,
aby żony szukał sobie.

Król, zmuszony do odpowiedzi, znużony cią-
głami temi nastawianiami, w chwili podrażnienia
odpowiedział posłom publicznie, iż gotów jest
uczynić zadość woli ich i całego rycerstwa, byle
znalazł po myśli swej księżniczkę...

Było to już niejako zobowiązanie się i obiec-
tnica.

Kasztelan Spytek i kilku innych pierwsi wy-
stąpili z tą myślą, by księżniczki szukać w ro-
dzinie szląskich Piastów.

Zaczęto się rozpatrywać w rozrodzonych

książęcych dworach, ten i ów napomykali już imiona...

Król z wielką niechęcią, w milczeniu obojętnem słuchał, co mu donoszono, i ramionami ruszając, odpowiadać nawet nie raczył. Widział już, że od tego nowego związku, obronić się nie potrafi. Wieczory, jak zawsze, spędzał u Esthery, a często, nie zważając na oczy i na złośliwe szept, we dnie stawał przed domem Esthery — zsiadał z konia i dwór na zamek odprawiał.

Tak się i dnia jednego stało, w którym Kaźmirz więcej niż innych od nalegań ucierpiał.

Swatano mu najnatarczywiej księżniczkę Jądwigę z Głogowa, o której wieści chodziły, że była młodą, piękną, i wychowaną tak, że i na ronie królewskim usiąść była godną.

O przebiegu całej tej sprawy małżeństwa, Esthera była od początku uwiadomiona. Miała ona już naówczas usługnych dworzan; a co się działo i mówiło na królewskim zamku, natychmiast ją dochodziło.

Nigdy jednak nie dała poznać królowi, iż wiedziała o upornem swataniu, nie zachmurzyła się jej twarz, nie okazała obawy — witała go wesoło, zabawiała szczebiotaniem, starała się, by u niej o troskach powszednich zapomniał.

Król też zmuszał się, przestępując próg jej domu, okazać wesołym, a przymus ten wkrótce sprowadzał roztargnienie i myśl dobrą.

Dnia tego wszedł Kaźmirz, nie zdolawszy czoła wyjaśnić, posępny, padł na siedzenie znużony.

Po całodziennych łowach czekała go tu wieczerza... Siadł do niej, prawie słowa nie rzekłszy. Esther też milczała, patrząc mu w oczy...

Przybywał z brzemieniem ciężkiem; postanowił był bowiem otwarcie się o tem z nią rozmówić. W oczy jej spojrzał, kończąc wieczerzę... Siedziała przed nim, zawsze piękna, trochę bledsza tylko.

— Esthero — odezwał się król, rękę ku niej przez stół wyciągając, cobys ty rzekła, gdyby mnie zmuszono do ożenienia?

Duchowni, rycerstwo, wszyscy nalegają na mnie... bronilem się... niewiem, czy potrafię oprzeć!

Nie pragnę żony, Bóg widzi — lecz...

Esther nie spuszczała oczów z niego, słuchała spokojna.

— Królu mój — odezwała się, gdy zamilkł — jesteś ich królem też... Chcą mieć potomka z krwi twojej następcą po tobie... Cóż ja mam na to powiedzieć? Chceszże opuścić Estherę twoją?

— Nigdy! nigdy! — zawołał król z żywością wielką — tyś mi była jedyną, żadna cię nie zastąpi...

— Młodość, wdzięk, nowość, nie odciągną

cię mimowoli? — spytała z wyrazem powagi i spokoju żydówka.

— Jestem pewien tego, że drugiej pokochać nie potrafię tak, jak ciebie — rzekł król. — Miłość moja wielką być musiała, gdy mnie zmusiła z tronu zstąpić do Esthery — nie płoche to uczucie, ani je zgasić potrafi łada twarzyczka księżniczki.

Estherze po twarzy popłynęły dwie łzy, i stoczyły się po policzkach, jak dwie perły na białą dłoń.

— Tyś pan mój, jam niewolnica — rzekła — czyni co chcesz... Esthera posłuszną będzie... a co w jej sercu utkwi, to zamknie, abys rany nie widział.

Wzruszony Kaźmirz wstał z siedzenia, aby ją utulić i upewnić, że zmienić się nie może.

Gwałtowny ból, który łzy wycisnął, był jakby przewyciężony, uśmiech powracał, zdawała się zaufaną w nim, szczęśliwą. Król począł rozwodzić żale swe przed nią

— Nie panami my jesteśmy na tronach, ale niewolnikami! — zawołał. — Odjąć życie człowiekowi prawo mam, lecz własnem zarządzić nie mogę. Duchowieństwo z jednej, rycerstwo z drugiej strony oblega i w końcu najniezlomniejszą wolę zwycięży... Dobrym im jestem, powiadają, żem miękki — surowym, żem okrutny.

Sędzia ma godziny, w których zstąpiwszy

z ławy, człowiekiem wolnym się staje, żołnierz odpoczywa, kmieć wytechnąć może, tylko nie król, na którego dniem i nocą tysiące oczu patrzy i każdy ruch jego śledzi.

Żenić się musi dla przymierza, podawać rękę nieprzyjacielowi dla uzyskania spokoju, wojować dla ich korzyści — dla siebie nic mu uczynić niewolno.

— Panie mój — przerwała Esthera — Bóg was przeto postawił wyżej i przez was rządzi ludami... Skarżyć się może człowiek, król dumnym być powinien...

Każmirz, który się lękał łez, wymówek i zatrucia tego szczęścia, którego od niedawna przy niej zażywał; wdzięcznym jej był nad miarę, iż tak mężnie i ufnie przyjęła bolesną nowinę.

Wdzięczność ta powiększyła jeszcze przywiązanie; ze łzami wzruszenia w oczach, powtarzał dnia tego, iż nigdy nie opuści jej, i gdyby nań najsilniej nalegano, pozostanie jej wiernym.

Kochan, którego się król nie wystrzegał, podsłuchujący pode drzwiami, odszedł od nich z przekonaniem, że Każmirz z Estherą rychło zerwać nie może. Zmieniło to jego postępowanie z nią. Zapisał się od dnia tego w poczet jej wiernych..

On się nazajutrz sam nastreczył królowi dla odniesienia darów, jakie dla Esthery przeznaczał. Były one wyrazem tego, co doznał wczoraj, wdzięczności i powiększonego przywiązania. Prze-

chodziły też wszystko, co dotąd przelało się ze skarbcza na Wawelu do skrzyń Esthery...

Kochan z dwójgiem czeladzi zawiózł ze słowem Kaźmirza dary, których Esthera nie zdawała się spodziewać. Przy tej zręczności starał się ją zapewnić, iż gotów jest zawsze w każdym razie popierać jej żądania i u króla być jej orędownikiem.

Spodziewał się może wdzięczności i poufalszego zbliżenia, lecz Esther na te nadskakiwania próżne odpowiedziała tylko bardzo obojętnem głowy skinieniem.

Tak, jak ulubienca królewskiego, przyjmowała wszystkich, którzy się do niej wciskać usiłowali, starając przez nią cokolwiek wyjednać u króla. Odpowiadała na prośby tem, iż ani dla siebie, ani dla drugih nie śmiała nigdy nic żądać od króla.

Nigdy też z ust jej Kaźmirz nie posłyszał żadnego napomknienia nawet o czem innem oprócz tego, co się ich obojga tyczyło.

Lewko i inni pokrewni nalegali o wiele drobnych przysług, ale i tych Esthera odprawiała odmową.

— Dla narodu naszego prosić go będę — mówiła — dla ludzi nie mogę. On u mnie szuka spokoju, a ja mu go żebraniną zatruwać nie chcę.

Lewko się gniewał, lecz wprędce zrozumiał-

szy ją lepiej, — poszanował jej postanowienie, i nie nalegał więcej.

Spodziewano się może, iż chciwością i nadużyciem władzy, jaką miała nad królem, sama się mu narazi i od siebie odstręczy. Rozum znalazł się niespodziany w dziewczynie, i ta, którą za chwilową fantazję pańską z początku uważano, wkrótce urosła do potęgi, jakiej nikt nie przewidywał...

Kochan milcząco głową potrząsał. Panowanie jego się kończyło...

Od tego wieczora, gdy poddała się konieczności królewskiego małżeństwa, urosła niezmiernie...

Wkrótce przyszedł na świat pierwszy syn jej, którego król, Pełki dawszy mu imię i w szczyście pół orła, a w drugiej tarczy dzielnicy dwie róże białe, — ochrzcić kazał, przyznając swoim. Narodzenie jego wrzawę przeciwko królowi podniosło jeszcze straszniejszą... a równie nadaremna jak dawne narzekania i krzyki.

Tymczasem swaty o księżniczkę Jadwigę wyprawione zostały, a na zamku spieszo z przygotowaniami do uroczystego wesela.

Każmierz nie opierał się już, i z obojętnością największą dawał sobą rozrządzać tym, co go otaczali. Jadwiga Szlązka, czy inna, była mu równie nieznaczącą, narzuconą i przymusem daną towarzyszką...

Możnym panem był ten ruchliwy, gorący, nie-spokojny, gwałtowny Maciek Borkowicz, któremu nigdy dla zasług ojca, Przybysława, Poznańskiego Wojewody, król ogromne nadał ziemie, Koźmin, Orłę, Bożęcice, Golinę i wiele innych posiadłości.

Widzieliśmy go już u Neorzy, przysłuchującego się próżnym naradom ludzi, którzy coś przeciw królowi chcieli przedsiębrać, a nie nie umieli tylko językami szermować. Maciek miał naturę inną, choć na pozór do wybuchów łatwą, choć niby otworzystą i krzykliwą — umiał to ludziom pokazać co chciał, a co zataić postanowił, z tem się nie wydał. — Pomimo lat swych, których już czterdzieści z górą liczył, mimo, że syna dorosłego miał, którego mu zmarła żona pozostawiła — wyglądał czerstwo, młodo, i do niewiast zalecać się lubił.

Możnym panem był w Wielkiej Polsce nie dla tego, że ziemi w niej miał sporo, lecz, że tu się urodziwszy, przez całe życie pracował na to, aby sobie jednać ludzi, wszelkiemi sposoby. Jak jemu podobni, nie zbyt surowi w ich wyborze, Maciek wiedział dobrze, iż najłatwiej pozyskać sobie serca, dogadzając słabościom. Bano się go, bo gwałtownym był, ale wiązano z nim też chętnie, bo myśliwym lasy dawał, ochotnym do biesiady stoły zastawiał, chciwych godności popychał, łakomych na grosz jednał datkami. Zdawna już patrzali niektórzy na Maćka okiem nieufnem. Za-

nadto się krzątał, zbyt chciał przeprowadzić w Wielkiej Polsce, a kto mu zawadzał, uprzątał go z drogi, często nieznanemi jakimiś i zagadkowemi środkami. Wielu z tych, co się na niego porwało, a dokuczyło mu, poginęło w lasach, w podróży, w zwadzie jakiejś na gospodzie lub niewiadomo jak...

Na przemiany serdecznym być umiał i strasznym. Miał też nieprzyjaciół skrytych wielu, ale i druhów takich, którzy z nim na osłep iść byli gotowi.

Syna wychował, aby takim był, jak on sam, ale w tym, że młodsza krew grała, był jeszcze od ojca zapamiętałym i śmielszym.

Niewiele też odstał od niego i brat Jan, któremu z dóbr sobie nadanych przez króla, Maciek Czacz odstąpił.

On, brat Jaśko z Czacza i syn, chodzili zawsze razem, jak sprzężeni. Dwu jeszcze miał pomocników, wyręczycieli, zauszniaków i druhów, na których przedewszystkiem rachował: Sędziwoja Nałęcza i Skórę, obu ziemian możnych.

Królowi Maciek niby to służył wiernie, kłaniał się nisko, a że rubasznym był i na oko zdawał szczerym, Kaźmirz się go nie lękał. — Lepiej uwiadomieni utrzymywali, iż zręcznie, po cichu, podstępnie, przeciwko niemu knował. Podejrzane były jego ścisłe stosunki z księżętą

Brandenburgskiem, nieprzyjaciół Polski i ze Szlązkiemi, którzy od niej odpadli...

Jawnego jednak nie było, coby mu zadać było można.

Król mu dał wielką władzę, starostą swym w Wielkiej Polsce uczyniwszy, on większą jeszcze przywłaszczał sobie, garnąc wszystkich do siebie tem, że obrońcą praw i odrębności tej ziemi się czynił.

Garnęli się do niego ludzie w dobrej wierze i do tego przyszło, że stanął na czele związku ziemian wielkopolskich, o jakim dotąd jeszcze nigdy słyhać nie było. Długo się to przygotowywało, aż wreszcie na zwołanym do Poznania zjeździe wszyscy najcelniejsi ziemianie z Przecławem, kasztelanem, i Mikołajem, sędzią, na czele, uczynili na piśmie mocną rękę jedną, aby razem iść, wzajem się bronić i w jedności trzymać. Wprawdzie stało tam, że przeciw króla nikt nie był obowiązany, i zapewnioną była wierność jemu — ale słowo to nic nie znaczyło przeciwko czynowi, który wielkopolan Grzymałów, Nałęczów, Doliwów, Szaszorów, Leszczyców, Habdanów sprzął i dał w garść ambitnemu Staroście.

Przypominano już po cichu zdradę Wincza z Szamotuł, który też około siebie uzbierawszy ludzi, do krzyżaków ich poprowadził.

Lecz szli i tacy, którzy pomnąc, jak król Maćka obdarował, wierzyć nie chcieli, przypuścić

nie mogli, aby on wystąpić miał przeciwko swemu dobroczyńcy...

Na czele tych, co lepiej znając Maćka, obawiali się go i ostrzegali, aby się z nim nie wiązać, był rodzony wuj jego wojewoda Benjamin, którego drudzy starym Beńkiem zwali. Z tym już Maciek zadarł się był śmiertelnie i oba się na siebie odgrążali.

Działo się to właśnie wtedy, gdy poszła po ziemiach wszystkich pogłoska, iż królowi zaszwano Jadwigę Głogowską. Doszła ta wiadomość i do Poznania, a ztamtąd do Koźmina.

Dworzec w Koźminie, za miastem, w którym Borkowicz często przebywał, gdy tak bardzo jak w Poznaniu widzianym i śledzonym być nie chciał, dosyć obronny był, wałem osypany, ostrokołem opasany, ale jak wszystkie Borkowicza dwory — służył mu tylko za obozowisko.

Człek to był, który, choć możny, w życiu nie potrzebował błyskotek i wygod. Żołnierz, nieustannie na koniu, w przejazdach, w podróżach, miejsce rzadko gdzie zagrzewając, gdziekolwiek przybył, rozkładał się żywo, jako tako urządzał, byle mu wszystkiego w bród było, bo zawsze z sobą liczną gawiedź ciągnął — ale o okazanie bogactwa przepychem nie dbał.

Ludzie za to u niego dobrani byli i jak najlepiej zbrojni, nakarmieni szczodrze, opłaceni hojnie, a wszyscy zbóje, którzy ani swego życia

nie żalowali, ani cudze cenili. Byle pan skinał, każdy z nich na rodzzonego brata był gotów.

Z bratem Janem z Czacza, z synem Przemkiem, z nieodstępnyymi swymi Sędziwojem Nałęczem i Skórą, od dni już kilku siedział Maciek w Koźminie.

Mieszczanie tutejsi, których za roczny czynsz, raz ustanowiony, Borkowicz od wszelkich innych uwolnił był ciężarów — znosili mimo to ucisk, bo na ich przywilej nie zważano, i dwór darł okrutnie, ale milczeli w nadziei, że się go wkrótce pozbędą.

Na Koźmińskim dworze życie i ruch był niezmierny. Ziemianie ciągle przybywali i odjeżdżali, stoły musiały zastawne być od rana do nocy, piwa beczki wypróżniały się w oka mgnieniu, miód wysychał, mięsiwa i chleba nastarczyć było trudno.

A ktoby do izb zajrzał, w których ciągle tłumno było, wrzawliwie, gęsto — nie posądziłby pewnie, żeby się tam coś knować mogło, bo krzyczeli wszyscy głośno, śmieli się, pili, kłócili, a prawili o takich rzeczach, które chyba dla nich niebezpieczne być mogły.

Niekiedy tylko Maciek, którego z ziemian za szyję ująwszy, odwiódł do komory, powstał tam z nim, poszeptał, a potem śmiejąc się, do stołu powracał. Poczem zwykle ziemianin, najadłszy się

i napiwszy, usta ledwie otarłszy, na koń siadał i precz jechał z gęstą miną.

On, brat Jan i Przemko gospodarzyli u stołów po całych dniach gościnnie bardzo.

Osobliwszy był dom wdowca, bo w nim oprócz służby męskiej i czeladzi, młodych dziewcząt postrojonych w wianuszki, wesołych, chichoczących mnóstwo do stołu i po izbach posługiwało. Goście sobie z tej służby stroili żarty swawolne, ale u Borkowicza wszystko było wolno tym, co z nim trzymali.

Wieczorami ta czeladź niewieścia musiała śpiewać pieśni, a czasem i w tany pójść, gdy goście podchmielili.

Dnia tego, w którym Maćka we dworze Kozmińskim znajdujemy, po dłuższym nieco pobycie ziemian się jakoś przebrało. . . Jeden tylko, z Krakowa świeżo przybyły, za stołem siedział, jadł, bo był drogą wygłodzony, popijał, a razem plótk coś ciągle, bo mu się, acz pełna chleba i mięsa, gęba nie zamykała.

Maciek siedział na ławie rozwalony, w sukni rozpuszczonej i rozpiętej, ręką niespokojną brodę krótką targając, i twarz jego dumą i siłą napiętnowana, wyrażała wielkie z siebie zadowolenie.

Krakowski gość. imieniem a raczej przezwiskiem Groszek, był ubogim panoszą ze szczytu Półkoźców, czepiał się on różnych klamek, jadł chleb nie z jednego pieca, a teraz Maćkowi slu-

żył. On mu zwykle języka przynosił, co się na dworze działo, co po drodze słyszał, co u innych druhów Starosty dostał.

Ziemiańin był chudy a kościsty, zawiedły, ogorzały, ubrany niedostatnio, z szyją długą, na której łeb się kołysał wyłysiały, brzydki, z oczyma małemi, nosem dużym a czerwonym i uszami odstającemi. Mówił cicho a prędko, potroszę szeplecił, a równie mu było pilno jeść, pić i rozpowiadać, aż się krztusił.

Słuchano go pilnie, Starosta z ławy badał.

— Wierzbęta pojechał tam — mówił, albo z siebie sam, aby co utargować, lub zawołany... he?

Groszek brwi podniósł do góry.

— Kat go wie? rzekł — dopytać nie było można, ale na dworze go przyjmowali i u króla jadł.

— A z kim król nie je? odparł Maciek, u niego wszyscy dobrzy, byle mu pochlebiali, a na życie jego nie mówili nic...

— Mało, że Wierzbęta był — dodał szlachcic, było ich tam temi czasy dosyć. Naposiedli się króla żenić.

Maciek prychnął.

— Ma on ich dosyć! zawołał — jeszcze mu jednej trzeba. A cóż z żydówką będzie, bo tę słyszę, tak miłuje, jakby mu Messjasza narodzić miała.

— A no, toż i przyszedł na świat! zawołał

Groszek, ochrzciłi go w kościele, i szczyt mu król dał... a zowią go Pełką.

Nie mogli snać inaczej oderwać od żydówki, więc mu żonę zaswatali.

— Niemkę znowu pewno, bo litwinki drugiej ani rusinki dla grubego obyczaju nie weźmie... rzekł, śmiejąc się Borkowicz — anoni ciekawy, jaką?...

— Niemkę nie niemkę — począł Groszek — ale tak jak niemki gładko wychowaną i młodą. Mówią na pewno o Głogowskiej Jadwidze...

Maciek, który na ławie leżał, usłyszawszy imię to, zerwał się nagle, aż ława pod nim zatrzęszczała, podniósł i poskoczył do mówiącego z brwiami groźnie namarszczonemi.

— Niedoczekanie jego! krzyknął, wodząc oczyma zaiskrzonemi.

Brat i syn spojrzeli nań tak, jakby go hamować chcieli, lecz w tej chwili powstrzymać go już było ciężko.

Krwia całe zabiegło oblicze...

— Nie może to być? powtórzył...

— Com słyszał to prawie — odparł, bijąc się w piersi Groszek, trochę przestraszony, jakby na dzikiego zwierza z nienacka nastąpił. Arcybi-skup Bogorja z Suchywilkiem... pierwsi go przyciskać zaczęli, aby się żenił koniecznie. Za nimi poszli i kasztelan Spytek, Ligeza, Odrowąż i nasz Przedko z Gołuchowa. Jak go modlić

a nalegać zaczęli, rzekł im słysząc: — No, to dajcież mi żonę!

Poszukali mu więc, i księżniczkę Jadwigę znaleźli... Już ci prawią o godach...

Maciek z twarzą zmienioną słuchał. Brat jeden Jan i syn może wiedzieli, co gniew jego znaczył. Wysoko sięgał Starosta! wysoko...

Na Wielkiej Polsce, oderwanej z pomocą swych związkowych, zasiąść udzielnym panem, przy pomocy Brandeburgów i Krzyżaków, a z Jadwigą chciał się on sam żenić.

Na dworze w Głogowie niezgorzej go przyjmowano. Księżniczka nie miała dotąd bohdana, a za mąż wyjść chciała i wydać ją życzono. Młoda, piękna, żywa, śmiała, wesola do zbytku, podczas i na łowy jeździła, a samotnej w kącie siedzieć nie w smak jej było. Krosien też, jak inne, nie zbyt była rada pilnować...

Maćkowi, już dojrziałemu, śniło się ją wziąć do boku. Zdało mu się, że krzywą dłoń nie była. Chociaż po sobie nie mógł pokazać jeszcze, ażeby się starał o jej rękę, starosta zajeżdżał często, siadywał długo, podarki woził potajemnie, i te przez panią starszą przysyłał. Mówiono, że je przyjmowała, choć trudno było mu dojść, czy ona je brała, czy chciwa niemka, która przy niej ochmistrzyni obowiązki sprawiała.

Wszystkie te piękne nadzieje wiadomość przez Groszka przywieziona — w niwecz obracała. Złość

porwała wielka gwałtownego człowieka, stał burząc się i słuchał milczący...

— Szlężacy za niego jej nie dadzą! zawołał wybuchając. Albo to oni go nie znają? kto go nie zna, tego poganina, który żon i pół żon co roku mienia, ile mu Kochan nastroczy... Nie dadzą!

— Na dworze, bo powiadają — przerwał Groszek, iż już się Arcybiskup wprzód upewnił o tem, że ją dać zechcą, nim swatem się uczynił!! Prawią, jak jeden wszyscy...

— A z żydówką tą kochaną co uczyni? zapytał gniewnie Maciek — ba i z synkiem pół-judą, pół-piaściukiem...?

— Żydówka bodaj, aby w zapasie nie została — począł Groszek. Mówią, że się do niej przywiązał, iż bez niej dnia nie wybędzie.

— Mów, nocy — wtrącił zły Maciek, pięścią silną o stół tłukąc. Jeszcze mu jednej było potrzeba! jeszcze! Wszak ci już królestwo i nas sprzedał w węgierską niewolę... a po co mu syn?

Stojący obok Jan z Czacza mruknął, wtórując.

— Węgry nie dopuszczają ożenienia... Potrafia oni. Elżbieta bezręka, choć palców nie ma, zdoła wszystko powikłać i popsuć...

Maciek zwolna, burcząc, ku ławie powrócił. Groszek dobrze podjadłszy i podpiwszy, wasy sobie połą zabrukanego kaftana ocierał. Milczenie krótkie dało czas do namysłu, Starosta się zdradzać nie chciał.

— Cóż? rzekł — mówisz, że o godach prawią?

— A juści, potwierdził Groszek, i chcą je uczynić głośnemi, a świetnemi, aby zatrzeć pamięć tych z Rokieczaną, których im wstydy...

— O nas tam co mówią? nie słyszałeś? zapytał Borkowicz... Co o piśmie, któreśmy sobie dali? Ja sam o niem królowi doniosłem...

— Wie też o niem, ale sobie z niego nic nie czyni... We dworze słyszałem, jakoby mu to wytłómaczyli, że w tem nie ma nic, jeno bezpieczeństwo od warcholów...

Nic nie rzekł Maciek.

Badalby był może posłańca dłużej, gdyby do izby nie wpadł Skóra, do ucha coś szepnął Staroście, i nim dokończył, na progu się Wierzbęta ukazał, o którym mowa była właśnie, iż w Krakowie się miał znajdować.

Z tym Maciek nigdy dobrze nie był, bo się go obawiał, a ująć go nie mógł. Wierzbęta miał ucho i łaskę królewską, mąż był stateczny, poważny a twardy. Spojrzeć nań było dosyć, by poszanowanie uczuć, bo się sam on szanował, górą chodził, i do tych należał, których nawet na słodkie pochlebstwo nikt nie weźmie.

Na widok jego zerwał się Borkowicz, bratu i synowi znaki jakieś dając.

W istocie ta izba stołowa wcale na przyjęcie gości tak znacznego przygotowaną nie była.

Przesunęło się przez nią od rana ludzi dosyć, a czeladź męzka i żeńska stołów zapomniała opróżnić i oczyścić.

Na wpół wybielonych obrusikach pomiętych tułały się misy z kośćmi i zastyglą strawą nie-dojedzoną, kubki piwem pooblewane, chleba kromki i kawałki, dzbanki i różne naczynia. Nieład był, jak w gospodzie na popasie, jak w obozie... Ławy niektóre w poprzek izby stały, inne powywracane leżały... Psisko ogromne, właśnie się niepostrzeżone wkradłszy i sparłszy łapami na stole, misy wylizywać zaczynało.

Maciek z dumną swą miną naprzeciw gościa wystąpił, chcąc dłań uprzejmym być. Wołano na służbę.

Wierzbięta zwolna, nie bardzo się oglądając, zbliżał się do Starosty.

— Przebaczycie mi, miłość wasza — rubasznie rzekł Borkowicz, bom ja tu choć w domu, a jak w gospodzie, więc — nie wonno u mnie i nie wytwornie. Jam żołnierzem bywałem a prostych obyczajów nie pozbyłem się.

— Ano, wszystko dobrze — odparł obojętnie Wierzbięta, byłem was znalazł, reszty mi nie trzeba.

Uczynił Starosta miejsce na ławie dla przybyłego, sam się przy nim sadowiąc, gdy brat i syn oddalili się, aby wydać służbie rozkazy.

Wnet też, jak wprzód nikogo nie było, nagle

się zbiegła czeladź i męzka i niewieścia, co rychlej sprzątając hałaśliwie, a psy skomlaące wyganiając kijmi i nogami. Rozmowa więc w pierwszej chwili trudna była, a Borkowicz po małym namyśle gościa do komory z sobą przeprowadził.

Tu znowu łoże, jak barłóg rozrzucone w kącie, i odzież porozwieszana i porozkładana bez ładu, rumieniec gniewu mu na policzki wybiła. Kłął po cichu służbę swoją...

Siedli na ławie...

— Z Krakowa wprost jadę, odezwał się Wierzbęta zwolna, kazał mi was król pozdrowić.

Sklonił głowę Maciek.

— Bodaj nam zdrów jak najdłużej panował, rzekł z cicha.

— Rad się o Wielkopolskę wypytywał, ciągnął dalej przybyły — alem ja niewiele powie dzieć mógł, bo wiem szczupło. Rychlejbyscie wy, albo wuj wasz Beńko, mogli mu o tem donieść.

— Jam się też po piśmie naszym do miłości jego wybierał, rzekł Borkowicz, postępując. Chciałem sam królowi z tego sprawę czynić, ale u nas tyle do czynienia jest, że się pański Starosta oddalić nie może.

Beńko stary i powolny, na mnie ciężar wszystek, a po lasach, po gościńcach rozboje ciągle, warcholów dużo, i żelazną ich ręką karcić trzeba.

Słuchał z uwagą Wierzbęta.

— Juściż będziecie się mieli kim wyręczyć — rzekł, a choć na królewskie gody przybędziecie.

Wspomnienie to poruszyło znowu Starostę, tak, że ledwie się mógł utrzymać nie zdradzając.

— Jakie gody? zapytał, zdziwienie grając.

— Wiedzieć musicie, iż król się nareszcie prośbami wszystkich dał skłonić do ożenienia...

— Jeszcze raz? przerwał Maciek.

— Nie stary jest — mówił Wierzbięta...

— A przyrzeczona Ludwikowi korona!

— Wiecie, że stoi w opisie warunek, gdyby potomka nie miał...

— Daj Boże szczęście! odparł Borkowicz — ano król nie bardzo młody, jeśli parę dobierze do wieku, potomstwa się nie doczeka, jeśli mu młodą dadzą...

Niedokończył, głową potrząsłszy.

— Swatają mu szlazką Jadwigę, rzekł Wierzbięta.

Maciek ramionami poruszył.

— Co mam rzec? daj Boże szczęście, choć ja się go spodziewać nie umiem.

— Boże uchwaj złego! rzekł Wierzbięta. Ja mam lepsze nadzieje.

Tu chwilę pomileczawszy, dodał.

— Do Krakowa jedźcie, królowi się stawcie, taka rada moja. Różni tam ludzie, mogli mu wasz zapis tłómaczyć krzywo, opowiecie sami, że go potrzeba było, a królowi on strasznym nie będzie...

— Stoi przecież w nim, iż panu wierność ślubujemy — zawołał Borkowicz... ale ja — wiem to dobrze, nieprzyjacioly mam. Niepoczciwe języki wszystko obluźgać są zdolne. Z najczystszeo człowieka poczwarę uczynią.

Wierzbęta milcząc słuchał.

— Król niepochooony jest do uwierzenia la-da komu — rzekł — więc też i pisma źle nie wziął, tylko niemiłem mu może, gdy się jedna ziemia osobno wiąże i oddziela, a onby je właśnie rad wszystkie z sobą połączyć.

Borkowicz brodę potarł.

— Odrywać się nikt nie chce, ale ziemianie nawykli zdawna w każdym kraju swe prawo i obyczaj trzymać. Taką Polskę Krzywousty mieć chciał, w której choćby wielu panów było, jeden stał nad wszystkimi najwyższy.

Maciek ożywił się mówiąc, i niby z całą otwartością dalej ciągnął.

— Z krajem tak jest, jak z majątnościami, gdybym ja chciał sam gospodarzyć przez się i tu w Koźminie, i w Orli, i w Bożęcinie, i w Golinie, niczegobym nie dopatrzył, jak należy. Przeto włodarzy trzymam, władzę im moją zdaję, i liczbę z nich odbieram. Tak i w królestwie, im ono większem jest, udzielnych włodarzy, którzyby moc mieli rozporządzać się, jako zechcą — musi być wielu.

Wierzbęta słuchał.

— Nie inaczej też jest — odparł, wielkorządców król stanowi w każdej ze swych dzielnic — a Ziemowit Mazowiecki...

— Takich jak Mazowiecki, więcejby być powinno — przerwał Maciek żywo — a wielkorządców mniej. Ci władzy całej nie mają, a przez to niewiele uczynić mogą.

— Nie zapominajcie, że przez takich jak Ziemowit, Pomorze się nam oderwało — rzekł, marszcząc się, Wierzbęta.

Borkowicz, jakby się już za wiele rozgadał, umilkł nagle. Tarł ręce i patrzył w stronę.

Począł więc znowu przybyły gość.

— Nie nasza to rzecz — tem rozporządzać. Król władzę ma, i co uczyni, dobrem będzie, na rozumie i na radcach mu nie zbywa. Ojciec jego życie całe strawił na składaniu z kawałków wielkiego państwa, dzieła jego syn psuć nie będzie.

Z tem do was przybyłem — dodał — abyście do Krakowa jechali, i królowi się jasno wytłómaczyli. Mówicie sami, że nieprzyjaciół macie, ja o nich nie wiem, ale tem ci pilniej powinniście około tego chodzić, aby wam złe języki nie szkodziły.

Namarszczył się Borkowicz i pogardliwie twarz skrzywił.

Choć niewiele ładu w domu jego było, przecież jakiegokolwiek gościa z domu odpuścić, chleba z nim nie rozłamawszy, nie godziło się — za-

stawiono co było dla Wierzbięty, a ten odmówić nie mógł. Lecz i jedzenie i napój nie zdawały mu się smakować, a Borkowicz; zwykle przynaglający innych, na niego nie nastawał. Przepili za swe zdrowie po cichu, kubkami uderzywszy... Gość, którego konie stały w podworcu, wstał wprędce, i choć go zapraszano po obyczaju, dla pilnych spraw powiedział, że jechać musi.

Borkowicz go wyprowadził aż do przedsieni, i natychmiast wracając do dworca, padł zamyślony na siedzenie, brodę targając i okazując, że się w nim burzyło wszystko. Nie powołanie do Krakowa, ani przyjazd Wierzbięty go tak poruszył — ale wiadomość potwierdzająca się, że księżniczka Jadwiga wychodzić miała za króla polskiego. Oprócz innych zamysłów, dzwignięcia się przez ten związek i pozyskania sojuszu książąt Szlązkich, tak jak już Brandeburgów miał po sobie — Maciek rozmiłowanym był, a w jego wieku najniebezpieczniejszym to bywa.

Młoda księżniczka łaskawą dlań była, pochlebiał sobie, iż pozyskał sobie jej serce; myślał już więc nad tem, jak królowi narzeczoną wprost porwać i uprowadzić, bo pewien był, że ona się zgodzi na to.

Niespokojny, gdy wszedł brat Jaśko z Czacza — zawołał doń zdala.

— Muszę jechać — dziewczynę gotowi gwałtem wydać, trzeba zobaczyć, jak tam rzeczy sto-

ją. Była dla mnie życzliwą, jeżeli się uda, gotówem ją uwieść i zaślubić!!

Jaśko coś głową powątpiewająco potrząsał.

— Dobrze rozważcie, abyście się dla podwiki daremnie nie uwikłali. Sprawa gardłowa! Narzeczona królewska — rzekł powolnie.

— Niewiadomo, czy już narzeczona, czy tylko zmówiona! Zrękowin czasu nie mieli uczynić — począł Borkowicz. Mnie natychmiast potrzeba do Głogowa, lub gdzie ona jest, i przez starą ochmistrzynię posłuchanie sobie tajemne wyrobić...

Brat, który się starszemu nigdy nie sprzeciwiał, zmięczał i teraz, lecz niebardzo pochwalał. Borkowicz, gdy raz co postanowił, nie było już sposobu ani go przekonać, ni odciągnąć. Nie słuchał nikogo, a co mu się zamarzyło, natychmiast musiał dokonać. Kazał konie sposobić. Na wieczór, noc, porę, nigdy nie ważył. Zamyślił co o północy, nie czekał do dnia.

Ruszyło się wszystko we dworze, bo myślano, iż pan z całym swym orszakiem z Koźmina wyjedzie. Wieść poszła na miasteczko, ucieszyli się mieszczanie, ale napróżno — bo Borkowicz w kilka koni z bratem tylko na parę dni chciał uczynić wycieczkę, nie mówiąc dokąd.

W oka mgnieniu zwykli byli ludzie spełniać jego rozkazy — i nim się on przeodział do podróży, konie i wybrany dwór stali gotowi — syn pozostawał, mając nań oczekiwać w Koźminie.

Po drodze już dowiedzieli się, że Jadwiga była istotnie w Głogowie, gdzie posłów z Krakowa nowych oczekiwano. Głoszono powszechnie, iż rzecz była postanowiona. Maciek burząc się, pospieszał. Nie pojechał na zamek, ani się tu pokazał, znalazł gospodę, a do starej ochmistrzyni pacholę posłał, aby się z nim widziała.

Oplącana sownie za każdą posługę — starsza pani odpowiedziała posłańcowi, iż do gospody wieczorem nadąży...

Borkowicz, nie mogąc się i spocząć na chwilę, oczekiwał na nią. Mrok padł, gdy otulona płaszczem do niepoznania, zjawiała się w progu niemłoda już niewiasta. Była ona niegdyś piękną, lecz od dawna nie mogąc na wdzięki rachować, na zręczność swą, pochlebstwo, przewrotność i niewieście wybiegi liczyła tylko. Zwali ją we dworze od imienia męża Konradową. Umiała sobie na nim wszystkich pozyskać: księżniczkę, którą wychowywała, i której nadskakiwała, na wszystko jej pozwalając, czego tylko zażądała, rodzinę i dwór. Z każdym mówiła inaczej, potakiwała z kolei wszystkim, służyła na prawo i lewo. Borkowicz ją sobie był pozyskał podarkami; a że księżniczce się, w niedostatku innych, dosyć podobać umiał, i o sobie prawił wielkie rzeczy, a obiecywał udzielnym panem Wielkopolski z pomocą Brandenburgów się uczynić, zawrócił głowę dziewczęciu. Zjawienie się Konra-

dczej nie dobrego nie zwiastowało, przychodziła z twarzą usznurowaną, pochmurna, skłopotana.

Sam na sam z Maćkiem zostawszy, złożyła chude ręce.

— Wiecie już wszystko — zawołała głosem niższym a pospiesznie. Co księżniczka lez wyłala! ale na co się to wszystko zdało, korony odmówić nie pozwolą, choćby się dla was rzec jej chciała.

— Mali ona serce dla mnie, przerwał Borkowicz gwałtownie — niechże ma i odwagę! Porwę ją i uwiozę, nie dogonią nas... Gotowem sta i dwóchset ludzi zebrać.

Konradowa się zatrzęsła...

— Ale z niej oka nie spuszczać! zawołała. Gdyby chciała się wyrwać z tej niewoli, nie może.

— Siłą, mocą, na zamek wpaść gotów jestem — poczał Maciek. Załogi wielkiej nie ma...

Zechceci, zgodzi się — niech skinie...

Konradowa wielce zmięszana, milczała czas jakiś, głowę tylko przechylając...

— Gdyby naprawdę sprzyjała mi, dodał Starosta — jam na największe ofiary gotów. Życie postawię!

— Juści, juści, przebaknęła, pomilczawszy jeszcze, starsza pani. — że ona wam bardzo, bardzo sprzyjała i sprzyja — to ja wiem najlepiej. Że za mąż iść za tego króla, który niewiast tyle nie-szczęśliwemi uczynił — nie ma ochoty — to

pewna. Nie miło to wziąć człeka od żydówki, bo wiadomo, że król miał miłośnicę...

— I ma ją dotąd! wykrzyknął Borkowicz.

— Ale co ona biedactwo na to poradzi, kiedy jej rodzina każe? kobieta sobą nie władnie, a to — król...

Maciek szydersko się wykrzywił. Stara patrzała nań.

— O porywaniu gwałtownem ani myślcie, rzekła — onaby was na takie niebezpieczeństwo nie chciała wystawić. Woli sama ginąć...

Zamyślona, Borkowicza zwolna ręką dotknęła, pochyliła się ku niemu, prawie do ucha, i z tajemniczym wyrazem, szeptać poczęła:

— Przeciw takiej mocy się nie zrywać! a na co wam to? Ona króla nigdy kochać nie będzie. Każą jej, pójdzie — to co? albo dla was nie lepiej u królowej ulubieńcem być, niż głowę darmo nałożyć?

Zważcież? Ona wam sprzyja, pojedziecie na dwór... zyskacie u niej, co zechcecie, a przez nią u króla!!

Głową poruszała stara i rękami go za suknię chwytała, coraz goręcej usiłując go przekonać, że jej rada była najlepszą.

Borkowicz począł też dumać — Konradowa a któż wie, mogła mieć słusność. Wykładać księżniczkę trudno było, pogoń mogła ich pochwycić, i życiem płacićby przyszło. Księżniczka też, jak

widać było z tego, co mówiła stara, nie ważyłaby jego i siebie. Królowę za sobą mieć, posłużyć mogło? u królowej ulubieńcem być? uśmiechało mu się...

Kto wie, jakie jeszcze myśli wysnuł starosta, lecz nagle zamilkłszy, nie nagiął już o wykradanie. Stara się widząc go o posępnym, pocieszyć starała, opisując, jak księżniczka płakała, jak ręce łamała, jaki po nim tam żal był.

Borkowicz naocznie chciał się o tem przekonać i począł nagiąć o to, aby potajemnie mógł widzieć Jadwigę. Konradowa właśnie pod ten czas, gdy się sposobiono na przyjęcie posłów ostatnich z Krakowa, znajdowała to bardzo trudnem i niebezpiecznem. Oczu tyle stało otwartych.

Im bardziej się opierała temu, tem on mocniej nalegał...

Podarek znaczny, który jej wcisnął w ręce, na koniec Konradowę zmięczył, lecz potrzeba było, w mieście o sobie nie dając znać, czekać dzień i dwa może. Naówczas ona miała wyszukać sposobu, aby wieczorem na zamku Borkowicz był przyjęty... ale musiała skłonić do tego wprzód księżniczkę, oddać oczy natrętne, obmyślić miejsce i sposób.

— Dla miłości waszej i dla mojej wychowanki tylko mogę się na to ważyć, rzekła, okazując rękami i wejrzeniem, jak strasznej się sprawy

podejmowała. Lecz, kto wie, czy ja tego dokażę? czy ona się nie ulęknie?!

Starosta po tej rozmowie został w gospodzie dzień następny. Okiennice pozasuwano, wrota pozamykano, kazał sobie posłać w izbie i cały dzień strawił jedząc i pijąc z bratem... Wieczorem nie nadszedł nikt z zamku. Czekali dzień drugi...

Jak się to skończyło — nie wiedział nikt. Borkowicz dnia następnego nadedniem odjechał, nim się rozwidniło; nie zły, nie nadąsany, lecz dobrej myśli, z uśmiechem na twarzy, wesoło z bratem gwarząc i na palcu pierścień okazując, którego nie miał wprzód. Na króla przez całą drogę wymyślał i odgrażał się.

W Koźminie stanawszy, zaraz począł mówić o wyborze do Krakowa i choć na Kaźmirza się sierdził strasznie, pojechać doń musiał. Ani zbyt dworno, ni zbyt pokorno się nie przybrał do tej podróży.

Bystry człek wiedział, iż mu należało nie popisywać się z siłą, którejby się obawiano i nie ufano jej. ani kłamać biedotę, w którąby nie uwierzono.

— Mała rzecz jechać — mówił do brata, mniejsza o to, że głowę trzeba pochylić przed nim, najgorsza, że kłamać muszę i fałszem się dławić! Przecie inaczej nie wypłynę.

Z królem muszę do czasu dobrze być, aby

mnie na te gody prosił, na których, czy on czy ja będę pierwszym... niewiadomo. Dopóki się z niewoli nie wyrwę, dobrze za sobą mieć panią. Zawsze i ona coś może, a ja z nią! wiele potrafiemy, byle rozum miała.

Brat Jaśko tak wierzył w rozum jego, że mu się nigdy nie śmiał sprzeciwiać.

W poczeie więc, do którego się wielkopolan kilkunastu możnych, podpisanych we związku przyłączyło, ruszył Maciek rad nie rad do Krakowa, takim się czyniąc jak mu było potrzeba.

Sędziwoj Nałęcz, Skóra, kasztelan Przecław, Mikołaj sędzia jechali z nim.

Szły za starostą wozy i skrzynie kute, okryte suknem i skórą, w których pieniądze wiozł, bo sam ich chciwy, sądził, że niemi wszystko i wszędzie robić można. Dotąd mu się jego najzuchwalsze pomysły tak wiodły, a śmiałość i bezczelność tak popłacały, że w siebie coraz więcej ufał, a drugich lichy cenił.

Ani Benjamin, wojewoda, wuj jego, ani Wierzbicka strasznemi mu się nie wydawali.

Silę w sobie okrutną czuł... Zbliżając się do Krakowa, jakoś go trochę śmiałość opuściła, trochę niepokój ogarnął, lecz otrząsł się wprędce i do stolicy wjechał butno, najładniej sobie tusząc, a szepeąc bratu...

— Głupi są, wszyscy u mnie będą w saku!

Gdy wesele postanowionem zostało w Łobzowie królewskim pod Krakowem, wśród najpiękniejszych drzew starych, w zielonej gęstwinie z rozkazu pańskiego kawał ziemi spory oddzielono, i wyciąwszy w pośrodku zarośla i lipy — dom stawić z muru poczęto...

Nikt nie wiedział na co i dla kogo był przeznaczony, lecz robotnika najlepszego oderwano od zanku, ludzi siłą spędzono do pomocy, Kaźmirz grzywny kazał na kosztą dać Lewkowi z żupy w Wieliczce, i domostwo, jakby czarodziejską laską z ziemi wywołane, coraz to do góry wyrastało.

Wacław z Tęczyna musiał na tę murowaukę dać naukę kamieniarzom jak ją stawić mieli. Pytał króla na co służyć miała i dla kogo?...

Kaźmirz mu rzekł:—Tak ją mi wystawcie, aby w potrzebie, choćby z kilku osób złożoną rodzinę pomieścić mogła i czeladź jej potrzebną — a niech na żadnej wygodzie nie zbywa.

Więcej nad to nie wiadano, lecz domostwo wedle tej skazówki założono obszerne i nie żalowano niczego, co by je wygodnem a pięknem uczynić mogło.

Król sam dojeżdżał je oglądać. Do koła ogród mieć chciał obwiedziony murem, stajania dla koni, szopy i skarbczyk krągły w rogu... Zwano tę poczetą budowę królewskim domem, a domysłano się, że chciał tam odpoczywać czasem, gdy

z Wawelu od kłopotliwych spraw zbiedz zapragnie. Murowano więc, jak dla króla, nie skąpiąc najlepszego kamienia, na dole zataczając sklepienia piękne, na górze sufitu wstawiając z belek rzeźbionych w kwadraty.

Wszystkie okna w blonach być miały, po sieniach posadzki kamienne, w izbach z najlepszego drzewa. Spytał raz kamieniarz króla, czy u drzwi nie karze tarczy jakiej wyrzeźbić, potrząsał głową i znaku żadnego dawać nie pozwolił. Ludzie sobie głowy lamali, co za dom być miał, a to jeszcze tak nagle stawiany, jakby na jutro był potrzebny.

Przed weselem miał być gotowym. Tajemnicę odgadł podobno Kochan jeden, który umiał nie tylko się domyślać ale i podsłuchać...

Gdy król przyszedł raz smutny do Esthery, skarżąc się, że go do wesela napędzano i że wkrótce musi ono nastąpić — piękna żydówka, która na ręku miała malego Pelkę, chorowite i słabe dziecko, z główką na ramieniu jej opartą — przystąpiła z nim do Kaźmirza.

— Mamże ja tu w Krakowie pozostać? zapytała go. Oddaliłbym się nie chciała — a siedzieć tak na oczach złośliwym ludziom, mnie i dziecięciu niewygodnie, niemilo. Ciasno nam w mieście, duszno nam w murach, a i tobie panie z nami nie będzie tu dobrze... Żonie doniosą, któż wie? ludzi złych na mnie nasadzą. Do okna

wyść. na próg wystąpić nie będę mogła.

Król przerwał jej żywo.

— Ale nie masz czego uciekać, ani mnie opuszczać! Żonę biorę dla nich, a dla siebie innej mieć nie chcę nad ciebie.

Dokądżebyś myślała?

Esthera na dziecię usypiająco spójrzała.

— Nie wiem — rzekła — gdzieśby nam niedaleko od ciebie, panie mój, od miasta niedaleko... gdzie każesz, dokąd pošlesz, ale nie tu...

Król myślał trochę.

— W Łobzowie, tuż, zielonych drzew dużo, miejsca dosyć, ale domu dla ciebie nie mam...

Z Krakowa tam dostać mi się łatwo będzie, a w zielonych drzewach nikt cię tam nie dojrzy. Usiądziesz jak w gnieździe...

Esthera się uśmiechnęła.

— Uczynicie tak! rzekła. Nigdy o nie nie prosiła — ale o to gotowa... Lepiej mi będzie w Łobzowie.

Król wziął tę prośbę do serca. Nazajutrz jechał zaraz miejsce oglądać i wyznaczać, z Wacławem z Tęczyna rozmówił się i spieszyć kazał z murowaniem, choćby przyszło roboty około zamku zawiesić.

W istocie tylko je podzielono i część ludzi poszła do Łobzowa. Pora sprzyjała, mury prędko osychały, spodziewano się, że przed weselem domostwo gotowem będzie, ale budowniczy nie

radził się wnosić, dopóki by czas jakiś nie powstało otwarte na słońcu. Nietylko dom ten cały król swym kosztem wystawił, lecz gdy skończonym był, kazał się starać o sprzęt do niego, aby swego Esthera przenosić nie potrzebowała. Opony do komnaty jednej flamskiego dziania dano ze skarbeca, wyznaczono i kobierców dość i naczynia różnego...

Zawsze jeszcze niby tajemnicą było, komu ta kamieniczka będzie przeznaczoną, lecz ludzie już szepotali o Estherze, a niektórzy widzieli w tem przepowiednię, że król pozbyć się jej chciał i zupełnie z nią zerwać.

Nie była ona ulubioną tym, co króla otaczali, dlatego, że przez nią, z jej pomocą, nie zrobić nikt nie mógł. Nie przyjmowała podarków, nie podejmowała się pośrednictwa, pochlebstwem się ująć nie dawała.

Tak samo chrześcian jak swoją bracią żydów odprawiała zawsze tem, że do królewskich spraw i do niczego się mieszać nie chce. Gdzie o naród jej chodziło, przemawiała gorąco, zniżala się i prosiła, dla pojedynczych ludzi nie robiła nic.

Królowi właśnie to miłem było, iż przybывая do niej, pewnym się czuł, iż tu żadna frasobliwa sprawa nie zmąci mu pokoju. Spoczywał, bawił się, słuchał opowiadań, zapominał o królewskich troskach. Znając wielki rozum Esthery, czasem sam ją o coś zagadnął, naówczas,

skromnie, rozważnie, w niewielu słowach odpowiadała mu, a zdanie jej tak się dziwnie, zawsze prawie, z królewskim godziło, iż Kaźmirz się temu zdumiewał i więcej jeszcze mądrość jej sławił.

Gdyby chciała była, pewnieby wielką moc nad nim osiągnąć mogła, lecz nie żądała jej, o utrzymanie miłości i serca dbając tylko...

Jedno u niej król znalazł zawsze, czy żądał czy nie — to, wiadomości z różnych stron kraju, które się osoby królewskiej tyczyły, bezpieczeństwa jego lub dobra... Z temi występowała śmiało, lecz doniosłszy, co się jej ważnem zdało, wprędce zwracała się do potocznych przedmiotów w rozmowie.

Przez nią król naprzód uwiadomiony został o co Borkowicza podejrzrywano, a choć zawsze prawie to, co ona doniosła, sprawdzało się, tym razem jego samego do tłumaczenia powołał. Zdawało mu się, że ze zbytnej gorliwości podejrzewano go niesłusznie.

Borkowicz, przybywszy do Krakowa, gdzie liczne miał związki i stosunki, dowiedział się, niewiadomo z jakiego źródła, iż od Esthery pierwszej wypłynęło oskarżenie.

Stawił się Kaźmirzowi śmiało, jakby człowiek na którego potwarz rzucono, bił się przed nim w piersi i z taką na pozór otwartością, z takim

oburzeniem przemawiał, że króla nie lubiącego posadzać — przekonał o swej niewinności.

Dobrze też był przyjętym na dworze, a że chętnie sypał pieniędzmi, u stołu przyjmował, podarkami rzucił na wsze strony, służyło mu chętnie.

Już samo prędkie jego stawienie się do Krakowa klam zdawało się zadawać rozsiewanym wieściami. Głowyby swej tak pochopnie przecie nie przyniósł, gdyby miał powód obawiać się czego.

Dowiedziawszy się, iż od Estery król pierwszą wieść dostał o jego knowaniach, Borkowicz postanowił trafić do niej i ująć ją sobie.

Nieznał on jej, ani wierzyć chciał temu, co o niej mówiono, wyobrażał sobie niewiastę próżną, dumną i chciwą, a łatwo dostępną. Gdy mu ją malowano inaczej, ramionami ruszał, ani się dał odwieść od zamiaru dostania się do niej.

Kobiety, które widywał i z którymi przestawał, nie wyjmując wesołej i dziecinnej księżniczki Jadwigi — inne mu w ogóle o płci niewieściej wyobrażenie dawały. Ludziom, co go od niej odstręczali, w oczy się śmiejąc, gdy mu nikt pomocą być nie chciał w tem, postanowił sam przebojem docisnąć się do tej, jak ją nazywał, pięknej żydóweczki.

Śmiały, możny, nawykły co zamysłał dokonać, Maciek dnia jednego, kazawszy się zaprowadzić

do kamienicy Esthery, wybrał się do niej rano, niosąc piękny naszyjnik, na podarek przeznaczony.

Drzwi tam niebardzo strzeżono, gdyż Estherę znali wszyscy, iż darmo się jej kłaniać było, i nikt już nie próbował się tam dobijać.

Borkowicz z jednym dworzaninem przybył, a nie zastawszy pani donm w komnacie, posługującej dziewczynie kazał powiedzieć o sobie, miannjąc się kto był. Spodziewał się, iż Esthera wyjdzie go zaraz powitać, lecz poczekać musiał i nierychło zobaczył ją, wysnwaną się z zasłony u drzwi zawieszanej.

Piękność nietyle go uderzyła, co powaga postawy i godność z jaką wystąpić umiała. Nastrojony był do żartobliwego tonu, lecz z tem jakoś nie śmiał potem, ujrawszy ją, poczynać.

— Jestem Maciek Borkowicz — odezwał się, z lekkim ukłonem przystępując do niej. Królowi się przybyłem pokłonić, więc i pięknej Estherze polecić się chciałem.

Zmarszczyła brwi słuchając.

— Kto pana swego miłuje, rzekł, ten wszystko, co mu lubę, ceni... Bądźcie na mnie łaskawą, dodał, dobywając naszyjnik z za sukni, a nie gardźcie małym podarkiem.

Zarumieniona Esthera odstąpiła kroków parę.

— Dziękuję wam — odezwała się, mierzając go oczyma śmiało — nie zwykłam od nikogo, krom pana mojego, darów przyjmować. Poświadeżą

wam ludzie, kogokolwiek zapytacie, iż nie waszym podarki'm gardzę, ale żadnego nigdy nie wzięłam. Łaenoby było mnie potem oczernić... a ja chcę nie posądzoną i wierną panną pozostać.

Borkowicz nalegać chciał, lecz tak stanowczą otrzymał odprawę, że się zmięszal zupełnie.

Miał przed sobą nie tę jakiej się spodziewał, niewiastę płochą, ale surowego oblicza kobietę, do której przystąpić było trudno, mówić nie umiał nawet.

Podarek nazad musiał zatknąć za suknię i stał trochę zakłopotany. Dopiero namyśliwszy się począł.

— Przed panem mnie źli ludzie podali w po-
dejście nieślusne. Prosić was chciałem za
obrońcę.

— Ja w sprawy się żadne nie męszam —
rzekła Esthera — i o tem możecie się dowiedzieć
łatwo...

— Przecie mówią, że o wszystkim wiecie!
odezwał się złośliwie nieco Borkowicz.

Widzicie, że źle uwiadomioną — przer-
wała mu Esthera... bo u nas pogłoski chodziły,
jakobyście w wielkiej byli przyjaźni z Brande-
burgami, a fałsz to wierutny musi być, gdyście
do króla przybyć potem śmieli.

Borkowicza to niespodzianie śmiało odezwanie
się jej onieміło. Stał zarumieniony i gniewny.

— Obrońcy już więc wam nie potrzeba, miłościwy panie — dodała Esthera.

Maciek w bok się ujął i brodę swą targał. Ona patrzyła nań, jakby go poznać i wnikać w niego ciekawą była.

— I to też fałsz być musi — rzekła, wyciekawszy na odpowiedź, którą uśmiech złośliwy zastąpił — jakobyście na dworze szlążkim z narzeczoną królewską mieli dobrą znajomość.

Rzecz ta, która się Maćkowi tajemnicą wydawała — wypowiedziana mu w oczy przez Estherę, w zdumienie go wprowadziła.

Ciche przekleństwo z ust mu się wyrwało.

— Jużci, żem na dworze w Głogowie bywał — zawołał gorąco i opryskliwie — zapierać nie mam czego. Na turniejach kilka razy dobrze mi się powiodło, z księżniczką też potem do tańca rycerskiego stawałem...

Esthera słuchała z uwagą.

— Ludzie i z tego co na mnie upleść gotowi — mówił dalej obruszając się. Więc słusznie was o obronę prosiłem.

— Sami się potraficie oczyścić — rzekła zimno.

Borkowicz zwolna swe zuchwalstwo odzykiwał.

— Wam też nowa królowa niebardzo do smaku pewno — rozśmiał się — królem się

przyjdzie dzielić z nią, a dalibóg, piękną i młodą jest, urodziwą i urokliwą.

Zarumieniła się Esthera.

— Ja też — rzekła — precz z Krakowa pójdę.

Borkowicz rozśmiał się.

— A do króla gniewu nie będziecie mieli?

— Ani żalu, ani gniewu — odparła Esthera swobodnie — królowi syna potrzeba, daj Boże by go z niej miał...

Maciek słuchał i uszom nie dowierzał.

Nie było już co mówić więcej, nie powiodło mu sięcale, brwi namarszczył i dokończył tylko.

— Bądźcież na mnie łaskawą.

Esthera nic nie odpowiedziała.

Wyszedł starosta zasepiony i pełen podziwu... a że tego dnia z przyjaciół u Neorży się spotkał, zaniósł tam zdumienie swoje.

— Widział z was który tę żydowicę? zawołał — mała rzecz, że piękna, choć już na twarzy przywiedła, ale to baba na cztery nogi kuta! Jam u niej był dzisiaj. Zaniósłem jej naszyjnik, który mi sprzedano drogo i choć narzeczonej byłbym go mógł dać — nie wzięła. Mówiła ze mną tak, jakby w istocie królową była a nie miłośnicą i dziewczką Judasza z Opoczna... Powiada, że z Krakowa idzie precz...

Drudzy głośno zaprzeczając, zakrzyczeli go.

— Ale... ale — wołali — królby się jej

miał pozbyć! a tożby nie wyżył bez niej? Dnia nie ma, żeby tam nie przekradł się i nie spoczywał. Zadała mu jakieś ziele, jak to one wszystkie czarować umieją. Nie wyśliznie się z jej szponu.

Borkowiez dumal, i rzekł po cichu.

— Tem lepiej!

Nie mógł się jednak uspokoić dnia tego, wszystkim prawie o żydówce i, choć zły na nią był, sławiąc ją jako przebieglą i rozumną, grożąc nią i żydami.

Wielkie owo oburzenie, jakie w początkach przeciwko Estherze panowało, znacznie teraz było się uśmierzyło. Duchowieństwo miało nadzieję, że przed królową młodą ustąpić będzie musiała. Czekano na to... a jak zawsze, pierwsze wrażenie najsilniejsze z wolna się zaciera, tak i do tego związku ludzic, nawykłszy o nim słuchać, wielkiej już wagi nie przywiązywali.

Wielu też Esthera rozbroiła tem, że się szczęściem swoim nie chwaliła i nie nadużywała go.

Nim do wesela królewskiego przyszło, dom w Łobzowie stanął gotowym. Esther krytym wozem pojechała go obejrzeć, a znalazłszy w nim pełno tych królewskich darów, których się nie spodziewała — radości swej ukryć nie mogła.

Domostwo było i obszerniejsze i wygodniejsze, niż jej własne, a rozporządzenie jego i urządzenie samo dowodziły, że król jej opuścić nie my-

ślał, gdyż i izby miał dla siebie przeznaczone osobne, i te, które dla Esthery zostawały, godne były przyjmować gościa takiego...

Poszły zatem naprzód wozy ładowne, skrzynie, służba jej, potem ona sama na ręku wioząc chorego Pelkę, przeniosła się na nową siedzibę.

W mieście się nie nie utai, w parę dni wiedzieli ludzie o Estherze w Łobzowie i różnie sobie tłumaczyli te przenosiny.

Zaledwie rozłożyć się tam czas miała, gdy król jednego wieczora z łowów około Tęczyna powracając, u bramy zatrąbić kazał...

Przyjęła go w progu Esthery, do nóg mu się kłaniając, a dziękując za taki dwór, którego się nie spodziewała.

— Anim ja godna go — rzekła — ani mnie ubogą pieścić tak przystało. Jak w raj u tu siedzieć będę, byle czasem się ta trąbka co dziś u wrot odzywała.

Król śmiał się a rad był, znowu znane sobie oglądając izby i komory, tłumacząc dla czego je tak kazał uczynić i na co, wedle myśli jego, służyć miały. Ogród też w koło zielony radował go, a mur, co się roztaczał zasłaniając od ciekawych — jako z własnego rozkazania wzniesiony, ukazywał.

Tu już dwór swój i czeladź Esthery musiała powiększyć, bo Kaźmirz nalegał na to, aby dla bezpieczeństwa zbrojnych nawet kilku pachołków

do usług miała. A choć inne królewskie zabudowania niedaleko stały i nie nadto było pusto, okolo stolicy zawsze uwijało się tylu włóczęgów i zbrojów, że się ich strzedz musiano.

Inne życie poczęła tu Esthera, swobodniejszą się czując! mimowolnie większą panią niż była w Krakowie. Tu jej natręci i ciekawci w oczy już zaglądać nie mogli, ani każdy krok jej śledzić...

Więc i woźniki i kryte wozy, których w mieście nie było, stały się potrzebne, i usługa do nich i ludzie, coby do miasta na posyłki jeździli.

Dotąd sami żydkowie i żydówki okolo niej się kręcili, bo Synody zakazywały, aby izraelici służby chrześcijańskiej, maniek i stróżów nie trzymali. Tu, ponieważ król przybywać miał, czeladź dlań jego, wydzielona ze dworu, pomieściła się, zarazem służąc Estherze.

Wystawności i przepychu przybyło, a ona sama, jeśli nie dla siebie, to dla króla się o to starała.

Przyszło też nawyknięcie i upodobanie w zbytkownych sprzętach, które Kaźmirz lubił, w kosztownem naczyniu, w jadłe wytwornem dla niego.

Mały Pelka był chorowity, musiał lekarz czeladzki królewski, do Łobzowa. Wkradali się tam pod różnemi pozorami dworzanie, zawsze w nadziei, że usługując ulubionej Estherze, u niej a przez nią u króla łaski pozyskają. Lecz trwała

ona w swem postanowieniu nie utrudzania króla nigdy żadną prośbą, żadnem pośrednictwem dla drugich.

Zbliżał się czas wesela królewskiego, do którego wielkie czyniono przygotowania. Napróżno królowa Elżbieta słała do brata odradzając mu je i wróżąc pożycie nieміłe. — Całe stronnictwo jej na dworze polskim przeciwne było ożenieniu. Wynajdywano napróżno środki rozerwania zapowiedzianego małżeństwa. Duchowieństwo, Arcybiskup na czele jego, nawet Bodzanta byli za niem, a z rycerstwa część znaczna, która wielkimi obietnicami swobód przez Ludwika węgierskiego zjednaną nie była.

Na zamku wszystko już było gotowem i dzień wyznaczony, gdy powiernik Elżbiety węgryzn, Almazy, przybył do króla z poselstwem tajemniczem, którego ona pismu powierzać nie chciała.

Wszystkie te zabiegi Kaźmirza niecierpliwiły i prędzej może skłaniały do związku, niż odciągnąć mogły od niego.

Z niechęcią więc prawie przyjął król Almazego. Z postawy jego i wstępnych, przygotowawczych, zawikłanych frazesów poznać mógł król, że o coś nadto drażliwego chodziło. Przebiegły i zręczny węgryzn począł od najuroczystszej zaręczenia, że królowa Elżbieta tylko dobrem króla, brata swego, troskliwością o szczęście jego była powodowaną. To ją skłoniło najpilniej ba-

dać wszystko, co się tyczyło księżnej Jadwigi. Almazzy z przykrością i smutkiem w jej imieniu oświadczyć musiał, że wiadomości z najlepszych czerpane źródeł w dość niekorzystnem świetle przyszłą wystawiały królowę. Dziewczę być miało płochę, zabawy nad wszystko lubiące, z młodemi i starszemi mężczyznami w obejściu się zbyt śmiałe. Królowa Elżbieta zaręczała za to, iż między innemi, którzy na dworze szlązkim, bliższe z narzeczoną królewską mieli stosunki, znajdował się i osławiony Borkowicz, który zuchwałe oczy na nią śmiał podnieść, i przez starą ochmistrząnię podarki posyłał, potajemne z nią miewał schadzki i t. p.

Słuchając tego doniesienia, król się niezmier nie oburzył, porwał z siedzenia i oświadczył Almazem, iż wszystko to jest wierutną bajką. Dalej już nawet mówić mu nie dał.

— Powiedzcie siostrze mej — zawołał wzruszony — że nmiem cenić troskliwość tę jej o mnie, lecz — i sam ślepy nie jestem. Nim do umowy przyszło, zasięgaliśmy wieści u ludzi, księżniczka młodą jest, żywą, jak każda w jej wieku, lubi zabawy i śmiechy. Na dworze szlązkim bywało wielu, bywał pewnie i starosta wielkopolski, lecz bajką jest, aby z nią bliższe miał stosunki. Dozór jest pilny, i rzecz wprost niemożliwa, aby jeden ziemianin, chociaż możny, do księżniczki takiego rodu śmiał się zbliżyć ze złą myślą.

Wszystko to wcale mnie odstręczyć nie może, a dowodzi tylko, że są ludzi źli, którzy radziby mojemu małżeństwu przeszkodzić. Królowa zna mnie i wie, że ja, gdy ludzię się przeciwko mnie stawia — z placu nie uchodzę, owszem, na przekór im czynić jestem gotowy.

Almazy mówić już nie śmiał, widząc króla zagniewanym niemal. Pożegnał go, odebrawszy ustną odprawę i odjechał. Tylko pomiędzy stronnictwem węgierskiem po cichu szepnął i rozsiał, z czem go tu przysłano i jak przyjęto.

Przez cały dzień ten Kaźmirz chodził poruszony wielce i zagniewany, lecz, jak zakazał Almazemu mówić o tej potwarzy, tak sam przed nikim się z tem nie wynurzył.

Wieczorem udał się do Łobzowa.

Im bliższem było wesele, tem częściej przybywał do Esthery i dłużej przesadywał u niej. W zamku, gdy króla nie było, opowiadano zawsze, że jest na lowach. Takie dwór miał przykazanie.

Kochan czasem mu tam towarzyszył, aby Kaźmirz pod ręką miał kogoś do wysłania z poufnem słowem, w razie potrzeby; niekiedy Dobek jechał, a dla towarzyszy tych królewskich izba na dole przeznaczoną była osobna i na niczem im tam nie zbywało.

jechał tym razem Rawa, który, im go teraz mniej używano, tem chętniej się nastroczał, ucho

mając pilne na wszystko... Nie szło mu o własne dobro, ani o łaskę, któraby się wyplaciła, lecz o to serce króla, które miał niegdyś a od sprawy Baryczki, ostygło ono dla niego. Szukał wstędnie sposobności usłużenia, i odzyskania utraconej króla przyjaźni.

Zazdrośnym był nawet o Estherę, która jak mówił, odebrała mu część serca pańskiego.

Wieczoru tego król więcej się niż zwykle wynurzał przed kochanką; mówił z gorycza — narzekał na ludzi. Esthiera pocieszała się go — rala, ukazując mu, ile dobrego i wielkiego dokonał za panowania swojego.

Ludwikowi, mióstrzanemu mojemu, zanadto się pragnie królestwa tego — rzekł smutnie. — Prawda, że dwa państwa połączone z sobą wielką mieć będą potęgę i łatwiej się od nieprzyjaciół obronić potrafią, lecz i Polska sama, z odzyskaniem Pomorza z wcielonym Mazowszem i zawojowaną Rusią, ostoi się o własne siły...

Chcę, bym zszedł bez dziedzica!! Dziś mi poselstwo sprawiał Almazy, wioząc bajkę głupią, jako by Jadwiga płochą była. a nawet z prostemi ludźmi, jak Maciek Borkowicz, zbyt blizko zawierala stosunki.

Król rozśmiał się ramionami poruszając.

— Na Borkowicza zwała ją wszy... chce go widać uczynić kozłem ofiarnym. Ma związek czynić przeciw mnie, ma mi narzeczoną moją

potą, mnie zyskiwać.. czyhać na spokój mój i korony te! Lecz, cóż znowu za cześć jest. aby się na to wszystko porywał?!

Mówiąc to. spoglądał na Estherę która stała milcząc, z założonymi rękami, z piękną główką, czarnemi okoloną włosami, zwieszoną smutnie na białe ramie. Twarz jej nie okazywała ani oburzenia, ani niewiary zbytnej. Uderzyło to Kaźmirza...

— Panie mój — odezwała się po przestanku małym Esthera — Borkowicz zuchwałym jest, porywczym, ambitnym, a tacy ludzie jak on, tam czasem sięgają, gdzie niktby się inny nie ważył nawet myślać.

Plotka czy potwarz o której wam wspomniał w grzyn — chodzi po świecie i ja o niej słyszałam. Nie daję jej wiary, ale ludzie ją powtarzają..

Potrząsnęła głową, król się zmarszczył.

— Małe paplaniny — zawołał, zmieszane przez tych, którzyby małżeństwu przeszkodzić i zerwać je chcieli. Borkowicz, jako wiesz, był tu w Krakowie, tłumaczył się i poprzysięgał mi wierność. — Nie może być, aby knuł... niepodobna by do tego stopnia oszalał, i Brandeburgów a Szląsków sobie zyskiwał, sądząc że mnie na tronie moim poruzyć może! Za mały jest. Zgniotłbym go jednym uderzeniem...

Esthera nie mówiła nic długo...

— Panie mój — dodała w końcu — choć nie wierzycie w wieści te, zawsze z człowiekiem, choć małym, — potrzeba być ostrożnym... Mały człek na wielkie się porywając, nie ma dużo do stracenia.

O staroście gloszą, że w Wielkiej Polsce mnogich ludzi sobie pozyskał, że gwałty popełnia, postrach szerzy, a ziemianie się go lękając, wiele cierpieć od niego muszą.

Dla czegoż rodzony wuj, Beńko, czemu Wierbięta, nie ufają mu, i ostrzegają?

Królowi już dosyć było i przestroóg i rozmowy o Borkowiczu. Nie lubił go, lecz za tak niebezpiecznego nie miał.

— Kazałem nieść nań pilne oko — odezwał się — są, co go strzedz i na każdy krok jego oczy będą zwracali — lecz co za śmieszny wyrost, dla zohydzenia go w mych oczach czynić jeszcze przyjacielem księżniczki? Toć jawna baśń. Oczyma zdawał się wyzywać Estherę do potwierdzającej odpowiedzi.

— Obyczajów dworskich nie znam — rzekła po chwili, zawsze z namysłem, który jej był zwyczajnym — możliwe to czy nie... nie wiem, lecz że na dworze szlążkiin częstym gościem był — to pewna.

— Przecie nie do księżniczki tam jeździł — odparł król — aniby śmiał oczy podnieść na nią. Piastowie Szlążcy, choć się od nas oderwali,

choć z niemcami związali i woleli im hołdować zanadto się wysoko cenią, by im wielkopolski panek dla córki smakował.

Rozśmiał się król pogardliwie.

Esthera już go jątrzyć więcej nie śmiała i zamilkła...

Kaźmierzowi ta baśń, jak ją zwał, tak na sercu leżała i tak go zaprzętała nedorzecznoscą swą, iż się z nią zwierzył w ostatku i Kochanowi.

Rawa odparł, że i on słyszał o niej, lecz, choć śmieszna była, Borkowicza znając, nie widział ją tak bałamutną, jak się na oko zdawać mogła.

— Miłościwy panie — rzekł — są ludzie zuchwali, co, jakośny świeżo przykład mieli, na sakrament w kościele porwać się nie obawiają. Wszak ci to historia kościoła twego, Bożego Ciała, który na pamięć popełnionego świętokradztwa wznosić kazałeś. Otóż Maciek Borkowicz do tych ludzi należy, dla których nie świętego nie ma, a w ich mniemaniu nie dla nich za wysokiego.

Śmiał się król.

— Stracha jakiegoś chcecie mi uczynić z tego Maćka — odezwał się pogardliwie. Nie dziwiłbym się innym; tobie, co ludzi znasz i wagę masz w głowie — dziwię.

— Miłościwy panie — rzekł obrażony nieco

Rawa. Nie boję się go dla was, lecz właśnie, iż znam człeka, wierzę we wszystko szalone, o co go posądzają.

Niech sto razy przysięga i zapiera się, a do stóp skłania — powiadam, iż jeśli zdrajcą nie jest, to chyba, że nie zdoła, a że w sercu zdradę ma, z oczów mu patrzy.

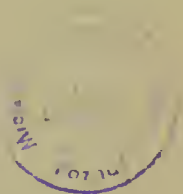
Król wysłuchał słów Kochana z uwagą.

— Jeżeli zdradę knuje — rzekł — przykład na nim uczynię, jak zdradę ukarać potrafię.

Nie o mnie idzie, ale o koronę tę, której ktokolwiek tknąłby śmiał — zginie!!

Ostatnie słowo tak głośno i dobitnie rzekł król, iż Rawa milczący — nie wznawiając już rozmowy, wysunął się po cichu.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.



Biblioteka Raczyńskich

JK 180



JK0180